



KAROLINA
WILCZYŃSKA

Świąt
na
zamówienie



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

KAROLINA
WILCZYŃSKA

Cuda
na
zamówienie



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Cud na zamówienie

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Małgorzata Podlewska

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©AdobeStock

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Karolina Wilczyńska, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83292-85-4



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

U słyszała tupot bosych stóp i od razu odstawiła kubek z kawą. Odwróciła się, przykucnęła i rozłożyła ręce.

– Cześć, mammo!

Synek wtulił się w jej ramiona. Nawet przez bluzę czuła ciepło jego rozgrzanego snem ciała.

– Cześć, Jasiu!

Chłopczyk dał jej soczystego całusa w policzek.

– Myślałam, że dłużej pośpisz. – Postawiła chłopca na podłodze. – Dzisiaj nie idziesz do przedszkola, powinieneś skorzystać. Naprawdę nie wiem, jak to jest, że każdego ranka marudzisz przy wstawaniu, a gdy masz wolne, budzisz się o poranku.

– Chyba tak jestem skonstruowany – odparł z powagą właściwą sześciolatkom.

– Szkoda, że w tej konstrukcji nie ma modułu odpowiadającego za nakładanie trepek – zażartowała Mila. – Biegnij do pokoju i włóż je, bo jeszcze się przeziębisz.

W mieszkaniu nie było zbyt gorąco, bo opłaty za ogrzewanie bardzo wzrosły, więc przykręcali grzejniki, żeby choć trochę zaoszczędzić.

Janek bez protestów spełnił polecenie matki.

Mila z westchnieniem sięgnęła po niedopitą kawę. Cieszyła się, że synek nie sprawia problemów, ale wiedziała, że na swój sposób wciąż przeżywa to, co stało się półtora roku wcześniej.

Odwiedzała kilka razy psycholożkę, a ta powiedziała, że każde dziecko inaczej reaguje na trudne sytuacje. Jedne odreagowują złością czy nawet agresją, a inne zamykają ból w sobie. Bywa też, że czują się winne, nawet jeżeli nie miały nic wspólnego z traumatycznymi wydarzeniami. Janek należał do tych, które nie okazują gwałtownych emocji, ale Mila nie była pewna, czy to powód do radości.

Bacznie obserwowała synka i zauważała, że czasami bywa smutny albo zamyślony. Próbowала jakoś zacząć rozmowę, dowiedzieć się, co czuje, co go dręczy, ale mały nie bardzo chciał odpowiadać. Mila bała się, czy to tłumienie uczuć nie wpłynie na Janka źle, jednak nie potrafiła zrobić nic więcej. Starala się zapewnić mu spokój, stabilizację i poświęcać mu jak najwięcej czasu, ale przecież musiała pracować.

Poza tym jej także nie było lekko. Wciąż zmagala się z bólem i żalem, miewala koszmary, a nawet czula się winna. Chodziła na terapię i niby rozumiała, co się z nią dzieje, ale emocje nie chciały poddać się rozsądkowi.

Właściwie gdyby nie Janek, z pewnością nie pozbierałaby się do tej pory. To świadomość, że syn jej potrzebuje, sprawiała, że każdego ranka wstawała z łóżka, że przemogła strach i usiadła za kierownicą i że widziała w życiu jeszcze jakikolwiek sens.

– Dzień dobry, Emilko!

No tak, był jeszcze ojciec. Choć Mili czasami się zdawało, że jest jej drugim dzieckiem.

Teraz stał w drzwiach kuchni i drapał się po nieogolonym policzku.

– Jak się dzisiaj czujesz, tato? – zapytała, starając się, żeby w jej głosie nie usłyszał lęku o odpowiedź.

Musiał zostać z Jankiem, a gdyby okazało się, że jest źle, znalezienie opieki dla syna byłoby problemem. Szczególnie w Wigilię.

– Nie mogę się doczekać wieczora – odparł mężczyzna. – Wiesz, że zawsze lubiłem święta.

Odetchnęła z ulgą.

– Już niedługo – odparła z uśmiechem. – Wszystko przygotowałam, czeka w lodówce. Gdy tylko wrócę z pracy, siądziemy do stołu – obiecała.

– Idziesz dzisiaj do pracy?

Do kuchni właśnie wbiegł Jasek, tym razem w granatowych kapciach z wyhaftowanymi statkami.

– Tak, skarbie – potwierdziła. – Zostaniesz z dziadkiem. Jestem pewna, że będziecie się dobrze bawić.

– O, tak! – wtrącił Karol. – Na pewno wymyślimy coś specjalnego.

– I nie będziesz spał? – Mały spojrzał pytająco na mężczyznę. – Nie będzie ci smutno?

Jak on doskonale wszystko widzi – pomyślała Mila.

– Dzisiaj? Smutno? – Dziadek udał zdziwienie. – Przecież dzisiaj będą prezenty pod choinką. Kto mógłby się smucić w taki dzień!

Chłopczyk uśmiechnął się radośnie.

– Ciekawe, czy dostanę od Gwiazdki to, co chciałem?

– To zależy do tego, czy byłeś grzeczny – przypomniał Karol.

Janek zwrócił się z niemyim pytaniem do matki.

– Byłeś, byłeś. – Potargała jasną czuprynę synka. – Ale pamiętaj, że Gwiazdka musi obdarować wszystkie dzieci, więc może jej nie starczyć pieniędzy na każdy prezent, o którym marzysz. No ale coś na pewno dla ciebie będzie miała.

Mały pokiwał głową na znak, że rozumie.

Z radością kupiłaby Jankowi wszystko, co chciał, ale musiała się ograniczyć do jednego prezentu. Grudzień to z jednej strony wesoły czas, pełen świątecznej atmosfery, ale z drugiej to też miesiąc większych wydatków.

Spojrzała na ścienny zegar.

– Mam jeszcze chwilę, mogę zrobić kakao – oznajmiła. – Ktoś ma ochotę?

– Ja! – Janek aż podskoczył z radości.

– Prawdę mówiąc, wolałbym kawę. – Ojciec usiadł przy stole.

Miała na końcu języka uwagę, że nie powinien, ale powstrzymała się.

Dzisiaj Wigilia – pomyślała. Można zrobić wyjątek. Poza tym po kawie będzie miał więcej energii.

Szybko przyrządziła napoje.

– Zamówienie podano! – Z uśmiechem postawiła kubki na stole. – Janek, uważaj, bo jest mocno ciepłe. Pij ostrożnie!

Popatrzyła na ojca i syna – dwie najbliższe jej osoby.

Co za szczęście, że ich mam – pomyślała z czułością.

Najchętniej zostałaaby z rodziną, ale wiedziała, że musi pracować. Tym bardziej że tego dnia była szansa na dobry zarobek.

W Wigilię wszyscy się spieszą. Chcą jak najszybciej wrócić do domów, usiąść do wieczerzy. A przy tym mnóstwo spraw zostawiają na ostatnią chwilę – prezenty, zakupy. Nie będą tracić czasu na autobusy czy chodzenie pieszo.

I tak najwięcej skorzystają ci, którzy będą jeździć wieczorem – stwierdziła. Trudno, ja zadowolę się tym, co uda się zarobić w ciągu dnia. Nie zostawię ich samych w wigilijny wieczór. Raz jeszcze popatrzyła na mężczyznę i chłopca. *I tak już zbyt wiele będzie pustych miejsc przy naszym stole.*

– Bawcie się dobrze! – pożegnała bliskich. – Będę dzwoniła co jakiś czas.

– Nie musisz, wszystko będzie w porządku – zapewnił ojciec.

– Wiem, ale znasz mnie. – Wolą udawać nadopiekuńczą, aby nie urazić ojca. – Postaram się was nie zamęczać, jednak dzwonić będę.

– A kiedy wrócisz? – zainteresował się Jasiek.

– Postaram się jak najszybciej – odparła. – Wszystko zależy od tego, ilu będzie klientów.

Podeszła do stołu i pocałowała małego w policzek.

– Nie martw się, zdążymy przed pierwszą gwiazdką – obiecała.



Grzegorz Zadra obudził się, ale wcale nie był z tego powodu zadowolony.

– Kurwa mać! – zaklął szpetnie, zanim jeszcze uniósł powieki.

Chciał przetrzeć czoło dłonią, ale ręka w ogóle go nie słuchała.

– Co jest?! – powiedział głośno.

Poczuł przerażenie.

Jestem sparalizowany? – pomyślał w panice.

Próbował zebrać myśli, ale miał wrażenie, że rozbiegły się gdzieś daleko. Poza tym nawet najmniejsza próba koncentracji powodowała ból.

Ogromny ból. Jakby ktoś wbijał mu w czaszkę metalowy bolec.

Postrzelili mnie? – przeszło mu przez myśl. Napadli? Była jakaś akcja? Niczego nie pamiętam!

Tak, to musiał być postrzał. Ewentualnie mocne uderzenie. Niejeden raz słyszał opowieści kolegów i tak właśnie mówili o podobnych sytuacjach. I to dlatego bolała go głowa.

A ten paraliż? Uszkodzenie nerwu? Albo złamanie kręgosłupa...

Ta ostatnia możliwość wydała się Zadrze najbardziej przerażająca.

Skończę jako warzywo – pomyślał z przestrawieniem. Będę leżał i robił pod siebie. I nawet nie zdołam popełnić samobójstwa.

Okropna wizja owładnęła Grzegorzem. Już widział, jak męczy się całymi latami i jest zależny od opieki żony.

Żona!

Cholera jasna, przecież ona odeszła – przypomniał sobie. Zostawiła mnie dwa tygodnie temu. Suka!

Zrozumiał, że zaczyna sobie coś przypominać.

Ale dlaczego akurat to? – zirytował się. Przecież właśnie o tym najbardziej chciałbym zapomnieć!

Słyszał, że w ostatnich chwilach przypomina się człowiekowi całe życie. Może właśnie umierał?

Miało być całe życie, do diabła! Dlaczego więc nie przypomniał sobie wakacji u dziadków albo jakiejś młodzieńczej imprezy? Nie zasłużył na coś miłego na koniec?

A może to jednak nie śmierć? – chwycił się tej nadziei. Może mam szansę?

– Pomocy... – Chciał krzyknąć, ale z wysuszonego gardła wydobył się tylko prawie bezgłośny szept.

Chciał przełknąć ślinę, ale w ustach nie było jej ani kropli. Oblizął więc spierzchnięte wargi.

Nie poddam się – pomyślał z uporem. Będę próbował, może ktoś usłyszy.

– Pomocy! – Druga próba wypadła lepiej.

Gdyby tylko głowa tak nie bolała.

– Niech mi ktoś pomoże! – krzyknął całkiem głośno, ale nikt nie odpowiedział.

Chyba jestem tu sam – doszedł do wniosku. Trzeba działać.

Policyjne doświadczenie nauczyło Zadrę nieustępliwości. Poza tym był człowiekiem upartym. I te cechy w tej chwili powinny mu pomóc.

No, człowieku, weź się w garść – motywował sam siebie. Myśl, co zrobić!

Uznał, że przede wszystkim trzeba otworzyć oczy i zorientować się, gdzie jest i w jakim stanie. A potem zastanowić się, co dalej.

Powoli podniósł powieki. Oślepiło go ostre światło.

Jakieś lampy? Halogeny? – starał się szybko dokonać analizy. Hala? Sala operacyjna?

Lekko przekręcił głowę, co przyplącił kolejnym łupnięciem w czaszce, ale udało mu się wreszcie cokolwiek zobaczyć.

Grzegorz Zadra ze zdziwieniem stwierdził, że jest we własnym mieszkaniu.

Napad? Włamanie? – próbował coś sobie przypomnieć.

Zerknął w bok i zobaczył stolik, który stał przy kanapie. Na stoliku zaś pustą butelkę po żołądkowej. Druga, również pusta, leżała pod blatem, na puszystym szarym dywanie, który tak lubiła Marzenka.

Szkoda, że go ze sobą nie zabrała – pomyślał ze złością.

Stopniowo zaczynał przypominać sobie poprzedni wieczór. Spędził go tak jak kilkanaście wcześniejszych.

Ale co jeszcze się wydarzyło? – Zmarszczył czoło. Dlaczego nie mogę się ruszać?

Powoli spróbował poruszyć nogą. Udało się! Druga stopa także była w porządku.

Co więc z ręką?

Ostrożnie odwrócił głowę w przeciwną stronę i wtedy zobaczył, że prawą dłoń wsunął przez sen pomiędzy siedzenie i oparcie kanapy.

– Po prostu ścierpła! Ja pier... – Zadra po raz kolejny dał upust emocjom w niezbyt kulturalny sposób.

Mógł sobie na to pozwolić, bo w mieszkaniu był zupełnie sam. Od dwóch tygodni.

Normalnie, gdy się budził, zwykle przybiegała Sylwunia i zaczynała paplać. A zaraz po niej Marzenka, która musiała mu zdać relację z jakiejś ważnej rozmowy z koleżanką albo opowiedzieć o tym, co wydarzyło się u niej w pracy. Często go to irytowało, bo marzył o odpoczynku po trudnym dyżurze.

A teraz? Teraz wiele dałby za to, żeby piskliwy głosik córki rozbrzmiał tuż nad jego uchem. Jednak w domu panowała cisza.

Zadra usiadł i zaczął rozcierać zdrętwiałą rękę. Jednocześnie rozglądał się w poszukiwaniu czegoś do picia.

Niestety, poza pustymi butelkami i resztkami niedojedzonej pizzy w tekturowym pudełku nie dostrzegł niczego.

Na chwilę przycisnął dłoń do czoła, ale ból nie zmniejszył się ani trochę.

Muszę wziąć tabletkę – pomyślał.

Zdażył zapomnieć o tym, że przed chwilą był pewien, że jest bliski śmierci. Teraz pozostał już tylko kac. I to jaki! Kac gigant.

Najchętniej opadłby z powrotem na kanapę i spał dalej, ale ból głowy i pragnienie były silniejsze. Wstał więc niechętnie i omijając przewrócone krzesło, poszedł do kuchni.

Z niesmakiem omiół wzrokiem stertę brudnych talerzy. Sięgnął do szafki, gdzie znalazł jeszcze jeden czysty kubek, podstawił go pod kran i przekręcił kurek.

Szum wody wydał mu się hukiem wodospadu.

Ależ się urządziłem! – Skrzywił się. *To wszystko przez nią, przez tę głupią babę, która po sześciu latach małżeństwa nagle stwierdziła, że ma dość.*

Łapczywie opróżnił naczynie i natychmiast napełnił je ponownie. Z szuflady wyciągnął blister tabletek od bólu głowy, wycisnął jedną i połknął, popijając zawartością kubka.

Dopiero wtedy dostrzegł, że na naczyniu namalowana jest łaciata krowa.
Ulubiony kubek Sylwuni – stwierdził. *Na pewno ciągle o niego pyta.*

Zadra nie należał do ludzi, którzy okazują emocje, ale myśl o córeczce sprawiła, że zwilgotniały mu oczy.

Jak mogła zabrać mi dziecko! – skierował ku żonie całą swoją złość. *Sama niech idzie, dokąd chce, ale małą musi mi oddać!* – postanowił po raz kolejny.

Popatrzył w okno. Padał śnieg i świeciło słońce.

Moglibyśmy iść na sanki – pomyślał. *I ulepić bałwana.*

Odwrócił wzrok od szklanej tafli i popatrzył na kalendarz.

Dzisiaj Wigilia – zauważył.

A potem zaklął po raz kolejny.



– Nie widziałaś gdzieś mojej bluzki? – Anka miała zagniewaną minę, gdy stanęła w drzwiach pokoju Katii. – Nie pożyczłaś jej może?

Katia przeciągnęła się leniwie.

– Słyszysz? Pytałam cię o coś! – Koleżanka była wyraźnie zirytowana.

– I serio uważasz, że mogłabym pożyczyć którąś z twoich bluzek? – Uśmiechnęła się. – Przecież mamy zupełnie inny look.

– Look nie look, a w ubiegłym miesiącu to wzięłaś moją czarną sukienkę i potem nawet nie wrzuciłaś jej do pralki – przypomniała Anka. – Chciałam włożyć, biorę, a ona śmierdzi fajkami na odległość.

– Kto by pomyślał, że masz taką dobrą pamięć? – odparła Katia z lekką ironią. – Szkoda tylko, że nie dotyczy ona bluzki.

– Wiesz co, z tobą to trudno się czasami dogadać – prychnęła koleżanka.

– Bo co? Bo potrafię logicznie myśleć?

– Nie. Dlatego że jesteś złośliwa – odparowała Anka. – Proszę cię, skup się. Może jednak gdzieś widziałaś tę bluzkę? Taka biała, z żabotem.

– Biała z zabotem? – zastanowiła się Katia. – Mogliby mnie kroić i posypywać solą, a czegoś takiego bym nie włożyła. Gdzie ty się w niej wybierasz?

– Wygląda na to, że nigdzie – zniecierpliwiła się Anka. – To znaczy wybieram się, ale nie w niej. Bo jej nigdzie nie ma!

– To włóż coś innego – zaproponowała Katia.

– Kiedy mama tak mnie lubi w tej białej – westchnęła Anka. Podeszła do łóżka i przysiadła na jego brzegu. – Zależy mi, bo wiesz, trochę przesadziłam z zakupami w galerii i mam debet na koncie – wyznała szczerze. – Liczę na jakiś dodatkowy bonus od Gwiazdki. – Mrugnęła okiem.

– Jak tak, to pomogę ci szukać. – Katia wyraziła zrozumienie dla problemu koleżanki. – Debet na karcie to zło. Ale najpierw muszę do toalety.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Podciągnęła opadające spodnie od piżamy, wsunęła stopy w ciepłe futerkowe kapcie i poszła do łazienki.

Po chwili wróciła do Anki. W wyciągniętej przed siebie ręce trzymała białą bluzkę.

– Proszę bardzo, oto twoja zguba – oznajmiła triumfalnie.

– Gdzie była?!

– Wyobraź sobie, że leżała między pralką a wanną. Myślę, że jakaś mysz musiała ją tam zaciągnąć.

– Mysz? Jaka mysz? Widziałaś jakąś w mieszkaniu?! Ja się ich strasznie boję! – Anka rozejrzała się w panice po pokoju.

– Żartuję przecież – wyjaśniła ze śmiechem Katia. – Żeby taki kawał materiału gdzieś zaciągnąć, to musiałyby być raczej całkiem spory szczur.

– Jesteś nienormalna! – oburzyła się koleżanka. – Ale wybaczam ci, bo uratowałaś mi życie.

– Chyba stan konta.

– To prawie to samo. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Przynajmniej w moim wypadku. A bluzka musiała tam spaść ze sznurka.

– Ważne, że jest. Teraz tylko uprasuj ładnie żabot i możesz ruszać na wigilię u ciotki. A jeśli zdecydujesz, że zostaniesz tam na dłużej, to daj znać. Będę musiała poszukać innej współlokatorki. – Katia mrugnęła porozumiewawczo.

– Nigdy w życiu!

Ciotka Anki mieszkała na sąsiednim osiedlu i co kilka miesięcy ponawiała propozycję odstąpienia jednego pokoju siostrzenicy. Za niewielką opłatą, w zamian za towarzystwo – mówiła.

Anka uparcie odmawiała, choć jej rodzice całym sercem byli za tą opcją. Uważali, że ciotka mogłaby przypilnować Anki i, jak to określali, mieć na nią oko.

– A najlepiej, gdyby szybko wydała mnie za męża za jakiegoś syna swojej koleżanki. – Anka znała prawdziwe intencje tych działań. – Moi rodzice uważają, że jestem starą panną, i chyba już się mnie wstydzą.

W tym utwierdzał dziewczynę fakt, że nawet święta od kilku lat przeniesiono do ciotki.

– Nie chcę, żebym przyjeżdżała na wieś. – Kręciła z niedowierzaniem głową. – Nie zdziwiłabym się, gdyby powiedzieli sąsiadom, że mam męża lekarza i dwójkę dzieci. A mnie się ani do jednego, ani do drugiego nie spieszy.

Anka pracowała jako asystentka stomatologiczna, a po pracy wolała bawić się w klubach, odwiedzać kawiarnie, kina, teatr. Miała liczne grono znajomych, wielu mężczyzn na podorędziu, ale związku na razie nie chciała.

Dlatego z takim uporem odmawiała zamieszkania u ciotki. Wolała dzielić mieszkanie z Katią, bo chociaż różniły się i charakterami, i zainteresowaniami, i stylem życia, to dobrze im się rozmawiało. Dogadywały się i mimo sprzeczek – lubiły, a przede wszystkim nie wchodziły sobie w drogę i akceptowały się wzajemnie.

– A ty jeszcze się nie pakujesz?

Anka wyciągnęła z za szafy deskę do prasowania i rozłożyła ją na środku salonu.

– Zdążę. – Katia machnęła ręką. – Mam pociąg dopiero za cztery godziny. Poza tym wolę przyjechać na ostatnią chwilę, gdy już wszystko będzie gotowe.

– No tak, unikniesz pomagania w kuchni – domyśliła się Anka.

– Nie przepadam za gotowaniem, przecież wiesz. – Katia usiadła w fotelu i wyciągnęła przed siebie nogi. – Kiedy przyjadę i stół jest już nakryty, choinka ubrana, a pod nią prezenty, to mogę poczuć się jak dziecko, które nie ma jeszcze obowiązków, tylko przyjemności. Takie Boże Narodzenie lubię najbardziej...

– Tak, beztroskie i szczęśliwe – zgodziła się Anka. – Kiedy nikt nie pyta, czy masz narzeczonego albo czy słyszałaś, że kolejna koleżanka dała na zapowiedzi.

– I kiedy nie wiesz jeszcze, że nie każdy ma takie miłe i bezpieczne życie jak ty – westchnęła Katia.

– Że też ty zawsze musisz się przejmować całym światem. – Anka rozprasowała ostatnią fałdkę na żabocie. – Nie zbawisz go, nie pomożesz wszystkim. Jak nie ludzie, to psy...

– Właśnie! Psy! – Katia zerwała się z fotela. – Skoro mam jeszcze sporo czasu, to mogę je odwiedzić.

Niewiele myśląc, pobiegła do swojego pokoju.

– Tylko pamiętaj, zwierzęta mówią ludzkim głosem dopiero o północy – zażartowała Anka. – Jeśli będziesz czekała, to spóźnisz się na pociąg.

– Bądź spokojna! – odkrzyknęła Katia. – Do mnie one mówią każdego dnia i o każdej porze!



Artur Konopka nienawidził Bożego Narodzenia.

Istniało oczywiście wiele innych rzeczy, które go charakteryzowały. Był czterdziestoletnim blondynem, miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i nosił okulary w drogich, modnych oprawkach. Stać go było na nie, bo jako programista z dużym doświadczeniem zarabiał naprawdę dobrze. I większości z tych pieniędzy nie wydawał.

Nie żeby Konopka był skąpy. Po prostu nie miał zbyt wielkich potrzeb. Spłacił już kredyt zaciągnięty na kupno kawalerki, zrobił to zresztą w połowę krótszym czasie, niż przewidywał okres kredytowania. Bo Artur nie lubił mieć długów. Umiał też liczyć, więc bez trudu wyliczył, ile może zaoszczędzić na odsetkach. I zaoszczędził.

Kiedy już wyposażył niewielkie mieszkanie we wszystkie niezbędne sprzęty i meble, nie bardzo wiedział, co robić ze swoimi dochodami. Ubrań zbyt wielu nie potrzebował. Pracował w domu, rzadko wychodził, a nawet jeśli, to nie zależało mu, żeby wyglądać zgodnie z najnowszymi trendami mody. Wiedział, że w ten sposób znacznie ogranicza krąg zainteresowanych nim kobiet, ale akurat na tym także mu nie zależało. I nawet jeśli którąś próbował zagadnąć, to kilka jego mruknięć wystarczyło, żeby straciła zainteresowanie.

Artur nie ubolewał nad tym. Przeciwnie, za każdym razem czuł ulgę. Po prostu nie miał ochoty na randki, romanse i związki.

Czasami patrzył w lustro i starał się ocenić, jak wygląda. Dochodził wtedy do wniosku, że nie jest źle. Prawdę powiedziawszy, miał rację. Gdyby jeszcze odwiedził dobrego fryzjera i zmienił kilkunastoletnią marynarkę na nowszy model, z pewnością można by powiedzieć, że jest przystojnym mężczyzną.

Jak widać Artur Konopka wiódł takie życie, jakie mu odpowiadało. Miał swój kąpiel, ekspres do kawy, dobry komputer i spokój. A to ostatnie cenił sobie najbardziej.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie tych kilka dni, które każdego roku zaburzały ten starannie budowany porządek.

Bo Artur Konopka nienawidził Bożego Narodzenia.

Już od połowy listopada starał się nie odwiedzać galerii handlowej czy dużych sklepów i omijał główny deptak w mieście. Oczywiście dlatego, że już zaczynały się tam pojawiać pierwsze świąteczne oferty – bombki, ozdoby, lampki.

Potem z każdym tygodniem było coraz gorzej. Mikołaje i Śnieżynki, świąteczne melodie, reklamy prezentów – nie sposób było się od tego opędzić. Z tego powodu Artur zawieszał swój karnet na siłownię na ostatni miesiąc roku i całkowicie zasztywniał się w swoim bezpiecznym mieszkaniu.

Zupełnie przypadkiem korzystał na tym zawodowo. W grudniu, kiedy wszyscy koledzy wciąż brali wolne dni i bronili się przed nowymi albo wymagającymi projektami, Artur bez protestów, a nawet z wielką chęcią, przyjmował dodatkową pracę. Był wybawieniem dla szefostwa, które hojnie wynagradzało mu to premiami. I choć to dla Konopki nie miało wielkiego znaczenia, to stan jego konta w grudniu rósł. W przeciwieństwie do kont większości ludzi.

W kawalerce Artura próżno było szukać jakiegokolwiek znaku świąt. Nie było najdrobniejszej ozdoby, żadnych jodłowych gałązek, jemioli czy prezentów. Nie przygotowywał też niczego specjalnego do jedzenia. Dla Artura Konopki nadchodzące dni miały być zwyczajne, jak wszystkie inne.

– Bary!

Duży pies, o którym ktoś bardzo łaskawy mógłby powiedzieć, że jest w typie owczarka niemieckiego, natychmiast znalazł się przy łóżku.

Artur pogłaskał czarny łeb.

– Dobry piesek! – pochwalił zwierzaka. – Zaraz pójdziemy na spacer.

Wstał z łóżka i niespiesznie poszedł do łazienki. Wziął szybki prysznic, umył zęby i zapuścił krople do zmęczonych oczu.

Może powinienem trochę odpuścić z tą pracą – pomyślał, jak zawsze, gdy odczuwał skutki zbyt długiego siedzenia przed monitorem. I na myślach się kończyło, bo lubił swoje zajęcie i zawsze czuł satysfakcję, gdy napisany przez niego kod okazywał się bezbłędny.

Wytarł krótko obcięte włosy ręcznikiem i wrócił do sypialni.

Nie zastanawiał się zbyt długo nad wyborem stroju. Dżinsy, T-shirt i granatowa bluza z kapturem – uznał to za wystarczające.

– Jeszcze tylko łyk kawy i pójdziemy – poinformował psa, który nie odstępował go na krok. – Połóż się i poczekaj – polecił.

Bary natychmiast wskoczył na pościel i położył się tam, wodząc wzrokiem za swoim panem.

Artur nie pozwalał psu spać w łóżku. Bary miał poślanie w rogu pokoju i tam kładł się w nocy. Jednak to poranne wskakiwanie na pościel było elementem swego rodzaju gry, którą prowadzili. Pies robił coś, co było zabronione, w nadziei, że skłoni tym Artura do szybszego wyjścia. Informatyk z kolei udawał, że tego nie dostrzega, pozwalając psu na tę drobną niesubordynację.

Dlatego mężczyzna nie zareagował i poszedł do kuchni, gdzie włączył ekspres. Lubił dobrą kawę, więc kupił najlepszy z możliwych modeli. Oczywiście poprzedził zakup analizą opinii i parametrów sprzętu, bo Artur Kopka nie musiał oszczędzać, ale lubił wiedzieć, że nie przepłaca.

Zapach kawy wypełnił niewielkie mieszkanko, a mężczyzna z lubością pociągnął nosem.

– To rozumiem – powiedział do siebie.

Malutka filiżanka z kompletu, który przywiózł z Włoch, wyglądała trochę nienaturalnie w dużej męskiej dłoni, ale kawa z niej smakowała wyśmienicie. Popatrzył na naczynie z lekkim uśmiechem, bo przypomniało mu wakacyjną podróż.

To była jedyna, poza programowaniem, pasja Artura. Każdego roku kupował bilety lotnicze do kolejnego kraju, na miejscu wynajmował samochód i przez dwa tygodnie zwiedzał. Bez konkretnego planu, zupełnie spontanicznie. Podczas tych czternastu dni żył zupełnie inaczej niż przez resztę roku, jakby poukładany i zorganizowany człowiek zostawał w domu, a w świat wyruszał ktoś zupełnie inny – szalony, kierujący się chwilowymi zachciankami ryzykant.

Jednak od dwóch lat Artur nie był nigdzie. Wiedział, że tak będzie, od chwili, kiedy zdecydował, że da dom wielkiemu, wychudzonemu psu, który wyjadał resztki ze śmietnika za supermarketem.

Spotkał go, gdy wracał z zakupów. Pies na jego widok podkuł ogon i wycofał się na bezpieczną odległość. Patrzył tak, jakby nie spodziewał się ze strony człowieka niczego dobrego. I właśnie to spojrzenie sprawiło, że Artur podjął decyzję.

Wyjął z torby paczkę kabanosów, a z niej jedną kielbaskę i wyciągnął ją w kierunku psa.

– Chodź, to dla ciebie – oznajmił spokojnie.

Nie poszło łatwo. Mierzyli się spojrzeniami kilkanaście minut. Mijali ich inni ludzie, ale Artur twardo stał przy końcu chodnika i czekał.

Nie wiadomo, co skłoniło psa do podjęcia ryzyka, ale Artur był przekonany, że zwierzę po prostu poczuło to samo, co on. I zaufało.

W ten sposób Bary zamieszkał z Arturem w kawalerce, został umyty, zaszczepiony, dostał wreszcie miski, w których zawsze pojawiała się jedzenie, i wygodne legowisko w ciepłym pokoju. W zamian obdarował Konopkę bezgranicznym zaufaniem i wiernością, a poza tym zdawał się rozumieć każde słowo swojego opiekuna.

W takim wypadku mężczyzna nie wyobrażał sobie, że mógłby go gdzieś zostawić. Nawet na dwa tygodnie. Zrezygnował więc z podróży, ale bez wielkiego żalu. Więcej warte było dla niego psie spojrzenie, które doskonale pamiętał.

– Nie zawiodę twojego zaufania – obiecywał psu wielokrotnie. – Doskonale wiem, co się wtedy czuje.

Artur wstawił filizankę do zmywarki. Nie lubił sprzątać, więc starał się utrzymywać porządek.

– To co? – powiedział z pozoru do siebie, ale dość głośno, żeby jego głos był słyszalny w pokoju. – Chyba mam ochotę na spacer, ale nie wiem, czy mam iść sam czy...

Nie zdążył dokończyć. Bary stał już przy jego nodze.

– Widzę, że będę miał towarzystwo. – Popatrzył na psa, który radośnie szczeknął. – OK, już wkładam buty.

Kiedy już włożył kurtkę i czapkę, sięgnął po smycz wiszącą na wieszaku koło drzwi. Zapiął karabińczyk na grubej skórzanej obroży, a tę na szyi psa.

Gdy zamykał drzwi, poczuł wibrację telefonu w kieszeni spodni. Wyjął iPhone'a i popatrzył na wyświetlacz.

Matka – stwierdził z kamienną twarzą. *I po co każdego roku robi ten sam cyrk?*

Schował telefon i krótko gwizdnął. Bary posłusznie zaczął zbiegać po schodach.



Gdyby ktoś chciał zaprezentować światu kobietę sukcesu, mógłby bez wahania wybrać Jowitę. Zresztą wszyscy, którzy ją znali, z większą lub mniejszą radością potwierdziliby ten wybór. Do tych drugich zaliczali się ci, którzy próbowali w jakikolwiek sposób oszukać prezes Szymańską-Napierałę i na własnej skórze przekonali się, że to niemożliwe.

Cóż, Jowita mogła się wydawać łatwym kąskiem dla tych, którzy jej nie znali. Prowadziła bowiem firmę w branży transportowej, a konkretnie była właścicielką całej floty wielkich ciężarówek, którymi przewoziła towar klientów na międzynarodowych trasach.

W transporcie znacząca większość pracowników i właścicieli firm to mężczyźni, a wielu z nich nadal wydawało się, że kobieta ani się na tym nie zna, ani znać się nie może. Byli i tacy, którzy otwarcie to mówili. Dopóki nie spotkali na swojej drodze Jowity.

– To diabeł wcielony – stwierdzali później.

Wiedźma, czarownica, wściekle babsko – to tylko nieliczne z określeń, które za jej plecami padały z ust mężczyzn zmuszonych do obejścia się smakiem, gdy okazywało się, że to właśnie Jowita zdobywa kolejny intratny kontrakt.

Wiedziała dobrze, że tak jest, ale już dawno przestała się tym przejmować. Przeciwnie, te wszystkie epitety stały się dla niej dowodem, że sobie poradziła. Wbrew temu, co myśleli i co myślał jej były mąż.

– Powinnam żałować, że spotkałam na swojej drodze takiego gnojka – mawiała. – Ale właściwie jestem mu wdzięczna, że okazał się na dodatek głupkiem.

Więcej na ten temat zwykle nie dodawała, bo nie lubiła wspominać eks-męża. Najważniejsze było to, że dzięki niemu miała firmę.

Resztę zawdzięczała już tylko sobie. Miała ogromną motywację i była zdeterminowana, a wiadomo, że w takiej sytuacji kobieta może bardzo wiele.

Co Jowita pokazała wszystkim mężczyznom w branży.

Przez kilka lat pracowała ciężko, ale od jakiegoś czasu mogła już poczuć się bezpieczniej i trochę odpocząć.

Kiedyś trzeba skorzystać z tego, co się zarabia – stwierdziła.

W związku z tym zadbała o siebie jeszcze bardziej, regularnie bywała w salonach piękności i w sklepach z markową odzieżą. Poza tym zaczęła udzielać się społecznie.

Przypadkowo poznana znajoma opowiedziała jej o pewnej kobiecej organizacji, która pomaga kobietom skrzywdzonym przez partnerów. To poruszyło serce Jowity. Odnalazła tę fundację i zaangażowała się w jej działania.

– Każdy gnojek powinien ponieść karę – mówiła z przekonaniem. – A każda skrzywdzona kobieta otrzymać zadośćuczynienie.

Tak, można powiedzieć, że Jowita Szymańska-Napierała w wyniku życiowych doświadczeń stała się feministką i obrończynią praw kobiet.

Po rozwodzie obiecała sobie solennie, że już nigdy nie nabierze się na te wszystkie bzdury o miłości i że nie istnieje taki, który mógłby jej zawrócić w głowie.

Wszyscy znali poglądy Jowity, dlatego teraz nie obawiała się, że ktokolwiek mógłby interesować się tym, dokąd i po co jedzie.

– I bardzo dobrze – oświadczyła głośno, przyciskając kolanem walizkę. – Przynajmniej nie muszę wysłuchiwać żadnych rad, uwag i komentarzy. Wyjeżdżam na święta i tyle. Wolno mi.

Przygotowywała się do tego od tygodnia. I co tu kryć, cieszyła się jak małe dziecko.

Przejrzała mnóstwo ofert pobytu i znalazła piękny pensjonat o odpowiednim standardzie. Nie było to łatwe, bo siedem dni przed Bożym Narodzeniem większość miejsc była zajęta. Jednak okazało się, że apartament jest nadal wolny. Najwyraźniej zaporowa cena odstraszyła potencjalnych chętnych.

Dobrze, że dla mnie kwota nie ma znaczenia – cieszyła się w duchu. Przynajmniej wiem, po co tak ciężko harowałam.

Pakowała podróżną kosmetyczkę, rozmyślając o tym, jaką pan Napierała będzie miał minę po jej powrocie.

Na pewno mocno się zdziwi – pomyślała z satysfakcją. Dobrze, że do tej pory trzymałam wszystko w sekrecie.

Popatrzyła w lustro i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Była gotowa do wyjazdu. Świeżo ufarbowane włosy opadały w miodowych puklach na ramiona, policzki miała gładkie, a usta pełne. Figury, uzyskanej dzięki ćwiczeniom i zabiegom ujędrniającym, mogłaby jej pozazdrościć niejedna dwudziestolatka.

To będą najlepsze święta w moim życiu – stwierdziła radośnie. Spędzę je dokładnie tak, jak marzyłam. Wreszcie się doczekałam, to naprawdę cudowne!

Popatrzyła na zegarek.

Jeszcze za wcześnie – uznała. Nie chcę tam zbyt długo czekać. Wyjadę dopiero około południa, a przedtem skoczę na siłownię. Po ćwiczeniach zawsze ciało jest ładniejsze, a mięśnie napięte. No i załatwię jeszcze ostatnie firmowe sprawy.

Co prawda wydała dyspozycje dyżurującym, a większość ciężarówek miała zjechać przed wieczorem, ale nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć w mroźny zimowy dzień.

Zerknęła przez okno.

Piękny dzień – oceniła widok ośnieżonych drzew i białego puchu, który okrywał trawniki.

Normalnie zmartwiłaby się, czy na drogach nie będzie ślisko i czy przez to nie opóźnią się transporty. Ale nie dziś!

Wszystko musi być dobrze – zawyrokowała z przekonaniem. *Nic nie może popsuć mi tego dnia. Zbyt długo czekałam na spełnienie swoich marzeń, więc los dziś musi być dla mnie łaskawy.*

Usiadła przy biurku i otworzyła laptop.

Wprawdzie jej asystentka wysłała świąteczne kartki już dwa tygodnie temu, ale Jowita uznała, że do kilku najważniejszych klientów osobiście wyśle wiadomość.

„Nie chcę zakłócać wigilijnej atmosfery telefonując, więc pozwalam sobie napisać tych kilka słów...” – zaczęła.



Mila przystanęła na chwilę przed sklepem. Chciała kupić sobie kawę, bo wciąż nie mogła się dobudzić.

Do późna w nocy przygotowywała wigilijne i świąteczne potrawy, więc teraz powieki same jej opadały.

Zwykle wozila ze sobą kawę w termosie, żeby nie wydawać prawie dziesięciu złotych na mały kubek przeważnie niezbyt dobrego napoju, ale dzisiaj zupełnie o tym zapomniała.

Trudno, od jednej kawy aż tak bardzo nie zbiednieję – westchnęła. *Miejmy nadzieję, że od razu to odrobiję.*

Chyba los z miejsca postanowił spełnić jej życzenie, bo nie zdążyła nawet wyłączyć silnika, gdy drzwi samochodu otworzyły się i do środka zajrzał mężczyzna w średnim wieku.

– Pojedziemy do centrum? – niby zapytał, ale bardziej stwierdził.

I od razu zaczął pakować się do środka.

– Chwileczkę! Proszę poczekać! – próbowała go powstrzymać, ale bezskutecznie.

Usiadł i podał nazwę ulicy.

– Proszę pana, ja mam akurat przerwę – poinformowała go.

– A nie może pani jej przesunąć o dziesięć minut? – Spojrzał na nią nieprzyjaźnie. – Podobno mamy już rynek klienta, prawda?

– Owszem. Ale tak naprawdę to ja jeżdżę z aplikacji. Rozumie pan? To nie taka zwyczajna taksówka, którą można zatrzymać na ulicy. Trzeba wpisać dane i...

– Czy ja wyglądam na idiotę, który nie umie czytać? – przerwał jej klient.
– I wiem, co to jest aplikacja.

– Skoro tak, to...

– Z babami to zawsze są problemy – mruknął niegrzecznie. – Czy pani nie chce zarobić? Bo ja się spieszę. I zapłacę normalną taksjarską stawkę, bo wszędzie mi mówią, że mogą być najwcześniej za pół godziny.

– Taki dzień. – Miła wzruszyła ramionami.

Najchętniej powiedziałaaby mu coś dosadnie, ale obowiązywała ją grzeczność wobec klientów. Nawet tych niemiłych.

– Wiem przecież. Ale powtarzam: zapłacę normalną stawkę, nie tę z aplikacji. A pani więcej wpadnie do kieszeni. Ja będę zadowolony i pani też.

Miała ochotę odmówić, ale gdy pomyślała, że rzeczywiście zarobi więcej niż za zwykły kurs i bez wyrzutów sumienia kupi sobie tę kawę, skinęła głową.

– Dobrze, jedziemy – zdecydowała.

Zawiozła mężczyznę pod wskazany adres i od razu pojechała na stację benzynową.

Tam zawsze mogę powiedzieć, że nigdzie nie jadę, bo muszę zatankować – wymyśliła usprawiedliwienie dla kolejnych zbyt nachalnych klientów.

Zerknęła w lusterko i zobaczyła swoje zmęczone spojrzenie.

Powinnam trochę odpocząć, bo wyglądam fatalnie – oceniła się krytycznie. Ale jak to zrobić?

Emerytura ojca po czterdziestu latach pracy w szkole była naprawdę niewielka i właściwie wystarczała tylko na opłaty za mieszkanie i media oraz na jego lekarstwa. To na Mili spoczywał ciężar zarobienia na utrzymanie całej trójki. A dziecko kosztowało coraz więcej. Nawet dodatkowe pięćset złotych nie pokrywało wzrostu cen i wizyt u psychologa. Nie mówiąc o dentyście.

Mila zapłaciła za kawę i stanęła przy ekspresie. Patrzyła, jak tekturowy kubek powoli wypełnia się ciemnym napojem, a potem mlekiem. Gdy napis na ekranie poinformował, że kawa jest gotowa, wsypała do niej cukier z dwóch saszetek i nakryła kubek plastikową przykrywką.

Wróciła do samochodu. Przez chwilę przyglądała się płatkom śniegu, które z wolna pokrywały szybę. Były duże i nie topniały, tworząc na szkle dziwną i malowniczą mozaikę.

Powieki Mili zaczęły opadać...

Dźwięk aplikacji sprawił, że natychmiast chwyciła telefon.

– Hej, Mila, skoncentruj się! – powiedziała głośno, żeby dodać sobie energii.

Zerknęła na ekran smartfona. Klient był daleko, więc odrzuciła kurs. I tak ktoś, kto jest bliżej, zaproponuje niższą stawkę. Poza tym straciłaby zbyt dużo czasu na dojazd.

Dziesięć minut niczego nie zmieni – stwierdziła. Muszę chwilkę odpocząć.

Od rana jeździła bez żadnej przerwy. I tak jak podejrzewała, wszyscy klienci byli podenerwowani i niecierpliwi. Chcieli jechać szybko, nie silili się na grzeczność.

A mówią, że w święta wszyscy są dla siebie mili i uśmiechają się nawet do nieznajomych – pomyślała z sarkazmem. Tymczasem ja widzę coś zupełnie innego. Jakby zapominali, że ja też jestem człowiekiem, a nie przedłużeniem kierownicy.

Cóż, Mila starała się nie narzekać i ze spokojem znosić nawet najdziwniejsze pomysły. Tak jak kobietę, która zamówiła przejazd i próbowała

wpakować się do auta z prawie dwumetrową choinką.

– Proszę pani, to się nie zmieści do środka – tłumaczyła Mila. – Samochód nie jest z gumy, a drzewka szkoda.

– Zamówiłam kurs i już pobrało należność z mojego konta – złościła się tęgawa szatynka w czapce z dużym futrzanym pomponem. – Chcę jechać.

– Panią mogę zabrać, ale choinki nie.

– Trochę dobrej woli by się przydało – fuknęła klientka. – Jest Wigilia.

Szkoda, że to nie działa w obie strony – pożałowała Mila, ale nie powiedziała tego głośno. Pouczyła kobietę, co może zrobić, żeby odzyskać pieniądze, i odjechała.

Czy to mnie spotykają takie historie – zastanawiała się – *czy to wszyscy dziś stracili zdrowy rozsądek?*

Przyjęła kolejne zlecenie i podjechała po klientkę.

Wiedziała, że zmęczenie nie pomaga jej w znoszeniu stresujących sytuacji, ale właściwie nie miała wyboru. W grudniu szczególnie dokuczało jej niewyspanie. Oprócz normalnej pracy w czasie, gdy Jasiak był w przedszkolu, wyjeżdżała też popołudniami, o ile ojciec był w dobrej formie, a często także w nocy, gdy syn już zasnął.

Każda dodatkowa godzina za kierownicą oznaczała trochę więcej pieniędzy, a Mila bardzo chciała kupić Jankowi wymarzony samochód na baterie. I jeszcze coś dla ojca. A skoro tak, musiała więcej pracować.

– Przecież pisałam, że chcę wysiąść przy bloku numer siedem. – Usłyszała głos klientki z tylnego siedzenia.

Spojrzała na numerację budynków. Były przy „jedenastce”.

– Przepraszam, zamyśliłam się – powiedziała, odwracając głowę. – Już zawracam.

– Dzisiaj wszyscy już myślą o świątecznym stole, a pracować nikomu się nie chce – skomentowała kobieta.

– Niestety, pieniądze z nieba nie lecą – wyrwało się Mili.

Na szczęście kobieta już wysiadła i chyba nie usłyszała tej uwagi.

Kolejny pasażer też nie był miłszy. Gdy zatrzymali się na skrzyżowaniu, a światło dość długo nie zmieniało się na zielone, po prostu wysiadł.

– Nie potrafi pani jeździć – rzucił na odchodne. – Nie wiem, co pani robi na taksówce.

Ja też się czasami zastanawiam – westchnęła Mila. I jeszcze nad tym, w jaki sposób moje umiejętności wpływają na sygnalizację świetlną.

Tak, to był trudny dzień...



Ból głowy powoli ustępował, co nie znaczy, że Zadra czuł się lepiej. Paradoksalnie, gdy wzrastała zdolność logicznego myślenia, wzrastał także poziom złości.

Zrezygnował z jedzenia, bo na samą myśl o tym, że miałby cokolwiek przełknąć, żołądek od razu reagował skurczem.

Mężczyzna siedział więc na kanapie i pustym wzrokiem patrzył na pojowisko, którego sam był autorem.

Na puchatym dywaniku, tak pieszczonym przez Marzenę, pojawiło się kilka ciemnych plam.

Pilem wino? – zastanawiał się Zadra. A może to ketchup z pizzy?

W końcu uznał, że ma to gdzieś, i nawet żałował, że żona nie może zobaczyć tego, co stało się z jej ukochanym dywanikiem.

Wygląda na to, że aż tak bardzo jej na nim nie zależało, skoro go zostawiła – doszedł do wniosku. Chociaż jakby się dobrze zastanović, to poświęcała mu więcej czasu niż mnie.

Nie był w tych ocenach sprawiedliwy, bo gdyby obiektywnie spojrział na sytuację, może dostrzegłby, że właściwie nie bywał w domu. Wciąż na komisariacie albo na akcjach. A gdy już się pojawiał, to głównie po to, żeby zjeść, wyspać się i nabrać sił.

Ale Grzegorz ani myślał być obiektywny. Czuł się porzucony, zdradzony i skrzywdzony. Zupełnie nieoczekiwanie, bez uprzedzenia i bez powodu.

Niby po co ja to wszystko robiłem? – zżymał się w duchu. Przecież dla niej. I dla Sylwuni.

Myśl o córce spowodowała, że zalała go kolejna fala złości.

Jak mogła zabrać dziecko i wyjechać? – Zacisnął szczęki. – Przecież mówiłem, że nie wyobrażam sobie życia bez małej. A ona co? Potraktowała mnie jak powietrze, zupełnie zlekceważyła moje zdanie! I jeszcze śmie twierdzić, że to ja nie zwracałem na nią uwagi i nie słuchałem, co mówi!

Zadra sięgnął po paczkę papierosów leżącą na stoliku. Wysupłał ostatniego i przypalił. Zrobiło mu się niedobrze, ale przetrzymał to, szybko

przełykając ślinę. Kolejne zaciągnięcie się obyło się już bez sensacji.

Wydmuchnął dym w kierunku sufitu. Zrobił to z jakimś dziwnym poczuciem satysfakcji. Bo Marzena nie pozwalała mu palić w mieszkaniu. Ze względu na córkę. Grzegorz musiał więc za każdym razem wychodzić na balkon i czuł się jak uczeń palący po kątach.

– To rzuć – radziła żona, gdy się skarżył.

Aż się zdziwisz! – pomyślał teraz. Szkoda, że tego nie widzisz! Nareszcie mogę normalnie zapalić w swoim własnym domu.

Zaciągnął się jeszcze kilka razy i zdusił niedopałek na talerzyku z resztkami czegoś, czego nie mógł sobie przypomnieć. Wyglądało jak jakiś sos, ale Zadra nie miał pojęcia, kiedy to jadł i skąd się wzięło.

Wszystko jedno. – Skrzywił się. – Skoro żyję, to musiało być jadalne.

Odsunął talerzyk dalej, żeby nie patrzeć na nieapetyczną, zaschniętą breję.

Czy to nie wspaniałe? Niczego nie muszę. – Przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu stawy.

Cóż, prawda była jednak taka, że wcale wspaniałe nie było. Zadra czuł się źle.

Męczył go kac, wypełniały żal i złość.

Zaczął pić, gdy tylko Marzena wyjechała. Najpierw wziął dwa dni urlopu na żądanie, a potem po prostu nie poszedł do pracy. Pierwszy raz w życiu. Nie odbierał też telefonu.

Otworzył drzwi tylko dlatego, że myślał, że to dostawca pizzy. Tymczasem w progu stał jego przełożony. Grzegorz nie musiał nic mówić.

– Od jutra odbierasz zaległy urlop – usłyszał. – Masz trzy tygodnie, żeby doprowadzić się do porządku.

Kiedyś takie słowa odebrałby jak policzek, a wtedy w ogóle go to nie obeszło.

I dobrze – pomyślał teraz, sięgając po kubek z wodą. Mam jeszcze tydzień, zanim znowu zaczną się czepiać.

Nie chciał z nikim rozmawiać o tym, co się stało. Zawsze uważał, że zwierzenia są dla kobiet i słabeuszy. Silny mężczyzna sam radzi sobie z problemami.

Ja też sobie poradzę!

Uderzył pięścią w stół tak mocno, że stojące na nim naczynia zabręczały, a pusta butelka stoczyła się z blatu i wylądowała na dywaniku.

Dość tego! – zdecydował nieoczekiwanie.

Dwoma szybkimi ruchami odstawił stół, a potem zwinął tę nieszczęsną puchatą materię, która wciąż przypominała mu o żonie. Wyniósł dywanik do przedpokoju i postawił przy drzwiach.

– Nie ma tu już dla ciebie miejsca – oświadczył i sam nie wiedział, czy ma na myśli puchacz czy kobietę.

Powoli trzeźwiał. Tabletki już działały i ból głowy z ostrego zmienił się w tępy ucisk, jakby ktoś założył mu opaskę obejmującą ściśle skronie.

Ależ tu śmierdzi – stwierdził i podszedł do drzwi balkonowych. *Trzeba przewietrzyć.*

Otworzył je szeroko i stanął w progu. Wciągnął do płuc mroźne powietrze. Popatrzył na blok naprzeciwko. Na kilku balkonach migotały kolorowe żarówki.

Jest Wigilia – przypomniał sobie Zadra. *Jutro Boże Narodzenie. Ciekawe, co powie Sylwuni, gdy mała zapyta o tatę?*

Ta myśl spowodowała, że znowu poczuł chęć, by się napić.

Święta bez dziecka. – Zacisnął pięści. *Co to za święta!*

Grzegorz Zadra był zwolennikiem działania. Tego wymagał jego zawód, ale i taki miał charakter. W końcu uważał się za prawdziwego mężczyznę, więc nie uznawał mazgajenia się.

Tak być nie może – stwierdził stanowczo. *Nie poddam się!*

Gorączkowo zaczął szukać telefonu. Nie miał pojęcia, gdzie go położył. Miał nadzieję, że nie zgubił go podczas którejś z wypraw do sklepu po kolejne butelki alkoholu. Na szczęście smartfon leżał pod jedną z poduszek

i nie był zupełnie rozładowany. Co prawda wskaźnik baterii pokazywał za-
ledwie kilka procent, ale Zadra uznał, że to wystarczy.

Dłonie drżały mu tak, że miał kłopoty z trafieniem w odpowiednie przy-
ciski.

Cholera, przydałoby się jakieś piwo – przeszło mu przez myśl.

Na razie jednak musiał skończyć to, co zaplanował. Na szczęście Ma-
rzena odebrała.

– Czego chcesz? – rzuciła.

– Jak to czego? Chcę zabrać córkę na święta. Mam prawo, jestem jej oj-
cem.

– Zanim będziesz się domagał swoich praw, najpierw wytrzeźwiej – od-
powiedziała chłodno. – I wybij sobie z głowy spotkanie z Sylwunią. Boże
Narodzenie mamy już zaplanowane.

– Może powinnaś to najpierw ustalić ze mną, co? – warknął.

– Z tobą? Przecież ty jesteś od dwóch tygodni wiecznie pijany.

– To przez ciebie, wiesz dobrze!

– Daj już spokój – westchnęła ze zniecierpliwieniem. – I przestań wy-
dzwaniać po nocach, bo powiadomię policję.

– To ja jestem policja.

– Kiepski tekst – parsknęła. – A z ciebie żaden Linda. Daj nam w spokoju
spędzić Boże Narodzenie. A najlepiej w ogóle o nas zapomnij.

I rozłączyła się.

Bez piwa się nie obejdzie. – Rzucił telefon na kanapę. *Głupia suka!*



Schronisko dla zwierząt znajdowało się daleko od centrum, przy samej
granicy miasta. Dojazd do niego zajmował ponad czterdzieści minut,
zwłaszcza w godzinach szczytu. A w Wigilię od rana ulice były szczególnie
zatłoczone.

Ciekawe, dlaczego każdego roku jest tak samo? – zastanawiała się Katia, wsiadając do autobusu. – Czy ludzie nie uczą się na własnych błędach? Przecież wszystko można załatwić wcześniej, po co czekać do ostatniej chwili?

Stała w rogu, przy oknie, i przez niezbyt czystą szybę obserwowała mijające ich samochody. Patrzyła na jadących nimi ludzi i zastanawiała się, dokąd i po co podążają.

Ten mężczyzna na pewno ma kupić choinkę i już wie, że jakkolwiek wybierze, i tak nie zadowoli żony – wymyśliła, przyglądając się zaciętej minie kierowcy SUV-a.

A ta rodzina za chwilę się pokłóci, bo kobieta musi zrobić ostatnie zakupy, a dzieci będą chciały iść do Mikołaja, który rozdaje cukierki – oceniła matkę z dwójką dzieciaków jadących nieco wysłużoną toyotą.

O, ta jest ciekawa – zwróciła uwagę na elegancką kobietę w błyszczącym bmw. Chyba święta spędza samotnie albo jest gdzieś zaproszona, bo gdyby robiła wieczerzę u siebie, z pewnością nie wybierałaby się teraz na siłownię – uznała, widząc sportową torbę na siedzeniu pasażera.

Ciekawe, co ktoś powiedziałby o mnie? – przyszło jej do głowy. Jaką historię wymyśliłby na podstawie mojego wyglądu i zachowania? I czy byłaby trafna? Wątpię...

Katia wiedziała, że jej strój, fryzura i tatuaże budzą różne reakcje. Te zaś często nie były sympatyczne i przyjazne, ale przywykła do tego i już dawno przestała się tym przejmować. Jeszcze na początku studiów zdecydowała, że będzie żyła tak, jak chce, w zgodzie ze sobą. I jak dotąd udawało jej się tej obietnicy dotrzymać.

– Gdzie się pani wpycha?! – Przepelniony złością okrzyk wyrwał Katię z zamyślenia.

Odwróciła głowę i zobaczyła kobietę z dwiema dużymi siatkami, która usiłowała odepchnąć od wolnego siedzenia drugą, z podobnym bagażem.

– Ja się wpycham?! – oburzyła się jej konkurentka w zielonym berecie. – Byłam pierwsza. To pani próbuje mnie wypchnąć.

Pierwsza się nie poddawała.

– Niech pani przestanie mnie potrącać! – protestowała ta w berecie. – Podrze mi pani rajstopy tymi siatami!

– To niech się pani odsunie i nie zastawia mi przejścia – nie ustępowała pierwsza. – Usiądę i pani rajstopy będą bezpieczne.

– Po moim trupie! – Kobieta w berecie zastawiła przejście wyciągniętą nogą. – Nigdy nie pozwalam na chamstwo!

– Chamstwo?! Sama pani jest chamska! Wpycha się i jeszcze obraża ludzi! – Kobieta popatrzyła na pasażerów, szukając u nich wsparcia. – Wdzieliście państwo, jaka bezczelna!

Nie wiadomo, jak długo jeszcze trwałaby ta awantura, bo żadna z kobiet nie miała zamiaru ustąpić, gdyby nie młody mężczyzna w żółtej kurtce puchowej. Przepchnął się między pasażerami i stanął obok spornego siedzenia.

– Przecież to bardzo proste i nie ma powodu do kłótni – oznajmił z poważną miną. – Są zasady i wystarczy ich przestrzegać.

– Jakie niby zasady?! – zirytowała się ta w berecie. – Kto pierwszy, ten siada i tyle.

– Nie do końca. – Mężczyzna pokręcił głową. – Wiadomo: mężczyzna ustępuje kobiecie, tak?

Obie kobiety zgodnie przytaknęły.

– A młodzi starszym – kontynuował. – Dlatego miejsce powinna zająć starsza z pań. Proszę! – Wskazał siedzenie.

Pasażerka w berecie zmierzyła spojrzeniem swoją przeciwniczkę.

– W takim razie niech pani siada – poddała z ironicznym uśmiechem. – Należy się pani.

Druga wzruszyła ramionami.

– Dziękuję, postoję. Niech pani siada – odparła i odwróciła głowę. – Przecież pan powiedział, że starsza ma pierwszeństwo. To chyba tamta pani powinna usiąść, prawda? – zwróciła się do mężczyzny w żółtej kurtce.

– A, to już panie same muszą rozstrzygnąć – stwierdził ze spokojem i przesunął się w stronę Katii, stając obok okna.

Pięknie to załatwił! – Spojrzała na niego z uznaniem.

Większość pasażerów ledwie powstrzymywała się od śmiechu, a miejsce pozostało puste aż do następnego przystanku, kiedy zajęła je kolejna pasażerka, nieświadoma tego, co wydarzyło się przed chwilą.

Katia z ulgą opuściła zatłoczony autobus, który pojechał dalej, do podmiejskich miejscowości.

Odetchnęła głęboko mroźnym powietrzem i założyła rękawiczki.

Boże Narodzenie w tym roku będzie jak z bajki. – Popatrzyła na ośnieżone pola i las w oddali. *Przynajmniej jeśli chodzi o pogodę. Już wszystko jest białe, a śnieg nadal pada. A wieczorem, zmrożony, będzie błyszczał jak małe lampki. Oby tylko mróz nie był zbyt duży* – pomyślała z niepokojem.

Wiedziała, że w schronisku starają się, jak mogą, żeby zapewnić zwierzętom jak najlepsze warunki, jednak wciąż brakowało wielu rzeczy. Sama aktywnie uczestniczyła w akcjach zbierania karmy czy materiałów do ocieplania bud. Większość psów nawet zimą musiała przebywać w kojcach. A tych nie sposób było ogrzać.

Dlatego pracownicy i wolontariusze robili wszystko, żeby zapewnić zwierzętom przynajmniej ciepłe budy. Wykorzystywano styropian do ocieplania ścian, zbierano kołdry, poduszki, a nawet ręczniki i grube swetry. Tutaj to wszystko znajdowało drugie życie, a psiaki mogły w mroźne noce schować się i ogrzać, żeby przetrwać do rana.

Katia nie potrafiła zrozumieć, jak można porzucić zwierzę. A jednak kojce wciąż były pełne psiaków, które nie miały swoich opiekunów. Samotne, zagubione, często nieumiejące odnaleźć się w nowym miejscu – cierpiały na depresję, chowały się po kątach albo stały przy kratkach, błagalnie patrząc na każdą przechodzącą osobę.

Te zwierzęta potrzebowały miłości. Chciały mieć kogoś tylko dla siebie, tę jedyną osobę, która pogłaszcze i do której można się przytulić. Cierpiały z samotności, a ich smutne oczy niczym nie różniły się od ludzkich.

Katia od paru lat była wolontariuszką i przyjeżdżała, żeby wyprowadzać kilku swoich podopiecznych na spacer. Starła się dać im namiastkę nor-

malności, poczucie, że jest ktoś, komu na nich zależy. Choć tyle mogła zrobić dla tych porzuconych zwierzątek, czekających na prawdziwy dom.

W schronisku nie było dziś nikogo, oprócz dozorca, który pełnił dyżur i miał za zadanie także nakarmienie zwierząt.

– Nie ma pani co robić w domu? – zdziwił się na jej widok. – Dzisiaj już wszyscy świętują. O ile nie muszą pracować – dodał.

– A one nie mają prawa do świętowania? – Wskazała na kojce.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Katia nie zamierzała wdawać się z nim w dyskusję. Już dawno się przekonała, że nie wszyscy są tak empatyczni jak ona i że nic na to nie można poradzić. Dla dozorca przychodzenie do schroniska było tylko pracą jak każda inna.

Wzięła od mężczyzny kluczyk od pomieszczenia dla wolontariuszy i poszła w stronę boksów. Przywitało ją szczekanie wielu psich znajomych. Starała się podejść do każdego i powiedzieć choć kilka miłych słów.

W tym hałasie ledwie usłyszała dzwonek telefonu.

– Cześć, tato! – odebrała połączenie.

– Cześć, córeczko! A co tam u ciebie tak głośno?

– Przyszłam wyprowadzić psiaki – wyjaśniła.

– A kiedy będziesz w domu? Nie możemy się już na ciebie doczekać. Mama kazała zadzwonić i powiedzieć, że właśnie wstawia do piekarnika twój ulubiony makowiec.

– Będę tak, jak mówiłam. Spokojnie, zdążę na wieczerzę – roześmiała się Katia. – I mam nadzieję, że ten makowiec jest baaardzo duży. Ucałuj mamę!

– Sama ją ucałujesz, kiedy przyjedziesz. Wyjadę po ciebie na dworzec, tylko zadzwoń, jak będziesz dojeżdżała. Do zobaczenia!

Katia uśmiechnęła się, ale gdy podniosła wzrok na kojce, od razu spoważniała.

Szkoda, że nie każde stworzenie może mieć taki szczęśliwy dom jak ja – pomyślała. I nie dla każdego Boże Narodzenie to ciepło, bezpieczeństwo i rodzinny czas.



Właściwie nie miał nic konkretnego do zrobienia. Wszystkie projekty zakończyły się przed świętami, a nowe miały się rozpocząć w nowym roku. Co prawda Artur zgodził się pełnić dyżur przed komputerem, na wypadek gdyby wystąpiły jakieś problemy z programem wprowadzonym niedawno u klienta, ale wiedział, że jest to mało prawdopodobne.

Liczył na jakieś dodatkowe zlecenie, które zapewniłoby mu zajęcie na czas Bożego Narodzenia, ale w tym roku nie trafiło się nic specjalnego. Miał wprawdzie w planach pisanie kodu do aplikacji, którą sam wymyślił, ale ostatnio jakoś stracił zainteresowanie tym zadaniem. Po przeanalizowaniu całej sprawy doszedł do wniosku, że to zbyt mało ambitne. A on szukał prawdziwego wyzwania.

Wygląda na to, że jednak wrócę do tego pomysłu – westchnął. Lepsze to niż nic.

Bary leżał na swoim posłaniu, najedzony i zadowolony.

– Jesteś okropnym leniem – powiedział Artur do psa.

Zwierzak nawet nie podniósł łba, jedynie łypnął na niego lekko uchylonym okiem.

Konopka się roześmiał.

– Może powinienem wziąć z ciebie przykład? Położyć się i spać przez cały dzień... to też jakiś pomysł.

Teoretycznie mógłby także oglądać seriale. Czasami robił sobie taki maraton filmowy, zwłaszcza gdy coś go wciągnęło. Jednak ostatnio na żadnej platformie nie trafił na nic interesującego.

Telewizji nie oglądał, choć miał wykupiony pakiet kablówki. Czasem włączał wiadomości, ale nudziły go te gadające głowy. Poza tym frustrowało go to, że na nic nie ma wpływu, a politycy tylko gadają, zamiast coś realnie zmieniać.

Wszyscy są tacy sami – dochodził wciąż do podobnych wniosków. Piękne słówka, a w działaniu coś zupełnie innego. Albo zupełnie nic.

Z niechęcią odwrócił wzrok od pilota.

Dzisiaj na pewno będzie film o Kevinie i mnóstwo komedii romantycznych ze śniegiem, mikołajem i choinką. – Skrzywił się. – Nie wiem, jak ludzie mogą to wciąż oglądać? Mnie na samą myśl robi się niedobrze...

Niezdecydowany stanął na środku pokoju. Wiedział, że musi jakoś wypełnić kilka najbliższych dni, inaczej niechciane myśli wciąż będą powracały, a wspomnienia sprawiają, że znowu będzie cierpieć. A tego Artur Kopka nie chciał.

Słyszając stłumiony dzwonek telefonu, rozejrzał się po pomieszczeniu.

Gdzie ja go położyłem? – zastanowił się.

Dźwięk dobiegał z przedpokoju.

– Tak bardzo chciałeś jeść, że zapomniałem wyjąć iPhone’a z kieszeni kurtki – powiedział z pretensją do Bary’ego, który zupełnie zlekceważył jego słowa.

Artur wysupłał telefon i popatrzył na wyświetlacz.

Znowu ona – zirytował się. A miałem nadzieję, że może jakieś zlecenie w ostatniej chwili...

Wiedział, że nie przestanie dzwonić. Każdego roku to robiła.

Dobrze, odbiorę – zdecydował. Będę to już miał za sobą.

– Słucham?

– Dzień dobry, synku!

– Witaj! – odparł oschle.

– Dzwonię, żeby zapytać, czy wpadniesz do nas na wieczerzę. – W głosie matki słychać było nadzieję. – Jesteśmy z ciocią same, byłoby miło, gdybyś nas odwiedził.

– Przecież wiesz, że nie przyjdę. – Nie silił się na uprzejmości. – Powtarzam ci to każdego roku, może pora, żebyś wreszcie zrozumiała.

– Myślałam, że może...

– Nie – uciął krótko.

– Synku, to już tyle lat... – westchnęła. – Chciałabym cię zobaczyć, posłuchać, jak żyjesz... Jestem twoja matką i...

– Niestety – znowu jej przerwał. – Ale to nie oznacza, że mam robić to, czego chcesz. Nie przyjadę.

– Cóż, w takim razie życzę ci, synku, wszystkiego dobrego na święta i szczęścia w nowym roku – powiedziała ze smutkiem.

Nie podziękował, nie odwzajemnił życzeń.

Przez chwilę po obu stronach linii panowało niezręczne milczenie.

– Do widzenia, synku! – przemówiła wreszcie kobieta.

– Do widzenia! – pożegnał się chłodno i zakończył połączenie.

Że też nie potrafi zrozumieć, że nie chcę z nią żadnego kontaktu po tym, co zrobiła – zezłościł się Konopka. Wyraźnie oświadczyłem, że nigdy jej nie wybaczę. A ona wciąż nie daje mi spokoju. I na dodatek przypomina o sobie oczywiście w Wigilię. W przyszłym roku w ogóle wyłączę telefon – zdecydował stanowczo.

Usiadł przed monitorem i włączył komputer. Dla uspokojenia chciał posurfować przez chwilę po sieci. Jednak na każdej stronie, którą odwiedzał, widniały życzenia świąteczne, obrazki z wesołymi rodzinami przy stole, mikołaje w saniach, prezenty pod choinką i inne podobne bzdury.

– Można zwariować! – Uderzył pięścią w klawiaturę.

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

Bary czujnie podniósł łeb.

– Przepraszam. – Mężczyzna uniósł rękę w uspokajającym geście. – Wiem, że nie lubisz hałasu. Wybacz, ale ona zawsze wyprowadza mnie z równowagi.



Jowita weszła do siłowni sprężystym krokiem.

– Cześć! – przywitała stojącą za ladą dziewczynę. – Chyba dzisiaj niewiele osób?

– Cześć! – Blondynka w obcisłym sportowym topie odpowiedziała jej z uśmiechem: – Przeciwnie, całkiem sporo.

– Serio? A ja sądziłam, że w Wigilię będę tu jedną z nielicznych.

– Jeśli chodzi o kobiety, to tak – potwierdziła blondynka. – Za to panów pełna sala. I udają, że ćwiczą jak szaleni, po kilka godzin...

– Niesamowite! – Jowita pokręciła głową. – Poproszę mój ulubiony izotoniak.

– Nic w tym dziwnego. – Dziewczyna podała jej butelkę. – Po prostu wszyscy uciekają z domów.

– Ach, rozumiem, chodzi o przygotowania do świąt! – Jowita uderzyła dłonią w czoło. – Wolą zniknąć i mieć spokój, niż biegać do sklepu po zapomniane sprawunki.

– Dokładnie tak!

Jowita wyjęła kartę płatniczą.

– Dzisiaj napój gratis – poinformowała ją recepcjonistka. – Prezent świąteczny od firmy.

– To miłe. – Kobieta się uśmiechnęła. – Dziękuję! Właściciel się postarał.

– Owszem. Są też dekoracje. – Wskazała na salę. – Dmuchane bombki z logo sieci i choinka. A od nowego roku podwyżka cen karnetów. – Mrugnęła porozumiewawczo okiem.

– Co robić. – Jowita wzruszyła ramionami. – Wszystko idzie w górę. Mam nadzieję, że wasze pensje też?

– Nic mi o tym nie wiadomo – dyplomatycznie odparła dziewczyna.

– Trzeba być dobrej myśli – rzuciła pocieszająco Jowita.

Przyłożyła karnet do czytnika i pchnęła obrotową barierkę z metalu.

W szatni włożyła legginsy z efektem push-up, czarne z paskami w kolorze ciemnego różu. Do kompletu top, który dobrze podtrzymał biust. Spojrzała z zadowoleniem na swoje odbicie.

No, Jowitko, wyglądasz kwitnąco – pochwaliła się w myślach. Możesz się podobać.

Spięła włosy w wysoki koczek, zamknęła rzeczy w szafce i wyszła na salę.

Ruszyła prosto do bieżni, bo to od niej zawsze zaczynała treningi. Mijała mężczyzn, którzy unosili sztangi i hantle albo chodzili między urządzeniami z ręcznikami na szyjach. Udawała, że ich nie dostrzega, ale czuła, że każdy z nich zatrzymuje na niej wzrok.

No i co? Niby bliżej czterdziestki, a wyglądam na dziesięć lat mniej – pomyślała z zadowoleniem.

Dziś czuła się szczególnie piękna i pociągająca, a to poczucie chyba emanowało z niej i było wyczuwalne. Jak każda zadowolona i pewna siebie kobieta, odruchowo prostowała plecy, szła lekko, a na twarzy miała tajemniczy uśmiech. Żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny na taki widok.

Jednak Jowita, oprócz zadowolenia z nieco połączanej próżności, nie była zainteresowana żadnym z tych umięśnionych facetów. Właściwie nawet nie potrafiłaby ich odróżnić. Myśli kobiety skupione były wyłącznie na tym, co dopiero miało się wydarzyć i na co tak długo czekała.

Włączyła maszynę i zaczęła od truchtu. Stopniowo zwiększała prędkość, aż doszła do biegu. Z zadowoleniem spoglądała na licznik i ilość spalanych kalorii. Lubiła wysiłek fizyczny, pomagał jej nie tylko utrzymać figurę, ale mimo zmęczenia dawał zastrzyk energii.

Po bieżni przyszedł czas na ciężarki. Po kilku lekcjach z trenerem personalnym wiedziała, jak ich prawidłowo używać, żeby nie zrobić sobie krzywdy i osiągnąć zamierzony efekt. Jowicie nie chodziło o budowanie wielkich mięśni, chciała tylko jędrności i lekkiego podkreślenia figury.

Po godzinie była mocno spocona, ale zadowolona.

Teraz jeszcze basen – zdecydowała. A potem kwadrans w saunie, żeby skóra stała się gładziutka jak jedwab. Dzisiaj niczego nie będę sobie żałowała.

Zmiana stroju zajęła jej niespełna pięć minut i już po chwili Jowita pokonywała kolejne długości niewielkiej niecki. Pływała spokojnie, żabką, bardziej dla relaksu niż dla wyniku.

Wystarczy – uznała po dziesięciu nawrotach. *Muszę zachować siły na wieczór.* – Uśmiechnęła się do tej myśli.

– *Wesołych świąt!* – Pomachała do ratownika, który siedział na swoim krzesełku w mikołajkowej czapce na głowie.

– *Wesołych!* – odkrzyknął.

W saunie na szczęście nie było nikogo, mogła więc ułożyć się wygodnie na drewnianej ławeczce i oddać rozmarzeniu.

Widziała już oczami wyobraźni malowniczy pensjonat i bajkową okolicę. Ogień trzaskał w kominku, a za oknem rozciągał się widok niczym ze świątecznej pocztówki.

Tak właśnie będzie już za kilka godzin! – westchnęła z zachwytem. *A w sypialni wielkie, wygodne łóżko z jodłowym wieńcem nad głową.*

Ale żeby móc się na nim położyć, musiała jeszcze tam dojechać.

Czas na mnie. – Podniosła się z ławeczki.

Wysuszyła dokładnie włosy, schowała sportowe stroje do torby i opuściła szatnię.

– *Cześć!* – usłyszała za plecami.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z menedżerem klubu fitness.

– *Ty też uciekłeś z domu?* – zażartowała. – *Żona goni do pomocy, więc lepiej się schronić za atlasem?*

– *Od trzech lat nie mam żony – odparł mężczyzna.* – *A za atlasem trudno byłoby mi się ukryć – zażartował i napiął biceps.*

– *Bardzo ładnie – pochwaliła.* – *Na pewno jakaś kobieta będzie miała z tego pożytek. Sprawdzisz się jako mikołajkowy prezent.* – *Mrugnęła porozumiewawczo.*

– *Tak się składa, że spędzam święta solo – wyjaśnił.* – *A ty?*

– *Ja wyjeżdżam – powiedziała z dumą.*

– *O, szkoda – zmartwił się menedżer.*

– *Ja nie żałuję – roześmiała się Jowita.*

– A ja trochę. Myślałem, że moglibyśmy się jutro spotkać. – Zbliżył się do kobiety i popatrzył jej w oczy. – Albo nawet jeszcze dzisiaj. Wiesz, w sprawie tego prezentu...

Jowita poklepała go po twardym, umięśnionym ramieniu.

– Nic z tego, mój drogi. Nie jestem zainteresowana. Ale na pewno znajdzie się niejedna chętna na sprawdzenie twojego sześcioopak.

Menedżer przyjął odmowę ze spokojem. Chyba podzielał zdanie Jowity i nie martwił się, że całe Boże Narodzenie spędzi samotnie.

– Ale próbowałem. – Uśmiechnął się. – W każdym razie baw się dobrze. Wesołych świąt!

– Tobie również – odpowiedziała z uśmiechem. – I włóż sobie taką czapkę, jaką ma ratownik. Wygląda naprawdę zachęcająco.

Skinął głową i uniósł dłoń w pożegnalnym geście.

Jowita pomachała jeszcze z daleka recepcjonistce i opuściła klub. Szybko przeszła przez galerię, nucąc pod nosem kolędę, która rozbrzmiewała z głośników. Czuła się tak dobrze, że nie przeszkadzał jej nawet gwar ludzkich głosów i tłumy kupujących prezenty w ostatniej chwili.

– Ho! Ho! Ho! – krzyknął tuż przy niej mężczyzna w stroju mikołaja.

– Ho! Ho! Ho! – odparła radośnie.



Kolejne godziny upływały nie wiadomo kiedy. Mila wciąż przyjmowała zlecenia, odbierała i zawoziła pasażerów w wybrane miejsca.

Resztką kawy już dawno wystygła, ale Mila i tak postanowiła ją wypić. Wjechała na parking przed jednym z bloków i zatrzymała się za białym samochodem dostawczym.

Tu nikt mnie nie wypatrzy – uznała.

Jednak bardzo się myliła. Ledwie przyłożyła kubek do ust, usłyszała pukanie w szybę.

– Czy pani mogłaby mnie zawieźć na cmentarz? – padło pytanie, gdy tylko odsunęła szybkę.

Popatrzyła na kobietę stojącą przy samochodzie. Mogła mieć około siedemdziesięciu lat, ale dobrze się trzymała. Wyprostowane plecy dodawały jej powagi i elegancji, mimo że płaszcz, który miała na sobie, pamiętał lepsze czasy, co Mila poznała nie tylko po fasonie, ale przede wszystkim po wytartych miejscach wokół guzików.

Właściwie powinna powiedzieć to, co zawsze – że jeździ z aplikacji. Ale coś ją powstrzymało. Może spojrzenie kobiety, w którym dostrzegła niemą, lecz szczerą prośbę.

– Bardzo mi zależy, a wszystkie korporacje odpowiadają, że nie mają wolnych samochodów – wyjaśniła starsza pani. – Pojechałabym autobusem, ale z tą nogą...

Dopiero teraz Mila dostrzegła, że lewa stopa kobiety tkwi w ortezie nałożonej na grubą wełnianą skarpetę.

W czymś takim po śniegu! – pomyślała z przerażeniem. *Przecież za chwilę przemoknie i zapalenie płuc gotowe.*

– Proszę wsiadać – zdecydowała w ułamku sekundy. – Który cmentarz?

Kobieta usadowiła się na tylnym siedzeniu, pieczołowicie ustawiając obok siebie dużą plastikową torbę.

– Komunalny – odparła, dysząc. – Ile to będzie kosztowało?

– Tyle, ile pani zwykle płaci.

– Rzadko jeżdżę taksówkami – przyznała z zawstydzeniem pasażerka.

Mila od razu wyczuła, o co chodzi. Ludzie, którzy nie mieli zbyt dużo pieniędzy, wstydzili się tego. Sama знаła to uczucie, gdy czasami przy kasie musiała zrezygnować z kilku towarów, bo rachunek był większy niż środki na karcie. Poznała więc ten ton i wstydlive spuszczenie wzroku.

Podawała stosunkowo niską kwotę.

– Zgadza się pani? – zapytała.

– Tak, oczywiście – zapewniła ją szybko kobieta.

– W takim razie ruszamy.

Podczas jazdy Mila co jakiś czas zerknęła w lusterko, zastanawiając się, czy ją zagadnąć. Wiedziała z doświadczenia, że jedni pasażerowie lubią pogawędzić w drodze, a inni wolą jechać w milczeniu. Wyglądało na to, że kobieta należy do drugiej grupy, bo wpatrywała się w okno i nie wyrażała ochoty na rozmowę.

W sumie nic dziwnego, skoro w taki dzień jedzie na cmentarz – pomyślała Mila. Ktoś bliski musiał odejść niedawno.

Ona była na grobach męża i mamy poprzedniego dnia. By ich odwiedzić, zrobiła sobie przerwę w jazdach. Omiotła pomniki ze śniegu, zapaliła znicze, postąpiła kilka minut przy każdym z nich.

Ojca i Janka nie chciała tam zabierać. Dla dziecka Boże Narodzenie powinno być czasem bez troski i radości, tak przynajmniej uważała. A ojciec zawsze wizytę na grobie żony przyplacał kilkoma dniami głębokiego smutku, na który żadne leki nie pomagały.

Nawet to muszę udźwignąć sama – pomyślała z żalem.

Po kilku minutach zatrzymała się przed bramą cmentarza. Pasażerka zapłaciła i z trudem wygramoliła się z auta.

Mila patrzyła, jak utykając, z wysiłkiem odchodzi, niosąc ciężką torbę.

Szybko uchyliła drzwi.

– Proszę pani! – krzyknęła za kobietą.

Nieznajoma się odwróciła.

– Niech pani zaczeka! Muszę zaparkować!

Szybko zjechała na pobocze, wyłączyła silnik i włączyła światła awaryjne.

Miejmy nadzieję, że policja dziś będzie wyrozumiała. Wizja mandatu była nieco deprymująca, ale nie zdołała jej odwieść do podjętej decyzji.

Uważając, żeby się nie poślizgnąć, Mila podbiegła do kobiety.

– Zapomniałam pani powiedzieć, że mamy dziś świąteczną promocję – kłamała jak z nut. – Kurs powrotny gratis. Chciałaby pani skorzystać?

– Naprawdę?! – ucieszyła się pasażerka. – Bardzo chętnie, bo prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się jeszcze, jak wrócę...

Popatrzyła na Milę uważnie.

– Dla wszystkich taka promocja? – Wyglądało na to, że zaczęła coś podejrzewać.

– Nie. Mamy pewną pulę gratisów i sami decydujemy, komu je damy. – Właściwie nie skłamała, do pewnego stopnia było to prawdą.

– W takim razie dziękuję, że wybrała pani mnie. – Kobieta dała się przekonać.

– Wezmę tę torbę – zaproponowała Mila.

– Nie trzeba, dam sobie radę – zaprotestowała pasażerka.

W końcu zgodziła się na wspólne niesienie.

– To daleko? – zapytała Mila. – Boję się, że przemoczy pani stopę...

– Proszę się nie martwić – odparła kobieta z uśmiechem. – Mam w skarpecie dwa woreczki foliowe, a pod nimi drugą skarpetę – wyjaśniła. – Już to sprawdziłam, bo od tygodnia w ten sposób chodzę do sklepu.

Zatrzymały się przy małym grobie. Mila była zaskoczona, widząc na nim datę sprzed prawie pięćdziesięciu lat.

Kobieta wyjęła z torby dwie doniczki z gwiazdami betlejemskimi i postawiła kwiaty przed pomnikiem.

– Wiem, że do jutra zmarzną. – Spojrzała z zawstydzieniem na Milę. – Ale wydaje mi się, że podobałyby się dziecku.

– Na pewno – potwierdziła Mila.

Poczekala cierpliwie, aż kobieta rozstawi na niewielkiej płycie znicze i je zapali. Pozwoliła jej też na krótką modlitwę. Stanęła nieco z boku, żeby nie przeszkadzać nieznanemu w tej osobistej chwili.

– Już, możemy iść – powiedziała w końcu pasażerka.

Wracały powoli, patrząc na znicze palące się na innych grobach.

Nie odzywały się przez całą drogę powrotną, jednak gdy kobieta wysiadała, Mila nie potrafiła się powstrzymać.

– Jeżeli nie ma pani nikogo, to...

– Idę na wigilię do sąsiadów – przerwała jej kobieta. – Przyjaźnimy się od lat. Ale dziękuję. – Uśmiechnęła się lekko.

Mila poczuła, że kamień spada jej z serca. Nie mogłaby usiąść do stołu z myślą, że ta kobieta została sama.

– Byliśmy razem tylko trzy lata. – Usłyszała za plecami głos pasażerki. – Co roku zanoszę mu te gwiazdy. Choć taki prezent mogę mu podarować.

Trzasnęły drzwi samochodu i choć natychmiast odezwało się powiadomienie z aplikacji, Mila jeszcze dłuższą chwilę siedziała nieruchomo.



Odkręcił kran, pochylił się i zmoczył włosy. Podniósł głowę z głośnym prychnięciem. Kropelki wody rozprysły się po beżowych kafelkach.

Zadra przecesał palcami mokre włosy i popatrzył na swoje odbicie.

Przejechał dłonią po zarośniętym policzku.

Powiniennem się ogolić – stwierdził, ale zaraz odrzucił te myśl. A niby po co? Mnie to nie przeszkadza. Mogę nawet mieć brodę do pasa.

To Marzena wciąż nalegała, żeby miał gładkie policzki. Mówiła, że zarost ją kłuje, a z brodą wyglądałby niechlujnie.

No to teraz będę niechlujny – zdecydował. I nikomu nic do tego.

Poczuł przyływ męskiej siły i pewności siebie.

Wreszcie jestem wolny i mogę robić to, na co mam ochotę. Dostyc już bycia pantoflarzem i słuchania poleceń żonki! Człowiek się stara i co za to dostaje? Kopa w dupę! – wyzalał się w myślach.

Wytrzeł głowę ręcznikiem, który rzucił wprost na posadzkę.

Poszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Niestety, nie było tam nic oprócz dwóch parówek i plastikowego pudełeczka z sosem do pizzy.

– Mam gdzieś jedzenie – mruknął Grzegorz. – Najgorsze, że nie ma już ani jednego piwa.

Był pewien, że odstawił jedną butelkę na rano, najwyraźniej jednak i ją opróżnił w nocy. Dla pewności przeszukał jeszcze kuchenne szafki, ale nie znalazł niczego z procentami.

Trzeba iść do sklepu – zdecydował. Przy okazji wyniosę ten dywanik tam, gdzie jego miejsce, czyli do śmietnika.

Ubierać się nie musiał, bo wcale się nie rozbierał. Wystarczyło narzucić kurtkę i czapkę na wciąż lekko wilgotne włosy.

Kiedy schylał się, żeby zawiązać buty, poczuł, że kręci mu się w głowie. Potrzeba wypicia piwa stała się jeszcze bardziej paląca.

Poklepał kieszeń dzinsów, żeby sprawdzić, czy ma portfel, wziął zwinięte szare futerko pod pachę, wyjął klucze i wyszedł z mieszkania.

Kiedy dywanik wylądował w czarnym pojemniku, Zadra poczuł mściwą satysfakcję i uniósł ręce w geście triumfalnego zwycięstwa, czym wzbudził zaskoczenie staruszki spacerującej z grubym jamnikiem.

– Świąteczne porządki – powiedział do niej Grzegorz z krzywym uśmiechem.

Staruszka przyspieszyła kroku tak bardzo, że piesek na krótkich łapkach ledwie mógł za nią nadążyć.

Mężczyzna roześmiał się głośno, widząc, jaki przestрах wzbudził. Wcisnął pięści do kieszeni spodni i ruszył w stronę najbliższego sklepu.

Nie zwracał uwagi na mijanych ludzi, patrzył pod nogi, odliczając kolejne kroki przybliżające go do zakupu tego, czego teraz najbardziej potrzebował.

I pomyśleć, że dotychczas odmawiałem sobie nawet jednego piwka przed snem. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. Żeby jej nie śmierdziało! No, to teraz mogę nadrobić – rozgrzeszył się z dwutygodniowego ciągu.

Przed wejściem do sklepu otrzepał buty ze śniegu. Nie żeby chciał być taki porządny. Po prostu włożył adidas, a że cały czas padało, bał się, że za moment siateczka na ich czubkach przemoknie i będzie miał mokre stopy.

Nawet nie patrząc, minął półki z artykułami spożywczymi, nie zwolnił przy koszach z pieczywem. Szedł prosto do celu, a były nim przeszklone lo-

dówki na końcu pomieszczenia. To w nich czekało schłodzone piwo, na które tak bardzo miał ochotę.

Wybór zajął mu ledwie kilka sekund. Nie był smakoszem, nie uznawał żadnych nowomodnych wynalazków, więc ograniczył się do sprawdzenia procentowej zawartości alkoholu. Wybrał cztery mocne piwa i włożył je do zielonego koszyka.

Szybko przeszedł do kasy i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, czekał, aż poprzedni klient wyjmie kartę i przyłoży ją do terminala.

Wreszcie przyszła jego kolej. Ekspedientka przesunęła kod jednego piwa nad czytnikiem i wbiła liczbę do systemu.

– Jeszcze dwie połówki żołądkowej – powiedział szybko Zadra.

– Gorzka czy de Luxe?

– Gorzka. I trzy paczki pall malli. Tych grubych.

Kobieta zdjęła z półki to, o co poprosił. W tej samej chwili klient, który był przed nim, odwrócił głowę i spojrzał na Grzegorza.

No tak! Akurat na niego musiałem trafić! – pomyślał Zadra. *Skąd się tu wziął, nawet nie mieszka w tej dzielnicy.*

Kolega z komendy. Pracowali razem przy kilku akcjach, znali się od lat. Normalnie mężczyzna ucieszyłby się z tego spotkania, ale nie dziś. Bo dziś, zaraz, chciał w spokoju wypić browara. A może nawet dwa.

Miał nadzieję, że Raczyński się spieszy i pójdzie sobie, ale gdy zapłacił i wyszedł, zobaczył, że kolega czeka przed sklepem.

– Cześć – mruknął niechętnie i uścisnął wyciągniętą dłoń.

Raczyński szybkim spojrzeniem obrzucił plastikową siatkę, którą Zadra trzymał w ręku.

Przecież dobrze wiesz, co kupiłem – pomyślał Grzegorz.

– Przepraszam, że nie pogadam, ale się spieszę. – Postanowił szybko zakończyć spotkanie i dać kumplowi jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na pogaduszki.

– Grzesiek, wiem, że ci się prywatnie posypało. – Raczyński chyba postanowił nie owijać w bawełnę. Zresztą w ich policyjnym świecie wyznawali zasadę mówienia wprost i bez zbędnych wstępów.

– Daję radę. – Zadra machnął ręką. – Wszystko pod kontrolą. Pozdrów małżonkę, póki ją masz – zażartował ponuro i próbował wyminąć kolegę.

– Czekaj! – Raczyński przytrzymał go za ramię. – Może wpadniesz do nas na wigilię? Wiesz, żebyś nie siedział sam...

– Dzięki, ale nie. Zresztą mam już plany. – Szybkim ruchem uwolnił ramię.

Kumpel zmarszczył brwi, ale nie skomentował.

– Jakby co, to dzwoń – powiedział tylko.

Zadra bez słowa ruszył w stronę domu. Nie chciał z nikim rozmawiać, nie chciał też litości. W końcu był mężczyzną i potrafił sam ogarnąć swoje sprawy.

Wesołe, piskliwe okrzyki sprawiły, że podniósł głowę. To dzieciaki lepiły bałwana na zaśnieżonym terenie między blokami. A tuż obok jakiś mężczyzna ciągnął na sankach dziecko ubrane w gruby kombinezon.

Kurwa mać! – zaklął w myślach Zadra.



– A ty jeszcze tutaj?! – Katia się zdziwiła na widok kozaków współlokatorki.

Zdjęła buty i kurtkę, którą od razu powiesiła na oparciu krzesła i przysunęła do grzejnika.

– Strasznie pada. Jak tak dalej pójdzie, to do wieczora wszystko zasypie.

– Usiadła na kanapie i zaczęła rozcierać zmarznięte stopy.

Anka właśnie wyszła z kuchni z kubkiem parującej herbaty w dłoniach.

– Wiem coś o tym – roześmiała się. – Z powodu nieprzejezdnej drogi moi rodzice jeszcze nie wyjechali z tej naszej wioski.

Usiadła obok koleżanki.

– Czekają, aż odśnieżą i przejedzie piaskarka – kontynuowała swoją opowieść. – Ale jak znam życie, to może potrwać. Wiesz, jak to na wsi, któraś tam kolejność odśnieżania drogi, więc zanim tam jakiś sprzęt zabłądzi, może zejść do wieczora.

– No to nieciekawie – westchnęła Katia.

– Bez przesady. Ojciec wkurzony jak nie wiem co. Wydzwania do gminy, do sołtysa i gdzie się da. Groził, że do lokalnej gazety napisze – roześmiała się Anka.

– Bardzo bojowy ten twój tatuś. – Opis rozbawił Katię.

– A dziwisz się? Ma silną motywację. Mama mu głowę suszy, a ona to potrafi. Wiem coś na ten temat. Chodzi na pewno za nim i powtarza bez końca, że wigilii nie będzie. No mówię ci, tam musi być niezły cyrk!

– A jeśli w ogóle nie dojadą?

– Dojadą, dojadą – uspokoiła ją Anka. – Choćby ojciec własnymi rękami miał się przez te zaspy przebijać. Matka nie odpuści, znam ją!

Popatrzyła na Katię, która nadal z zapalem tarła stopy.

– Oj, widzę, że nieźle przemarzłaś na tym spacerze – stwierdziła.

Przesunęła w jej stronę kubek z herbatą.

– Bierz i pij! – nakazała. – Bo jeszcze ten wolontariat chorobą przyplącisz. Ja nie wiem, gdzie ty masz rozum, żeby w taką pogodę po polach

z psami latać. – Pokręciła z dezaprobatą głową.

– To nie kwestia rozumu, tylko serca – wyjaśniła Katia i sięgnęła po kubek. – Dzięki, kochana, może chociaż od środka się rozgrzeję.

Upiła ostrożnie kilka łyków i uśmiechnęła się.

– Pycha!

– Z cytrynką, pomarańczą i goździkami – odparła z zadowoleniem Anka. – Specjalna zimowo-świąteczna edycja.

– Trzeba przyznać, że w takich sprawach jesteś mistrzynią – pochwaliła ją koleżanka. – Do dziś czuję niezrównany smak twojej jesiennej szarlotki.

– Cóż, moja matka ma wiele wad, ale gotuje doskonale. I mnie tego nauczyła. Wiesz, jako element przygotowania do roli żony i matki – zażartowała jak zawsze, gdy chodziło o poglądy rodziców na jej życie osobiste.

– No powiem ci, że to naprawdę nieocenione umiejętności. Gdybym szukała żony, to zajęłabyś wysokie miejsce w moim rankingu.

– Teraz to przesadziłaś! – Anka żartobliwie uderzyła ją w ramię.

– Przecież to komplement! – zapewniła ją Katia. – Ja, jak wiesz, ograniczam się do makaronu z sosami i ostatecznie schabowego usmażę, ale też lubię przypalić.

– Kwestia praktyki.

– To wiem, ale mnie się praktykować nie chce. Bez obrazy, ale znam ciekawsze zajęcia. A jeśli chcę dobrze zjeść, to jadę w odwiedziny do rodziców i tam mam wszystkie smakołyki, o które poproszę. Na przykład teraz kończy się piec mój ulubiony makowiec. Tata nawet dzwonił, żeby mi o tym powiedzieć.

– Fajnych masz rodziców – westchnęła Anka. – Nie wtrącają się, akceptują wszystko, co robisz. Mój ojciec, gdybym zrobiła tatuaż, to chyba przylałby mi w tyłek, nie patrząc na to, ile mam lat.

– Fakt, nie mogę narzekać – przyznała Katia. – Chociaż przy pierwszym tatuażu też mieli obiekcje. Ale po siódmym przywykli – roześmiała się. – A kiedy oświadczyłam, że teraz ja będę tatuowała innych, to mama nawet pozwoliła zrobić sobie motylka na łopatce, żebym mogła poćwiczyć.

Anka popatrzyła na koleżankę z niepokojem.

– A co będzie, jeśli ty też nie dojedziesz?

– Bez przesady. Tory chyba odśnieżają – roześmiała się Katia.

– Lepiej sprawdź w necie, bo niejedyn raz bywały jakieś awarie i pociągi nie kursowały. Chyba chodzi o śnieg, który zrywa te przewody nad torami.

– Nie umiała tego fachowo nazwać, ale Katia zrozumiała, o co jej chodzi.

– Może i masz rację – zaniepokoiła się. – Popatrzę, czy nie ma jakichś informacji o odwołanych połączeniach.

Z nerki, którą miała przypiętą w pasie, wyjęła telefon i zaczęła przeglądać portale informacyjne.

– Nic nie piszą – poinformowała Ankę. – Chyba wszystko w porządku. Wiesz, strasznie by mi było żal tego makowca. – Mrugnęła okiem.

O mało nie upuściła telefonu, gdy ten rozbrzmiał jej w ręku melodią z *Piratów z Karaibów*.

– Mogłabyś zmienić ten obciachowy dzwonek. – Anka się skrzywiła.

– Może i obciachowy, ale przynajmniej nie da się go nie usłyszeć – odparła szybko i odebrała połączenie.

– Słucham?

– To ja, Bożena Dobrowolska – usłyszała.

– Wiem, pani Bożenko, wyświetliła mi się pani. – Uśmiechnęła się do telefonu.

Bożena Dobrowolska była koordynatorką streetworkerów zajmujących się pomocą bezdomnym. Miała, co prawda, niespełna sześćdziesiąt lat, ale w kwestii nowoczesnych technologii prawie żadnego rozeznania. Sama posługiwała się starą nokią, która służyła jej jedynie do wykonywania połączeń, a numery telefonów miała zapisane w notesiku, który nosiła w torbie. Nie dawała się namówić na nic innego, twierdząc, że to oddaliłoby ją od podopiecznych. Może to była nieco pokrętna logika, ale wszyscy ją akceptowali, bo pani Bożenka robiła tak wiele i pomogła tylu osobom, że nie sposób było kwestionować jej metod i poglądów.

– Katia, dziecko kochane, potrzebuję twojej pomocy. – Pani Bożenka od razu przeszła do rzeczy.

– Co się stało?

– Mamy dziś tę wigilię dla potrzebujących, wiesz?

Katia wiedziała. Każdego roku pani Bożenka organizowała poczęstunek dla bezdomnych i ubogich. Przez cały rok szukała sponsorów i darczyńców, żeby w wigilijne popołudnie obdarować jedzeniem tych, którzy bez takiej pomocy pozostałoby głodni w Boże Narodzenie.

W poprzednim roku Katia uczestniczyła w tym przedsięwzięciu i była porażona liczbą osób, które zgłosiły się po ten darmowy poczęstunek.

– Joasia i Paweł nie przyjdą! – oznajmiła tymczasem pani Bożenka. – Oboje chorzy, ledwie mówią, leżą z gorączką. I nie ma kto rozdawać paczek i nalewać zupy. Może ty przyjdiesz?

Katia już chciała się zgodzić, ale pomyślała o obietnicy złożonej rodzicom, o domowej wigilii, z której zrezygnowała w ubiegłym roku, aby pomóc pani Bożence...

– Przepraszam, ale nie dam rady – odparła.

– No to co ja teraz zrobię?

– Może ktoś inny... – zaproponowała Katia. – Ja naprawdę w tym roku nie mogę.

– Szkoda – westchnęła koordynatorka. – Trudno, trzeba będzie jakoś sobie poradzić. Najwyżej poczekają dłużej w kolejce. Wiesz, tylko ten śnieg...

Katia poczuła, że za chwilę jej asertywność zniknie, a ona się podda.

– Powodzenia, pani Bożenko! – powiedziała szybko. – I wesółych świąt!

Odłożyła telefon, jakby parzył ją w rękę.

– Byłam pewna, że się złamiesz – skomentowała Anka, która słyszała całą rozmowę.

– Wiesz, ten makowiec... – Katia do niej mrugnęła. – Czekałam na niego cały rok. A właściwie dwa.

Uśmiechała się, ale gdzieś w głębi serca czuła wyrzuty sumienia, że zostawia panią Bożenkę bez pomocy.

– Niech inni też się wykażą. – Słowa Anki zabrzmiały jak usprawiedliwienie decyzji Katii. – W końcu każdy ma prawo do świąt.



Artur Konopka starał się, aby jego życie było uporządkowane. W związku z tym określone czynności wykonywał w ustalone dni. Na przykład trzy kaktusy podlewał w poniedziałki, ale co dwa tygodnie, a paprotkę raz w tygodniu – oczywiście także w poniedziałek, bo to był dzień podlewania kwiatów. Wszystkie trzy rośliny znalazł któregoś dnia przy śmietniku, w niebieskiej reklamówce, bez doniczek.

Żał mu się zrobiło, zwłaszcza paprotki, której z większości gałązek opadły listki.

Nie spełniały oczekiwań, więc ktoś się ich pozbył – pomyślał gorzko. I zapewne kupił nowe. Tak najłatwiej.

A jako że kiedyś przeczytał w sieci, że rośliny także czują, a nawet, choć w to jakoś trudniej mu było uwierzyć, porozumiewają się między sobą, teraz głupio mu było zostawić te zielone kikuty na pewną śmierć z uschnięcia albo zima.

Z westchnieniem chwycił niebieskie plastikowe ucha i przyniósł kwiaty do mieszkania.

Nie miał pojęcia o ich pielęgnacji, więc zajrzał do Internetu. Przeczytał kilka artykułów dotyczących pielęgnacji kaktusów i sukulentów oraz porady dotyczące paprotek. Po tej lekturze zrobił listę zakupów i udał się do sklepu ogrodniczego, gdzie nabył ziemię, woreczek niewielkich kamyków, atomizer do spryskiwania paprotki, trzy doniczki i dwie buteleczki odpowiedniego nawozu.

Kaktusy zostawiły w skórze dłoni Artura po kilka kolców, a paprotka po przycięciu wyglądała jeszcze gorzej niż na początku, ale mężczyzna należał

do tych, którzy, gdy podejmą decyzję, nie rezygnują łatwo z raz obranej drogi. Ustawił kwiaty na parapecie nad biurkiem, dopisał do swojego planu podlewanie i czekał.

Po dwóch latach jeden z kaktusów nieoczekiwanie zakwitł. Artur zareagował na biały kwiat zaskoczeniem, ale też stwierdził, że niespodzianka sprawiła mu przyjemność. Poczuł dumę, niczym ojciec z osiągnięcia dziecka.

Paprotka także odpłacała się Konopce za opiekę. Stopniowo wypuszczała nowe gałązki i teraz była już całkiem sporą i bujną rośliną.

Warto być cierpliwym i systematycznym – pomyślał Artur, spryskując drobne listki wodą z atomizera. *Porządek sprzyja rozwojowi.*

Tak właśnie uważał i bardzo go irytowało, gdy z jakiegoś powodu musiał zmieniać ustalony wcześniej plan.

Śmieci wyrzucał zawsze w soboty, odkurzał co dwa tygodnie, we wtorki, a pranie robił w piątki wieczorem. Większe zakupy załatwiał w czwartki, ale po świeże pieczywo wychodził codziennie, bo lubił chrupiącą bagietkę. Przy okazji kupował też owoce lub coś, na co akurat miał ochotę.

Dobrze się czuł, wiedząc, że wszystko ma swoje miejsce i czas. Dawało mu to poczucie bezpieczeństwa i panowania nad chaosem życia. Niestety, święta odbierały mu także to.

Już od początku grudnia źle się czuł w sklepach. Odwracał wzrok od opakowań z mikołajami, bombkami i gwiazdkami. Przez to często zapomniał czegoś kupić, nawet lista nie pomagała. Ze złością wypakowywał w domu zakupy, sprawdzając, czego brakuje. W połowie grudnia był już tak sfrustrowany, że wypełniał koszyk zupełnie bezmyślnie i z tego powodu zazwyczaj w styczniu jadał to, czego nie lubił lub nigdy nie miał zamiaru przyrządzać – na przykład szpinak lub brzoskwinie w słodkiej zalewie, od której było mu niedobrze.

Czasami, przeciwnie, okazywało się, że nie ma w lodówce czegoś, co było mu niezbędne. I właśnie dziś, akurat w Wigilię, zauważył, że zabrakło mu jajek. A miał ochotę na jajecznicę.

Ze złością zatrzasnął drzwiczki lodówki.

– Żeby człowiek nie mógł zjeść takiego śniadania, na jakie ma ochotę! – Głośno wyraził swoją pretensję do bliżej nieokreślonego adresata.

Bary na dźwięk głosu swojego pana zamerdał ogonem.

– Nie ma się z czego cieszyć – mruknął Artur. – Będę musiał iść w sam środek tego armagedonu.

Niechętnie włożył buty i kurtkę.

– Ty zostajesz – poinformował psa, który już stanął obok niego, gotowy na kolejny spacer. – Przecież wiesz, że do sklepu cię nie zabiorę. Uwierz, że nic nie tracisz. Połóż się i poczekaj – nakazał.

Bary posłusznie wrócił na posłanie, a Konopka zamknął drzwi i ruszył po zakupy.

Nie miał zamiaru zabawić w markecie ani chwili dłużej, niż to będzie konieczne. Szybko przeszedł wzdłuż alejki, bo zgodnie z zasadami sklepowego marketingu pieczywo zawsze było na końcu.

Przynajmniej bagietka będzie świeża. – Ta myśl nieco go pocieszyła, jednak tylko do czasu, aż stwierdził, że jego ulubionego pieczywa nie ma.

– Gdzie są bagietki? – zapytał przechodzącej akurat sprzedawczyni.

– W Wigilię mamy tylko chleb – poinformowała, nawet na niego nie patrząc. – Klienci na święta nie kupują bagietek.

– A ja to co? Nie klient? – zezłościł się Konopka. – I chcę bagietkę!

Ale ekspedientki już nie było, odeszła szybkim krokiem w stronę magazynu.

Nie miał wyjścia, więc włożył do koszyka jedyne dostępne pieczywo, dołożył tekturową wytłoczkę z dziesięcioma jajkami od kur z wolnego wybiegu i stanął w kolejce do jedynej czynnej kasy.

– Człowiek się spieszy, a oni tylko jedną kasę otworzyli – narzekwała kobieta w zielonym berecie. – Przecież nie zdążę ze wszystkim przed wieczorą!

– Chyba można było przewidzieć, że dziś będzie duży ruch – dołączył do niej mężczyzna z koszykiem wypełnionym butelkami z colą i piwem. – Zupełny brak organizacji pracy!

Konopka nie zamierzał włączać się w tę dyskusję, choć doskonale wiedział, że to przemyślany zabieg marketingowy. Jedna kasa to kolejka, ale właśnie o to chodzi. Klient w oczekiwaniu na swoją kolej patrzy na półki i często jeszcze coś dokłada do swojego koszyka. Albo skusi się na drobiazgi wystawione przy kasach – cukierki, gumy do żucia czy batonik. Tak, kolejka to sposób na dłuższe zatrzymanie kupujących w sklepie i większy zysk.

Nie zamierzał jednak tłumaczyć tego obcym ludziom. Po co? Nie miał ochoty na żadne interakcje, chciał jak najszybciej wrócić do swojego mieszkania i zjeść jajecznicę. I nie słyszeć świątecznej muzyki dobiegającej z trzeszczącego głośnika.

Wreszcie przyszła jego kolej i z ulgą zapłacił kartą za swoje zakupy.

– Dziękuję – powiedziała kasjerka. – Wesółych świąt!

Konopka spojrzał na nią, ściągając brwi.

– Jeszcze nie dotarła do was poprawność polityczna?

– Słucham? – zadziwiła się kobieta.

– To nie wie pani, że nie każdy musi obchodzić święta? Że są różne religie, a nawet tacy, którzy nie wyznają żadnej? Czy nikt pani nie uświadomił, że takie słowa to molestowanie? I próba zmuszania do kultywowania określonej tradycji?

Kasjerka szybko zamrugła oczami.

– Idź pan już!

Mężczyzna stojący za Arturem szturchnął go koszykiem.

– Nie czas na wykłady! – warknął agresywnie. – Tu każdy się spieszy!

Konopka chwycił chleb i jajka. Szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Zawsze się znajdzie jakiś świr. – Usłyszał jeszcze mężczyznę. – To pewnie któryś z tych „dżenderowców”. Dla nich nie ma nic świętego! Nawet Wigilii nie uszanują!

Artur z ulgą wyszedł na ulicę i wciągnął do płuc mroźne powietrze.

– A pan był grzeczny przez cały rok? – zapytał nieoczekiwanie wesóły głos.

Odwrócił się i zobaczył młodego chłopaka w czerwono-białym stroju mikołaja.

– Widzę, że pan w nie najlepszym humorze – kontynuował przebieraniec z uśmiechem. – Ale zaraz coś zaradzimy. Na smutki zawsze najlepszy jest cukierek, to wie każdy, bez względu na wiek. Dlatego proszę się częstować. – I podsunął Konopce pod nos torebkę z logo producenta słodyczy. – No, nie ma się co zastanawiać – zachęcał. – Mamy przecież czas prezentów, każdemu coś się należy. Święty Mikołaj obdaruje wszystkich.

Artur poczuł, że tego już za wiele.

Stanowczym gestem odsunął od siebie torebkę ze słodyczami.

– Święty Mikołaj z pewnością nie reklamował czekoladowych cukierków. Ani niczego innego. Poczytaj sobie w sieci, człowieku!

Chłopak posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Chyba naprawdę masz zły dzień – stwierdził. – Trochę luzu, kolego! – poradził.

– Nie jestem twoim kolegą. – Konopka się skrzywił. – A ten twój strój to już kwintesencja komercji. Czy wiesz, że nie ma nic wspólnego ze świętym? Wymyśliła go Coca-Cola, żeby reklamować swoje produkty.

– A komu to przeszkadza? – Chłopak wzruszył ramionami. – Przecież tu chodzi o dobrą zabawę, o miłą atmosferę. Ale ty chyba nie ogarniasz. Idź lepiej do domu i nie psuj humoru ludziom.

– O niczym innym nie marzę – odparł Artur.

Wyminął mikołaja i nie oglądając się za siebie, poszedł w stronę domu.



Dzwonek do drzwi zaskoczył Jowitę. Nie spodziewała się nikogo.

Mam nadzieję, że to nie z firmy – pomyślała. Zapowiedziałam, że chcę odpocząć i nie będzie ze mną kontaktu. I choćby się paliło, planów nie zmienię – obiecała sobie po raz kolejny.

W głębi duszy miała nadzieję, że jednak nie doszło do jakiejś sytuacji kryzysowej. Firma dotychczas była najważniejsza, dzięki niej mogła żyć na wysokim poziomie.

Przez trzy dni się przecież nie zawali – tłumaczyła sobie, podchodząc do drzwi. A ja mam prawo do życia prywatnego. W końcu zatrudniam ludzi, dobrze im płacę, więc niech się postarają.

Przekręciła zamek i nacisnęła klamkę.

– Przesyłka dla pani.

Na progu stał kurier w czerwonej polarowej kurtce. W rękach trzymał niewielki karton.

Jowita odetchnęła z ulgą i odebrała paczkę.

– Proszę chwilę poczekać – poprosiła.

Odwróciła się w stronę stolika pod lustrem i ze stojącej na nim miseczki wyjęła dwie monety. Miała tam zawsze trochę drobnych, właśnie na taką okoliczność.

Wręczyła pieniądze kurierowi.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się. – Dobrych świąt!

– Na pewno takie będą. – Odwzajemniła uśmiech.

Kiedy tylko zamknęła drzwi, od razu zabrała się do rozpakowywania paczuszki.

Właściwie wiedziała, co w niej jest. Zamówienie złożyła, gdy tylko potwierdziła swój wyjazd. Napisała do sklepu, że zależy jej na dostawie przed świętami. Odpisali, że dołożą starań, ale mają mnóstwo klientów w tym okresie i nie mogą w stu procentach zagwarantować terminowej dostawy.

Jowita czekała z niecierpliwością, ale paczka nie przychodziła. I kiedy już właściwie pogodziła się z tym, że jej nie otrzyma – taka niespodzianka.

– To dobra wróżba – powiedziała do siebie.

W kartoniku znajdowało się białe pudełeczko związane złotą wstążeczką, za którą wetknięto niewielką jodłową gałązkę z maleńką złotą bombką.

Miała ochotę zajrzeć do środka, ale powstrzymała się. To przecież miał być prezent. A te rozpakowuje się wieczorem, po wieczery.

Nie będę potrafiła potem tak ładnie zapakować – stwierdziła. Muszę się uzbroić w cierpliwość. Ale jestem pewna, że w odpowiedniej chwili będzie świetny efekt.

Uwielbiała niespodzianki – zarówno te, które ją spotykały, jak i te, które robiła innym. Czuła się wtedy jak mała dziewczynka.

Z westchnieniem, bo zawartość pudełeczka wciąż ją kusila, włożyła prezent do kartonika i dopakowała do walizki.

Właściwie była gotowa.

Popatrzyła na zegarek.

Najwyższa pora ruszać – zdecydowała. Śnieg wciąż pada, więc nie wiadomo, jak będzie na drogach, zwłaszcza tych bocznych.

Po raz ostatni zerknęła w lustro. Wszystko było idealne – fryzura, makijaż, strój. Pokiwała głową z uznaniem.

Warto było pracować nad sobą – stwierdziła z satysfakcją. I wierzyć, że w końcu los musi się odmienić.

Cieszyła się na to, co miało się wydarzyć. Miała wrażenie, że jest bohaterką jakiejś bajki lub romantycznego filmu. Chwilami zdawało jej się, że to niewiarygodne, że śni...

Mimo to, gdy starała się myśleć logicznie, dochodziła do wniosku, że taki rozwój wypadków po prostu jej się należał.

Sporo przeszła, jej życie osobiste legło w gruzach (absolutnie nie z jej winy), potem została sama z ogromnym przedsięwzięciem, na którym się nie znała, a jednak dała radę.

Odbiła się od dna, odrodziła niczym Feniks z popiołów. Poradziła sobie, wiele się nauczyła, zaczęła zarabiać. Wtedy przyszedł czas na metamorfozę.

To także nie było łatwe. Ileż sił włożyła w ćwiczenia, ile bólu kosztowały niektóre zabiegi! Ale nie narzekała, bo postanowiła, że osiągnie założony cel. I zrobiła to.

Właściwie to dokładnie tak, jak powinno być – uznała po namyśle. I naturalną kolejną rzeczą teraz nadeszła pora na nagrodę.

Na samą myśl o tym uśmiechnęła się do siebie.

– Inaczej być nie mogło – powiedziała do swojego odbicia. – Jowito, teraz już będziesz w pełni szczęśliwa!

Zarzuciła na ramiona sztuczne czarne futerko, które wyglądało jak prawdziwe, a kosztowało nawet więcej. Chwyciła rączkę walizki i wyszła z mieszkania.

W garażu zapakowała bagaż i zajęła miejsce za kierownicą. Wpisała w nawigację miejsce, do którego miała dojechać.

– Cel: Pensjonat pod Trzema Górami – rozległo się z głośników.

– Właściwie powinnaś powiedzieć cel: początek szczęśliwego życia – poprawiła automat i włączyła silnik.

Brama garażu uniosła się i Jowita zobaczyła padające z nieba ogromne płatki śniegu.

Dokładnie tak, jak być powinno – powtórzyła w myślach. Po prostu idealnie.

Samochód gładko wyjechał na ulicę. Jowita ruszyła w drogę z sercem przepelnionym radością.



– Kiedy pójdziemy po choinkę?

Janek zadał to pytanie po raz trzeci w ciągu ostatnich czterdziestu minut.

Karol Zawadzki podniósł wzrok znad swojego talerza i popatrzył na wnuka.

– Ustaliliśmy, że pójdziemy, gdy skończysz jeść – przypomniał.

– Ale ja już więcej nie mogę – płaczącym tonem odparł chłopiec.

– Może mama nabiera się na takie numery, ale nie ja. – Dziadek od razu przejrzał Janka. – Widzę przecież, że zamiast jeść, kręcisz się tylko na krześle. A mama wyraźnie powiedziała, że masz zjeść drugie śniadanie.

– Akurat dzisiaj musisz mnie tak dobrze pilnować... – westchnął wnuczek.

Karol udał, że nie słyszy. Doskonale wiedział, że nie zawsze sprawdza się w roli opiekuna. Bywało, że w ogóle zapominał, że razem z nim w domu jest Janek. W lepszych chwilach robił sobie z tego powodu wyrzuty, ale gdy znowu przychodziły czarne myśli, pochłaniały go niczym brudna chmura i przesłaniały cały świat.

Mila nigdy nie miała pretensji do ojca. Przeciwnie – pocieszała go i zawsze namawiała, żeby nie rozpamiętywał tego, co mu nie wyszło. Mówiła, że to nie pomaga, i Karol wiedział, że ma rację. Tylko co z tego? Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

A przecież tylko on wiedział, jak bardzo chciałby, żeby wszystko było jak dawniej... Kiedy żyła jego Marysia, kiedy Mila była szczęśliwa i śmiała się głośno.

Karol westchnął ciężko. Wspomnienie żony natychmiast sprawiło, że ogarnął go smutek. Nie był przygotowany na jej odejście, nie zastanawiał się nigdy, jak będzie bez niej żył. A teraz okazało się, że bez Marysi nic nie jest takie samo, nic nie ma sensu...

– Dziadku!

Głos chłopca wyrwał go z zamyślenia.

– Zjadłem wszystko – oświadczył Janek, wskazując na talerz. – Oprócz ogórka kiszzonego, bo go nie lubię. Przecież wiesz! – Spojrzał z wyrzutem na starszego mężczyznę.

– Dobrze, ogórek może zostać – westchnął Karol.

Właściwie jakie znaczenie ma ogórek? – pomyślał. Czy od niego zależy czyjeś życie?

– Ty też nie zjadłeś. – Oskarżycielski głos wnuka dotarł do Karola jak przez mgłę.

Popatrzył na swój talerz, na którym leżały nietknięte kanapki, i niechętnie podniósł wzrok na chłopca.

– Nie jestem głodny – mruknął.

– Mama mówi, że za mało jesz – przypomniał rezolutnie mały. – To chyba teraz ja cię będę musiał pilnować, a nie ty mnie.

Zawadzki się skrzywił. Najchętniej odesłałby wnuka do jego pokoju, a sam posiedział w fotelu. Bo na nic innego nie miał ochoty.

Janek przyglądał się przez chwilę milczącemu mężczyźnie. Widać było, że stara się zachować spokój, ale w końcu nie wytrzymał.

– Dziadku, skoro już nie będziesz więcej jadł, to może pójdziemy teraz po choinkę? – wypalił w końcu i w napięciu czekał na odpowiedź.

Nie da mi spokoju – stwierdził Karol. *Będzie dotąd przypominał, aż wreszcie pójdziemy. Jakby to było coś, od czego zależą losy świata.*

Denerwowały go prozaiczne czynności. Większość wydawała mu się męcząca i bezsensowna. Choćby takie ścielenie łóżka. Po co to? Rano chować pościel, a wieczorem ją wyjmować. Kto to wymyślił?

Człowiek zajmuje się bzdurami, a gdzie tu miejsce na znalezienie prawdziwego sensu w życiu? – zastanawiał się godzinami. *I co zrobić, gdy nie można go znaleźć?*

Właściwie, gdyby Karol był w stanie być ze sobą naprawdę szczerzy i umiał obiektywnie ocenić swój stan, zobaczyłby, że jego egzystencjalne rozważania zajmują niewielką część czasu, który spędzał, siedząc w fotelu lub leżąc w łóżku. Prawdę mówiąc, całymi godzinami po prostu wpatrywał się w ścianę lub sufit. Zapominał o jedzeniu, gdyby nie Miła, zapewne wiele dni chodziłby w tej samej koszuli, a jego pokój zarósłby pajęczynami.

Cóż, Karol nie potrafił pozbierać się po śmierci żony i nawet leki, które zapisał mu miły psychiatra, nie rozwiązywały do końca problemu. Mężczyzna nie widział żadnego celu we wstawaniu każdego dnia, nie było nic, co

zainteresowałoby go na dłużej. Właściwie jedynie o czym marzył, to żeby wszyscy dali mu spokój.

Owszem, bywały lepsze dni. Wtedy mężczyzna jakby przypominał sobie, że jest ojcem i dziadkiem. Wręcz przyjmował to z dawną radością. Wtedy bawił się z Jankiem, a nawet żartował z Milą. To znaczy próbował, bo jakoś nie bardzo mu to wychodziło. I to właśnie zazwyczaj wzbudzało w nim wyrzuty sumienia, które szybko na nowo wtrącały go do świata smutku, wspomnień lepszych czasów i poczucia bezsensu.

– Dziaaadkuuuu. – Janek nie dawał za wygraną.

– Dobrze, dobrze, już idziemy. – Karol ze zniecierpliwieniem machnął ręką. – Tylko znajdę klucze od piwnicy.

– Są tam, gdzie zawsze. – Podeksycytowany chłopiec podbiegł do kuchennych szafek i wysunął jedną z szuflad. – Mama je tu chowa!

Z triumfalną miną wyciągnął dwa klucze zawieszony na breloczku w kształcie kotka.

– Wkładaj buty – zakomenderował dziadek.

Janek w dwie minuty był gotów do wyjścia.

Zeszli po schodach i Karol otworzył białe drzwi prowadzące do piwnicznego korytarza. Zapalił światło. Żarówka przez chwilę migotała, ale w końcu rozbłysła równym światłem.

Chłopiec pobiegł naprzód i podskakując ze zniecierpliwienia, stanął przed ich komórką.

Dziadek przez chwilę operował kluczem w dużej kłódce, aż wreszcie piwnica stanęła otworem.

– Tam jest! – Chłopiec wskazał podłużne pudełko stojące w kącie.

– Wiem przecież – odparł Karol.

– A bombki i ozdoby w tych paczkach. – Janek bardzo chciał czuć się ważny i mieć swój udział w przedświątecznych przygotowaniach. – Ja je zaniosę, dobrze? – Spojrzał pytająco na dziadka.

– Dobrze – zgodził się mężczyzna i podał chłopcu jedno z pudełek. – Tylko uważaj na schodach. I wróć tu po następne.

Dzieciak z poważną miną ruszył na górę.

Karol wyciągnął pudełko z choinką na wąski korytarz. Było lekkie, więc uznał, że z powodzeniem weźmie też kilka paczek z ozdobami. Nie uśmiechało mu się chodzenie kilka razy z dołu do góry.

Poczekał na powrót wnuka i za drugim razem zabrali już wszystko.

W mieszkaniu Janek od razu zabrał się do rozpakowywania choinki.

– Faj! Jak śmierdzi! – krzyknął, gdy otworzył pudełko.

Karol zbliżył się i pociągnął nosem. Rzeczywiście, śmierdziało. I to bardzo.

Pochylił się i zobaczył dziurę z boku opakowania.

– Wszystko jasne! – oznajmił chłopcu. – Do pudełka musiał dostać się szczur. Popatrz, jaką dziurę wygryzł.

Janek z obrzydzeniem zrobił krok wstecz.

– Ale już go tam nie ma?

– Na pewno nie – uspokoił go dziadek. – Ale jeśli miał tam gniazdo, to trzeba się spodziewać, że choinka nie jest w najlepszym stanie.

Przewidywania dziadka okazały się prawdą. Sztuczne gałązki były ogryzione, a zamiast igieł w pudełku było coś w rodzaju zielonego confetti.

Janek miał łzy w oczach.

– Dlaczego ten szczur zniszczył naszą choinkę? – zapytał z żalem.

– Bo taka jego natura – krótko odparł Karol. – Dla niego to nie choinka, tylko dobry materiał na gniazdo. Zresztą nawet gdyby nie pogryzł niczego, to już sam zapach wystarczyłby, żeby się jej pozbyć.

– Jak to: pozbyć?

– Normalnie. Trzeba ją wyrzucić.

Chłopiec popatrzył na dziadka, potem na pudełko. I znowu na dziadka.

– To co teraz? – zapytał cicho.

– Nic.

– Nie będzie choinki?

– Nie będzie – potwierdził Karol.

Zerknął na śmierdzące pudełko, potem na smutnego wnuka i poczuł, że nie ma siły.

– Muszę się napić herbaty – powiedział. – A ty idź się pobawić w swoim pokoju.



Zadra wypił pierwsze piwo, gdy tylko przekroczył próg mieszkania. Nawet nie zdjął butów. Łykał szybko, ani na chwilę nie odrywając butelki od ust. Czuł, jak alkohol płynie przez gardło i rozlewa się strumieniem po żołądku.

Opróżnił butelkę do ostatniej kropli, otarł usta dłonią i odetchnął z ulgą.

– Tego mi było trzeba – powiedział głośno.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi i zdał sobie sprawę, że w mieszkaniu panuje śmiertelna cisza.

Zrzucił buty i zaniósł zakupy do kuchni. Od razu wystawił butelki na stół, a reklamówkę niedbale wrzucił do szafki, w której stał kosz na śmieci.

Wziął drugie piwo. Tym razem pił już wolniej i po kilku łykach odstawił je na blat.

Ból głowy ucichł, pragnienie nie dokuczało.

Grzegorz sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął paczkę z papierosami i wprawnym ruchem odarł ją z folii zabezpieczającej. Zapalił i zaciągnął się głęboko dymem.

Czuł się o niebo lepiej, niż gdy się obudził. Przynajmniej fizycznie.

Zdjął wreszcie kurtkę, a potem wraz z butelką i papierosami przeniósł się do pokoju.

Odgarnął śmieci, żeby zrobić trochę miejsca na ławie, i postawił tam swój ekwipunek. Podszedł do okna balkonowego i otworzył je na oścież, bo w pokoju panował nieznośny zaduch. Czuć było zapach potu, papierosów i alkoholu.

Przez chwilę poczuł wyrzuty sumienia, ale szybko je odpędził.

Posprzątam, kiedy mi się zachce – pomyślał buńczucznie. I moja sprawa, czym pachnie w moim mieszkaniu.

Marzena zawsze dbała o porządek. Wkurzały ją nawet nierówno ustawione buty w przedpokoju. Widok tego, co teraz działo się w mieszkaniu, z pewnością przyprawiłby ją o zawał.

Zadra uśmiechnął się na tę myśl.

– No i kto tu teraz rządzi? – zapytał, jakby mogła go usłyszeć.

Zgasił niedopałek na tym samym talerzyku co o poranku i natychmiast zapalił kolejnego papierosa. Rozparł się wygodnie na kanapie, a nogi położył na brzegu ławy.

Wreszcie jestem panem we własnym domu – stwierdził z satysfakcją.

I wtedy usłyszał dobiegającą skądś melodię. To była *Cicha noc*.

Grzegorz lubił tę kolędę, zawsze włączał ją, gdy siadali do wieczerzy. Teraz przypomniła mu o tym, że żadnej wigilii nie będzie.

Mężczyzna zaklął pod nosem i poczuł, że na nowo ogarnia go złość.

Nie mogła poczekać do nowego roku? Musiała wyjeżdżać przed świętami? – analizował to samo po raz kolejny. Specjalnie to zrobiła, jestem pewien. Chciała mi dopiec, zrobić na złość. Żeby zabolalo.

Bez namysłu odszukał telefon i wybrał numer żony.

Czekał na połączenie, dopóki nie włączyła się poczta głosowa. Potem próbował jeszcze kilka razy. Marzena nie odebrała.

Może ze mną nie gadać, ale kontaktu z dzieckiem nie ma prawa mi odmawiać – pomyślał z wściekłością. A już szczególnie w taki dzień!

Próbował jeszcze raz, bez skutku. Zauważył, że telefon jest prawie zupełnie rozładowany, więc odszukał ładowarkę i podłączył urządzenie.

Nie pozbędzie się mnie tak łatwo – obiecał sobie, dopijając piwo. Chcę przynajmniej złożyć Sylwuni życzenia. Jestem jej ojcem.

Wstał i poszedł do pokoju córki. Stał w progu i przyglądał się białemu łóżeczku, pościeli w różowe kotki, małym mebelkom i pluszacom ustawionym na półkach.

Wśród tego wszystkiego powinien rozbrzmiewać śmiech jego dziecka, tymczasem i tu panowała cisza. Jeszcze bardziej przejmująca niż w salonie.

Sylwunia tak lubiła przytulać się do tego misia – pomyślał, patrząc na ogromną zabawkę siedzącą w kącie pokoju. Często nawet przy nim zasypiała. Jest większy od niej, zabawnie to wyglądało – wspominał z lekkim uśmiechem.

Natychmiast jednak spowaźniał.

Dziecko powinno być tu, w swoim pokoju. A nie tulać się gdzieś po obcych domach tylko dlatego, że jego matka histeryzuje.

Zadra zatrzasnął drzwi od pokoju córki. Wracając do salonu, rzucił okiem w głąb ich sypialni. Nie potrafił tam spać, odkąd Marzena się wyprowadziła.

Pamiętał doskonale, gdy tamtego dnia wrócił do domu po służbie. Po drodze kupił już prezent dla Sylwii pod choinkę – piękną, ogromną lalkę. Wszedł cicho, żeby schować pudło, zanim mała je zobaczy. Na palcach przeszedł do sypialni, nawet nie zwrócił uwagi na ciszę. Był pewny, że mała zasnęła, a Marzena razem z nią.

I wtedy zobaczył kartkę. Odcinała się bielą od bordowej pościeli. Wiadomość była krótka – żona informowała, że zabiera małą i wyjeżdża. Że między nimi koniec. Dwa zdania. Jak dwa strzały prosto w serce.

Zadra widział w swoim życiu wiele morderstw, ale do głowy by mu nie przyszło, jak skuteczną bronią może być kartka papieru i długopis. Że można tym tak okaleczyć człowieka. Prawie zabić.

Leżała tam nadal – na środku szerokiego łóżka, obok pudełka z lalką.

Grzegorz odwrócił wzrok.

Nawet nie mogę dać prezentu własnemu dziecku. – Nerwowo potarł nieogolony policzek.

A niby dlaczego? Jakże Marzena ma prawo mu tego zabraniać? Żadne! Przeciwnie – przepisy są po jego stronie. Jest ojcem, więc może. Zadra znał przepisy.

Odezwało się w nim to, co czyniło go jednym ze skuteczniejszych śledczych – upór i determinacja w osiągnięciu celu.

Mam zrezygnować, tylko dlatego, że Marzena tak postanowiła?! Niedoczekanie!
– zdecydował.

Wrócił do salonu i bez wahania wybrał numer swojego najlepszego kumpla z komisariatu.

– Marek? Słuchaj, stary, mam do ciebie sprawę – rzucił do mikrofonu.

– Grzegorz! Dobrze cię słyszeć. Nie odzywałeś się od tygodnia...

– No to się odzywam. Musisz mnie zawieźć do teściów.

– Nie ma sprawy. Kiedy? Mam zaległy urlop, więc po świętach mogę wziąć jakiś wolny dzień. Chociaż łatwo nie będzie, bo odkąd cię nie ma...

– Teraz – przerwał mu Grzegorz. – Natychmiast. Muszę zabrać dziecko.

Po drugiej stronie na chwilę zapanowała cisza.

– Dużo wypiłeś? – odezwał się w końcu Marek.

– Jakie to ma znaczenie? – zirytował się Zadra. – Pakuj dupę do samochodu i przyjeżdżaj. Chcę wrócić przed nocą, żeby mała mogła iść spać we własnym łóżeczku.

– Słuchaj, to nie jest mądry pomysł. Uspokój się, stary, wytrzeźwiej, ogarnij. A potem pogadaj z Marzeną – doradził kumpel.

– Ja cię nie proszę o dobre rady, tylko o pomoc. Przyjedziesz czy nie?

– Chłopie, jest Wigilia...

– To powiedz, że masz akcję czy coś.

– Nic z tego. Obiecałem dzieciakom, że będę. Od trzech lat miałem dyżury i nie byłem na wieczery.

– Odmawiasz? Serio?!

– Tak, stary. I nie dlatego, że nie chcę ci pomóc, tylko właśnie dlatego, że chcę.

– Wal się! – warknął Zadra i zakończył połączenie.

Co za świat! Nawet na kumpla nie można liczyć! – Uderzył pięścią w kanapę.
Kurwa mać! A ja bym za nim w ogień skoczył!

Poczuł się zdradzony przez kolejną osobę. Najpierw żona, teraz najlepszy kolega.

Ale Zadra już podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać. Musiał tylko znaleźć inne środki do realizacji celu.



Katia kupiła w kasie bilet i wyszła na peron.

Do odjazdu pociągu pozostał jeszcze ponad kwadrans, ale skład zaczął trasę tutaj, więc wagony już podstawiono.

Co za szczęście – pomyślała dziewczyna z ulgą. Przynajmniej nie będę marzła w oczekiwaniu na pociąg.

Mróz nie odpuszczał, ale śnieg nie padał już tak intensywnie jak rano.

– Oby nie zerwało trakcji. – Usłyszała głos jednego z przechodzących pracowników kolei.

– Nie ma obaw – odparł drugi. – Najgorzej jest, gdy się topi, a potem zamarza. No, chyba że jakieś drzewo złamie się pod naporem śniegu i upadnie na przewody. Pamiętam kilka takich przypadków...

Niezła perspektywa – westchnęła Katia. Mam nadzieję, że nie spędzę Wigilii gdzieś wśród pól, w nieogrzewanym wagonie.

Właściwie mogła wyjechać już poprzedniego dnia, ale chciała jeszcze odwiedzić psiaki w schronisku, dlatego odwlekała podróż do ostatniej chwili. No i oczywiście był jeszcze ten powód, o którym wspominała Ani – chęć uniknięcia przygotowań i przeżycia wigilijnego wieczoru jak w dzieciństwie, beztrosko i wesoło.

Ponieważ Katia była optymistką, szybko wyrzuciła z głowy obawy o trakcję kolejową. Woląca myśleć o tym, co czeka ją za kilka godzin w rodzinnym domu.

Mama na pewno uwija się w kuchni, pełna obaw, że nie zdąży – wyobrażała sobie. Ale oczywiście wszystko przygotuje na czas. A tata ubiera choinkę. Przygotował już drewno do kominka, a potem zacznie wyjmować prezenty z tych wszystkich stałych schowków, które odkryłam już lata temu. – Uśmiechnęła się do tej myśli.

Pamiętam, gdy znalazłam swojego wymarzonego misia. Ale potem żałowałam. Bo już wiedziałam, że to nie Gwiazdka przynosi prezenty. No i nie było niespodzianki.

Od tamtej pory Katia, choć wiedziała, gdzie są prezenty, nigdy żadnego nie otworzyła. Nie chciała pozbawiać się radości oczekiwania i tej niepowtarzalnej chwili, gdy wszyscy razem rozrywają kolorowe opakowania i cieszą się z niespodziewanych podarunków.

Oczywiście wiozła ze sobą prezenty dla rodziców. Zawsze kupowała je dużo wcześniej, bo prawdę mówiąc, zaczynała poszukiwania już we wrześniu. Dbała o to, żeby matka i ojciec dostali coś wyjątkowego, a to nie było łatwe. Katia należała do bardzo wybrednych poszukiwaczy i nie zadowalała się byle czym. Lubiła, gdy zaskoczenie i radość rodziców były autentyczne, a to wymagało starań. Wierzyła jednak, że pakunki, które wiezie w torbie, i tym razem będą odpowiednie.

Przycisnęła czerwony guzik przy drzwiach wagonu i weszła do środka. Odnalazła swoje miejsce, z lekkim wysiłkiem umieściła nad nim swój bagaż i usiadła.

Wykupiła miejsce przy oknie, bo lubiła obserwować mijane krajobrazy. Może i tak udałoby się usiąść przy szybie, bo o tej porze w Wigilię niewiele osób podróżowało, ale Katia wolała mieć gwarancję.

Dzisiaj z pewnością widoki będą bajkowe. – Uśmiechnęła się do siebie. Już wyobrażam sobie lasy i pagórki pokryte śniegiem. I te iskrzące się drobinki. Fajnie, że świeci słońce, będzie cudnie!

Powoli zaczynała czuć świąteczny nastrój i była przekonana, że nic tego nie zmieni.

A jednak.

Gdy obserwowała podróżnych wysiadających z pociągu, który właśnie wjechał na tor po drugiej stronie peronu, dostrzegła kobietę siedzącą na ostatniej z drewnianych ławek.

Zdziwiło ją to, bo choć u jej stóp leżała niewielka torba, w przeciwieństwie do innych ludzi nie spieszyła się do wyjścia.

Czy była tam, gdy przyszedłam? – zastanawiała się Katia, ale nie potrafiła sobie przypomnieć. *Dlaczego nie idzie do domu? Czeką na kogoś?*

Już po chwili znalazła odpowiedź na swoje pytania.

Do kobiety podeszło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy Służby Ochrony Kolei. Mówili coś, ale Katia nie mogła tego usłyszeć. Kobieta kręciła przecząco głową, mężczyźni nie ustępowali, aż w końcu jeden z nich stanowczym gestem ujął nieznajomą pod ramię i zmusił, by się podniosła.

Kobieta protestowała, widać było, że jest zdenerwowana, ale musiała ulec silniejszym od niej SOK-istom.

Tego było dla Katii za wiele.

Zerwała się z siedzenia i wybiegła na peron.

– Co panowie robią? – zapytała ostro, podchodząc do mężczyzn.

– Wykonujemy swoje obowiązki – odburknął jeden z nich.

– Ale ta pani nie chce nigdzie iść. – Katia nie pozwoliła się zbyć.

– Bezdumni nie mogą przebywać na dworcu. Podróżni się skarżą. Mamy nakaz dbać tu o czystość i spokój.

Teraz Katia zrozumiała wszystko. Istotnie, z bliska już nie miała wątpliwości, że funkcjonariusze mają rację. Pomagała bezdomnym i potrafiła ich rozpoznać. Nie tylko po ubraniu czy zachowaniu, ale przede wszystkim po oczach. To w nich widziało się całą prawdę, one nie kłamały.

– OK, panowie, ja rozumiem, że macie swoje obowiązki, ale czy trzeba od razu tak brutalnie? – Nadal stała po stronie kobiety, choć teraz starała się jakoś załagodzić sytuację.

– Próbowaliśmy spokojnie, ale ona nie chce się stąd ruszyć. – Jeden z mężczyzn wzruszył ramionami. – Jeszcze tu zamarznie i będą potem kłopoty.

– Rzeczywiście, jest zimno. – Katia zwróciła się do kobiety. – Nie lepiej byłoby pani w noclegowni?

– Nie mają miejsc – odparła ta beznamiętnie. – Zresztą ja lubię patrzeć na pociągi – dodała, jakby chcąc nadać racjonalność swojemu siedzeniu na dworcowej ławce.

– Przydałoby się, żeby pani zjadła coś ciepłego – przyjaznym tonem kontynuowała dziewczyna. – Niech pani idzie na rynek. Zaraz będzie tam wieczerza dla samotnych, będzie zupa i ciasto – przekonywała. – I proszę zapytać o panią Bożenkę. Niech jej pani powie o swojej sytuacji i o braku miejsc w noclegowni. Na pewno coś dla pani znajdzie.

– Czy ja wiem... – wahała się bezdomna.

– Proszę tam iść – powtórzyła Katia. – Tu i tak nie może pani siedzieć, prawda?

– Już widzę ten nocleg – westchnęła kobieta, ale już bez protestów sięgnęła po swoją torbę i ruszyła wzdłuż peronu.

– No i można po dobroci? – Katia spojrzała z satysfakcją na SOK-istów.

– Tak, pewnie, gdybyśmy się chcieli tak z każdym cackać, to kto by nas tu słuchał – roześmiał się funkcjonariusz. – My musimy mieć autorytet. Nie jesteśmy niańkami.

Katia chciała coś odpowiedzieć, ale na peron wyszedł właśnie konduktor i zagwizdał, ogłaszając odjazd pociągu.

Dziewczyna zerknęła raz jeszcze na odchodzącą bezdomną i w ułamku sekundy podjęła decyzję.

Wskoczyła do pociągu, chwyciła swój bagaż i w ostatniej chwili opuściła wagon.

Pociąg ruszył i zaczął nabierać prędkości. Katia odprowadziła go wzrokiem, a gdy zniknął jej z oczu, poprawiła pasek torby i poszła do wyjścia z peronu.



Trudno powiedzieć, czy na złość światu czy samemu sobie, ale Artur Konopka nieoczekiwanie uznał, że ma ochotę na śledzie.

Normalnie nie było u niego nic, co kojarzyło się z wigilijną wieczerzą, i dotychczas pilnował tego skrupulatnie, ale, jak wiadomo, w tym trudnym dla niego czasie zdarzało mu się kupować coś, czego absolutnie nie planował.

W tym roku takim niechcianym zakupem okazały się właśnie śledzie w śmietanie, i to na dodatek w promocji 3+1 gratis.

Co we mnie wstąpiło, że je wziąłem? – zastanawiał się Konopka, patrząc na cztery plastikowe pudełeczka z logo znanej firmy. *W ogóle nie przepadam za śledziami, a już zwłaszcza w zestawieniu z Bożym Narodzeniem.*

W jego rodzinnym domu na wigilijnym stole właśnie te ryby królowały. Matka podawała je w kilku wariantach – w oleju, w pomidorach z rodzynkami i smażone. Od czasu do czasu zdobywała też od koleżanek nowe przepisy i próbowała je wprowadzić, ale jakoś żaden się nie przyjął. No i pozostały trzy sztandarowe wersje, którymi matka częstowała wszystkich, oczekując pochwał.

Nic więc dziwnego, że Artur Konopka zostawił jedzenie śledzi razem z pozostałymi tradycjami i gdy zamknął po raz ostatni drzwi rodzinnego domu, postanowił, że w Wigilię już nigdy tych ryb nie tknie.

Tymczasem dziś, niespodziewanie, poczuł na nie ochotę. Na dodatek wiedział, że cztery pudełeczka stoją w równym rzędzie w lodówce.

Nic z tego – pomyślał w pierwszej chwili. *Obiecałem sobie i słowa dotrzymam.*

Bowiem Artur Konopka zawsze starał się dotrzymywać obietnic. Zwłaszcza tych danych sobie.

Ochota na śledzia jednak nie mijała. Przeciwnie, stawała się coraz większa i myśl o tym tak wypełniła głowę mężczyzny, że nie zostawiła miejsca

na żadną inną. Szybko zrozumiał, że jeśli nie zaspokoi tej dziwacznej potrzeby, nie będzie w stanie pracować ani nawet obejrzeć jakiegos filmu.

Starając się wzbudzić w sobie niechęć, zajrzał do lodówki z nadzieją, że jeszcze uda mu się wygrać z pokusą. Niestety, mylił się.

Trudno, niech będzie – westchnął po kilku minutach wpatrywania się w etykietę przedstawiającą apetyczną rybkę. *Właściwie to tylko gotowy produkt, nic specjalnie przygotowywanego* – usprawiedliwił swoją porażkę.

Zamknął lodówkę, która już zaczęła wydawać ostrzegawcze dźwięki informujące o zbyt długo otwartych drzwiczkach. Zerwał plastikową pokrywkę, potem dodatkową folię i zaatakował widelcem znienawidzone filety.

O dziwo, smakowały wyśmienicie. Lepiej, niż podpowiadała mu wyobraźnia. Spalaszował całą zawartość pudełka, nie siadając do stołu. Nawet wyrzuty sumienia związane ze zdradą własnych ideałów nie popsuky mu smaku.

Kto by pomyślał? – zdziwił się Konopka. *Może to dlatego, że dawno ich nie jadłem?*

Nie zastanawiając się wiele, wyjął i otworzył drugie pudełeczko, ale tym razem zabrał je ze sobą do pokoju.

Włączył komputer i czekając, aż się uruchomi, już powoli, smakując, zaczął się dalszą konsumpcją śledzików.

– Lepsze niż domowe – powiedział do Bary'ego.

No, może nie była to do końca prawda, ale chociaż w ten sposób Artur starał się ratować resztki własnego wizerunku. Uznał, że takie porównanie z pewnością uznane byłoby przez zwolenników świątecznej tradycji za obraźliwe, więc poczuł coś w rodzaju lekkiej satysfakcji.

Na monitorze pokazała się rubryczka do wpisania hasła, więc Konopka szybko wystukał długi rząd cyfr i liter. Jako programista miał świadomość zagrożeń, więc nie zadowolilby się nigdy hasłem, które dla hackera byłoby łatwe do złamania.

Mimowolnie pogładził się po brzuchu. Był syty i zadowolony. Teraz mógł zająć się czymś, co pozwoli mu zapomnieć o trzech dniach, które najchętniej wykreśliłby z kalendarza.

Na razie nie miał konkretnego pomysłu, więc stwierdził, że sprawdzi pocztę. Liczył na jakąś awarię albo pilne poprawki od klienta, które dałyby mu zatopić się w pracy.

Czyżby los był łaskawy? – ucieszył się, widząc wiadomość z firmowego konta.

Co prawda nie był to adres szefa, ale sekretariatu, więc nie liczył na nic spektakularnego, ale zawsze lepsze coś niż nic.

Kliknął na e-mail i wiadomość się otworzyła.

Nagle monitor na chwilę zgasł, a po sekundzie zapalił się ponownie. Artur zobaczył uśmiechniętą twarz mikołaja w czerwonej czapce z białym futrzanym otokiem. Wypełniała cały ekran. Biała broda kontrastowała z rumianymi policzkami, a niebieskie oczy wpatrywały się wprost w Konopkę, jakby naprawdę go widziały.

Mężczyzna znieruchomiał.

Tymczasem święty mikołaj chrząknął, uśmiechnął się i zaczął mówić:

– Kochany Arturku, podobno przez cały rok pilnie i z oddaniem wykonywałeś polecenia swojego szefa. Wiem, że pisałeś wszystkie kody błyskawicznie i na pewno jesteś z siebie dumny. Bez wątpienia należy ci się nagroda. Długo zastanawiałem się, co powinienes dostać, zapytałem więc o to twoich kolegów. I oni doradzili mi, że najlepszym prezentem dla ciebie będzie...

Staruszek zawiesił głos. A następnie skrzywił się brzydko i krzyknął:

– Różga!!!

Po czym zaniósł się demonicznym śmiechem i zniknął z ekranu.

Konopka pokręcił z niesmakiem głową. Po pierwszym zaskoczeniu od razu zrozumiał, że ta wiadomość jest głupim dowcipem kolegów z pracy. W końcu wszyscy wiedzieli, jaki jest jego stosunek do Bożego Narodzenia.

„Bardzo śmieszne” – napisał w wiadomości zwrotnej. „Sądziłem, że stać was na więcej”.

Kliknął WYŚLIJ.

Później wykasował wszystkie wiadomości o tytule: Wesołych Świąt. Wiedział, że zawierają życzenia od klientów, elektroniczne kartki świąteczne i grafiki z choinkami. Nawet ich nie otwierał.

Do wieczora było jeszcze daleko, a on już miał dość.

Najgorsze, że nie było nic, czym mógłby się zająć. Pozostały mu tylko zaległe seriale.

– Chyba czekają nas bardzo nudne dni. – Popatrzył na psa, który drzemał na swoim legowisku.

Sprawdził jeszcze, czy jego ostatni program działa bez zarzutu, ale wszystko było jak należy. Wylączył więc komputer i poszedł do kuchni, żeby wyrzucić pudełeczko po śledziach.

Bo Artur Konopka bardzo chciał mieć porządek. W mieszkaniu i w życiu.



Po obu stronach drogi piętrzyły się śnieżne zaspasy.

Trzeba przyznać, że drogowcy przynajmniej raz dali radę – pomyślała Jowita.

Pokonywała kolejne kilometry, jadąc ostrożnie, ale na szczęście nawierzchnia była czysta, bez pośniegowego błota.

Wyglądało na to, że odśnieżono ją niedawno, bo świeży śnieg jeszcze nie zdążył przykryć warstwy soli wysypanej przez pługosolarkę.

Oby wszędzie tak było – zażyczyła sobie Jowita. Niech wszyscy kierowcy szczęśliwie dojadą do domu, a towar do celu. I niech nic nie zmąci mi tych świąt.

Na razie los jej sprzyjał.

Wzięła pewnie kolejny zakręt i wtedy zauważyła, że zamigotała kontrolka stanu paliwa.

Trzeba będzie zatankować – zdecydowała. Nie wiadomo, czy po zjeździe z głównej drogi znajdzie jakąś stację. Jeszcze tego brakowało, żeby zabrakło mi benzyny.

Nacisnęła kilka razy na wyświetlacz nawigacji i komputer już za moment wyświetlił odległość do najbliższego miejsca tankowania.

Całkiem niedaleko, tylko pięć kilometrów.

Jowita zerknęła na zegarek.

Przy okazji napiję się kawy – zdecydowała. Nadrobiłam trochę czasu na trasie, więc przysiądę na kwadrans.

Po chwili zobaczyła tablicę informacyjną i zjazd do stacji benzynowej. Zmieniła pas i podjechała powoli do dystrybutora.

Nie zdążyła jeszcze wysiąść, gdy do samochodu podbiegł młody pracownik.

– Ile zatankować? – zapytał z uśmiechem.

Jowita wyjęła z torebki portfel, a z niego banknot, który wsunęła chłopakowi do kieszeni polaru.

– Do pełna poproszę. – Odwzajemniła uśmiech.

Kiedy jeździła starym fordem i ważyła dwadzieścia kilogramów więcej, nikt nie biegł, żeby ją wyręczyć. Ale nie zamierzała się za to mścić i karać całego świata, bo właściwie dobrze się czuła ze świadomością, że ma świetny wóz i może bez problemu dać jako napiwek kwotę, która kilka lat temu musiała wystarczyć jej na przeżycie całego dnia. I to traktowała jako swoje zwycięstwo nad męskim światem – teraz ona dyktowała warunki.

Takie jest życie, co robić – westchnęła. Jeśli odmówię, to czy świat stanie się sprawiedliwszy? A może ten chłopak potrzebuje paru złotych, tak jak kiedyś ja? Dlaczego mam mu nie dać?

Poza tym była w tak dobrym nastroju, że gotowa była nawet nagiąć nieco swoje feministyczne poglądy. Po prostu chciała, żeby wszyscy byli tak szczęśliwi jak ona.

Weszła do budynku stacji, zapłaciła za paliwo i kawę.

– Może ciasteczko do kawy? – zapytała dziewczyna przy kasie. – Mamy dziś promocję.

– Dziękuję. – Jowita pokręciła przecząco głową. – A chociaż dobre te ciasteczka?

– Mnie smakują – odparła blondynka. – Zwłaszcza te czekoladowe muffinki.

– To proszę mi policzyć tę czekoladową – zdecydowała Jowita.

A gdy dziewczyna położyła na ladzie ciastko zapakowane w foliowy woreczek, przesunęła je w jej stronę.

– To dla pani. – Uśmiechnęła się.

– Dziękuję.

Jowita zrobiła sobie kawę i usiadła na wysokim krześle przy wąskim stoliku umiejscowionym wzdłuż okna. Piła powoli, bo napój był gorący. Obserwowała towary wyłożone na półkach, zastanawiając się, co jeszcze będzie można kupić na stacji benzynowej. Były już słodczyce, jedzenie, a nawet alkohol. Nie mówiąc o pamiątkach, zabawkach i prasie.

Może kosmetyki? Albo obuwie? – przychodziły jej do głowy coraz bardziej irracjonalne pomysły. *Albo mięso.*

Mało brakowało, a parsknęłyby śmiechem.

Już i tak dziewczyna za ladą zerknęła na nią od czasu do czasu z zainteresowaniem.

Postanowiła więc jeszcze raz do niej zagadnąć.

– Mam nadzieję, że zdąży pani do domu na wieczerzę?

Blondynka pokręciła głową.

– Niestety nie. Stacja jest czynna całą dobę, dla nas nie ma świąt. Normalnie pracujemy. Mam zmianę do późnego wieczora.

– Bardzo mi przykro – szczerze odparła Jowita.

– Mnie też, chociaż już się przyzwyczaiłam, że czasami pracuję w weekendy. Ale Wigilia jest najgorsza – westchnęła. – Chciałoby się być wtedy z najbliższymi.

– To prawda – zgodziła się Jowita.

– Cóż, taka praca. Mam nadzieję, że w przyszłym roku się uda. Szczególnie mi przykro, że nie zobaczę, jak córeczka otwiera prezenty. – Uśmiechnęła się smutno na wspomnienie dziecka.

Jowita dopiła kawę i wrzuciła papierowy kubek do odpowiedniego pojemnika.

Kiedy wychodziła, zauważyła małe czerwono-białe czapeczki leżące na półce z zabawkami. Przypominały te urodzinowe gadżety, tyle że w świątecznej odsłonie.

Jakie zabawne! – pomyślała i bez zastanowienia wzięła z półki trzy sztuki.

– Jeszcze to poproszę.

Blondynka uśmiechnęła się i przyjęła zapłatę.

– Jedna dla córeczki. – Jowita podała dziewczynie jedną z czapeczek.

– Dziękuję. Powiem jej, że to od Mikołaja.

– Takiego w czarnym futerku. – Jowita mrugnęła porozumiewawczo. – Do widzenia.

– *Wesołych Świąt!*

– Dla pani również.

Otuliła się szczelniej szalikiem, zapięła futerko i szybkim krokiem poszła do auta.

Zanim ruszyła w dalszą drogę, znalazła playlistę ze świątecznymi piosenkami. Włączyła odtwarzanie i pomyślała o tym, jakie ma szczęście.

Wreszcie spędzę ten czas jak należy. Tak, jak powiedziała ta dziewczyna – pomyślała radośnie.

Podśpiewując razem z wokalistką, wyjechała z powrotem na główną drogę. Nacisnęła mocniej pedał gazu i postukując palcami w kierownicę, wybijała rytm melodii. Dzwoneczki w tle brzmiały wesoło, a ona czuła, że jej serce wypełnia się szczęściem.

Pracownik stacji benzynowej odprowadził wzrokiem odjeżdżające auto.

– Bogata babka – skomentował. – Ty wiesz, ile mi wsunęła do kieszeni?

Dziewczyna za ladą pokiwała głową.

– Samochód klasa, ciuchy też z górnej półki.

– Na pewno nie żyje za najniższą – gorzko stwierdził chłopak.

– Ale trzeba przyznać, że bardzo miła kobieta – odparła dziewczyna. – Nie wywyższała się, normalnie pogadała i jeszcze zostawiła czapeczkę dla mojej małej.

– A co to dla niej. – Chłopak wzruszył ramionami. – Tyle, co splunąć.

– Czy ty zawsze musisz wszystko krytykować? – zirytowała się blondynka. – Jest Wigilia, więc może trochę więcej życzliwości dla świata, co? W taki dzień każdy powinien zrobić coś dobrego.

– Na przykład zostawić czapeczkę za grosze kasjerce na stacji paliw? – zapytał ironicznie.

– A chociażby. – Nie dała się wyprowadzić z równowagi. – Liczy się gest i intencje.

– Dobrze byłoby, gdyby tego dobra starczyło też na pozostałe dni – zauważył chłopak. – I tych intencji też.



Zlecenie na monitorze pojawiło się już prawie pół godziny temu, a nadal nikt na nie nie odpowiedział.

Mila zdążyła już odwieźć dwóch kolejnych klientów, a ono wciąż migało.

Nic dziwnego – pomyślała dziewczyna. W każdy inny dzień od razu byłoby mnóstwo chętnych na taką gratkę, ale nie dziś. Dzisiaj każdy chce przed wieczorem wrócić do domu, a jeśli nawet będzie jeździł, to z przerwą na wieszanie.

– Kto pani dał prawo jazdy? – zdenerwowała się klientka. – Zalicza pani każda dziurę w jezdni!

– Przepraszam. Zamyśliłam się – przyznała skruszona Mila. – Postaram się jechać ostrożniej.

– Dobrze byłoby – odparła kobieta. – Bo mój kręgosłup nie lubi takich wstrząsów.

Mila skinęła głową.

Jednak kiedy jej pasażerka wysiadła, a zlecenie nadal nie znikło z monitora, Mila sięgnęła po telefon.

– Cześć, tato!

– Dzwonisz, żeby mnie sprawdzić? – odpowiedział ojciec.

– Nie, skąd! – zapewniła.

– Akurat! – Zawadzki nie uwierzył córce. – No cóż, obaj żyjemy. Janek zjadł na drugie śniadanie dwie kanapki z żółtym serem, ale bez ogórka kiszzonego – zrelacjonował.

– Nie lubi ogórka – odparła bez zastanowienia Mila.

– Tak, już mi o tym przypomniał.

Dziewczyna wyczuła, że ojciec nie jest w najlepszym nastroju. I to właściwie przesądzało sprawę. Już wiedziała, że powinna jak najszybciej wrócić do domu. Może nawet zaraz.

Tylko co z zarobkiem? – pomyślała w rozterce. Jeszcze dwie godziny dałyby mi co najmniej stówkę. To sporo.

Popatrzyła na oczekujące zlecenie.

– Tato, ja niedługo wrócę – poinformowała go, wzdychając.

– Miałaś pracować do wieczora – przypomniał.

– Tak, ale nie chcę, żebyście siedzieli sami całą Wigilię...

– Daj spokój, przecież ci mówię, że wszystko jest w porządku – zniecierpliwił się ojciec. – Przyznaj, chcesz wracać, bo uważasz, że nie można mnie zostawić z własnym wnukiem. Naprawdę myślisz, że ja już do niczego się nie nadaję?

I co miała odpowiedzieć?

– Tato, przecież wiesz, jak jest...

– Wiem. I na razie wszystko jest w porządku. Ja piję herbatę, Janek się bawi. Nie ma powodu, żebyś wracała wcześniej.

Mila przez moment biła się z myślami.

– Naprawdę dajecie sobie radę?

– Mówię przecież – zniecierpliwił się ponownie ojciec.

– Bo widzisz, mamy tu zlecenie na dalszą trasę – zaczęła niepewnie. – I właśnie się zastanawiam...

– Taki kurs to chyba większy zarobek? – zauważył ojciec.

– Dużo większy – przyznała otwarcie. – Może nawet kilkaset złotych. Tym bardziej że czeka dłuższą chwilę.

– W takim razie weź ten kurs. Tylko podaj odpowiednią kwotę, wiesz, taką świąteczną.

Zdziwiła ją wyjątkowa przytomność ojca. Ostatnio niewiele się przejmował finansami i domowym budżetem.

Może rzeczywiście te nowe leki lepiej działają – pomyślała z nadzieją.

– Tato, ale jesteś pewien? Bo to zajęłoby mi kilka godzin. Ze cztery na pewno...

– Damy sobie radę – zapewnił ją Zawadzki.

Mila nadal nie potrafiła podjąć decyzji. Wahala się. Ale głos ojca brzmiał nad wyraz przytomnie, a wizja dobrego zarobku była mocno kusząca.

Mogłabym kupić Jaśkowi nową kurtkę. – Zagryzła wargę.

– Dobra, tato, wezmę to – zdecydowała w końcu.

– I bardzo dobrze.

– Ale jakby co, to dzwońcie do mnie. Jestem cały czas pod telefonem.

– Nie martw się o nas. Lepiej uważaj na siebie.

Nigdy wprost nie odniósł się do jej pracy, nigdy nie nawiązał do jej zajęcia. Wraz z tamtymi nieszczęśliwymi wydarzeniami temat jazdy samochodem przestał dla niego istnieć. I choć nie protestował, gdy powiedziała, co będzie robić, to czuła, że tego nie pochwała.

Też wolałaby mieć inną pracę, ale nie miała wyboru. Jako kierowca taksówki mogła sama decydować, kiedy i jak długo pracuje, a tylko w ten sposób udawało jej się pogodzić pracę z opieką nad synem i ojcem.

– Dobrze, będę ostrożna – obiecała. – I zadzwonię z trasy, żebyście się nie martwili.

– Będziemy na ciebie czekać.

W tym momencie do pokoju wbiegł Janek.

– To mama?! – zapytał.

– Tak. – Karol skinął głową.

– Mamo! Mamo! Nawet choinki nie będzie! – krzyknął mały. – Zrób coś, mamo!

Ale Mila już tego nie usłyszała.

Rozłączyła się i przez chwilę jeszcze zwlekała z ostateczną decyzją.

Czy mogła wierzyć zapewnieniom ojca? Czy na pewno czuł się na tyle dobrze, żeby opiekować się Jankiem jeszcze przez kilka godzin? A jeśli zaśnie? Albo znowu popadnie w ten dziwny stan, gdy nic go nie obchodzi?

Wpiszę pięćset złotych – postanowiła. Jeśli klient się zgodzi, to pojedę, a jeśli nie – wracam do domu za godzinę.

Tak zrobiła i czekała na odpowiedź.

Ekran zamigotał i zobaczyła, że kwota została zaakceptowana.

Chyba komuś bardzo zależy – uznała. Cóż, los zdecydował. Jadę.

Ruszyła pod wskazany adres.

Starła się już nie myśleć o pozostawionych w domu najbliższych. Musiała założyć, że wszystko będzie dobrze. Starła się skoncentrować na nieoczekiwanym zarobku i traktować to jako szczęśliwą okazję.

Może to prezent dla mnie od losu? – pomyślała z nadzieją. Taki prezent na święta.

Ta wizja wydała się Mili optymistyczna i pozwoliła pozbyć się niepokoju.

Byle tylko klient był sympatyczny, czeka nas długa droga – stwierdziła. Ciekawe, co go skłoniło do takiej nagłej i kosztownej podróży w wigilijne popołudnie?



Zadra od godziny wpatrywał się w ciemny ekran telefonu. I nic.

Niebywałe! A tyle gadania, że ludzie pracy nie mają, że społeczeństwo biednieje. To dlaczego nie ma nikogo, kto zawiózłby go do córki?!

Kilka razy sięgał po piwo, ale odstawiał butelkę. Przecież nie pojedzie do Sylwuni pijany, prawda? Marzena od razu miałaby pretekst, żeby go wyrzucić. O nie, nie da jej tej satysfakcji! Niedoczekanie!

Nerwowo bębnił palcami po blacie.

Wysłał zapytanie we wszystkich aplikacjach firm zajmujących się przewozem i na razie nie otrzymał żadnej odpowiedzi. A innego sposobu na dostanie się do domu teściów nie było.

Że też musiałem wziąć żonę z takiej pipidowy na końcu świata – denerwował się Grzegorz. Gdyby mieszkali w mieście, mógłbym iść piechotą, ale na tę wieś nie doszedłbym do sylwestra. Cholera jasna!

Każda minuta zdawała się trwać w nieskończoność.

Próbował jeszcze raz zadzwonić do kumpla, ale odebrała jego żona.

– Sorry, Grzesiu, ale Marek właśnie wyszedł z dziećmi na sanki – poinformowała go tak słodko, że od razu wiedział, że kłamie. – Zostawił telefon, żeby mu gdzieś nie wypadł.

– Jasne, rozumiem – odparł takim tonem, żeby zorientowała się, że przejrzał tę grę.

– Coś mu przekazać?

– Nie, dzięki.

– A co u ciebie? Marek mi powiedział o Marzenie. Tak mi przykro. – Udała zasmuconą, a przecież wiedział, że nic jej to nie obchodzi. – Może wpadniesz do nas na wieczerzę? W Wigilię nikt nie powinien być sam...

– Nie będę sam – odparł twardo i z przekonaniem. – Spędzę święta z córką. Pójdę z nią na sanki, jak każdy dobry ojciec. – Nie powstrzymał się od złośliwości.

Ta rozmowa jeszcze spotęgowała jego złość. Szczególnie na kobiety.

Co to za istoty?! Zawsze muszą postawić na swoim. I chcą rządzić! – Zacisnęła szczęki tak mocno, że aż zazgrzytały zęby. Gdyby nie ona, Marek na pewno pojechałby ze mną. Ale żonka robi wszystko, żeby być najważniejsza. Nie ma dla nich żadnych świętości, nie rozumieją, co to przyjaźń. Bo tylko one się liczą!

Telefon nadal milczał.

Zadra w końcu nie wytrzymał i opróżnił butelkę.

Zdążę wytrzeźwieć, zanim dojadę – stwierdził. O ile w ogóle się uda.

Wizja porażki wydała mu się katastrofą.

Jeżeli nikt nie odpowie w ciągu kwadransa, po prostu wyjdę na wylotówkę i będę łapał stopa – postanowił.

Ten pomysł, choć ryzykowny, dawał przynajmniej jakąś nadzieję. A Zadra, choć nigdy by się do tego nie przyznał, bardzo jej potrzebował.

Nagle telefon wydał krótki dźwięk i pojawiła się informacja o przycho-
dzącej wiadomości.

Grzegorz chwycił telefon i przesunął palcem po ekranie.

To z aplikacji przewozowej – ucieszył się.

Jednak gdy zobaczył stawkę zaproponowaną przez kierowcę, w pierwszej chwili miał ochotę rzucić telefonem o ścianę.

– To chyba lekka przesada – stwierdził głośno. – Komuś się w głowie po-
przewracało! Tyle kasy?!

Ale czy miał inne wyjście? Stanie przy drodze nie dawało mu żadnej pewności, że ktoś go zabierze i kiedyś dotrze do celu. Tu stawka była zapo-
rowa, ale gwarantowała mu dojazd na miejsce.

Praca nauczyła Zadrę błyskawicznego podejmowania decyzji. Nie raz i nie dwa musiał w ułamku sekundy przeanalizować sytuację i wybrać naj-
korzystniejsze rozwiązanie. Może nie zawsze racjonalne, ale skuteczne.

I tym razem zadziałał instynkt. Natychmiast zdecydował, co jest dla
niego najważniejsze.

Niech ci będzie – pomyślał ze złością i kliknięciem potwierdził ofertę.

Po chwili otrzymał wiadomość, że kierowca będzie za kwadrans.

Mężczyzna natychmiast poderwał się z kanapy. Nie miał zbyt wiele czasu, ale nieraz działał pod taką presją.

Wyjął z szafy świeżą bluzę i T-shirt. Przebrał się błyskawicznie.

Teraz jeszcze portfel i telefon – wyliczył w myślach niezbędne rzeczy.

Obrzucił spojrzeniem pokój, jakby widział go po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Przecież nie przywiozę Sylwuni do takiego chlewu – trzeźwo ocenił to, co zobaczył. Muszę tu jakoś ogarnąć przed wyjazdem.

Na większe porządki nie było czasu, więc przyniósł z kuchni worek na śmieci i wprost do niego zgarnął większość tego, co było na ławie – butelki, papiery, paczki po papierosach, jakieś paragony... Pozbierał pudełka po pizzy i razem z workiem postawił je przy drzwiach.

Zebrał jeszcze talerzyki i szklanki, włożył je do zmywarki.

Nie jest najgorzej – ocenił nieco na wyrost. Odkurzę, gdy wrócimy. Najważniejsze, że pokój małej jest w porządku.

Nieco uspokojony zerknął na zegarek. Pozostały mu trzy minuty. W sam raz, żeby odwiedzić toaletę.

Kiedy zobaczył w lustrze swoje odbicie, od razu zrozumiał, że jest jeszcze coś, co musi zrobić.

Trudno, najwyżej kierowca poczeka – zdecydował. W końcu płacę mu kupę kasy.

Niewiele mógł poradzić na poszarzałą skórę i podkrążone oczy. Jednak pokryte ciemną szczecina policzki musiał doprowadzić do porządku.

Włączył golarkę i starając się nie myśleć o swoim fatalnym wyglądzie, przesuwał ostrzami po zaroście.

Po chwili mógł ocenić efekty zabiegu.

Może nie jest idealnie, ale dużo lepiej – uznał.

Bo co innego miał pomyśleć? Że z jego twarzy można wyczytać wszystkie dni ostrego picia? Że wygląda jak stary kapeć?

Jestem po prostu zmęczony – wybrał bezpieczne usprawiedliwienie. To przez stres. Jakoś musiałem odreagować. Ale kiedy będę z Sylwunią, wszystko się zmieni. Ogarnę się.

Dźwięk aplikacji oznajmił, że taksówka czeka przed blokiem.

Idealnie. – Pokiwał głową, gładząc ręką po policzku. *Zdążyłem.*

Włożył buty i kurtkę, czapkę wcisnął do kieszeni i wyszedł z mieszkania.

W połowie drogi na parter przypomniał sobie o czymś i biegiem zawrócił na górę.

Zabrał pudło z lalką, a gdy po raz drugi opuszczał dom, zauważył przygotowane do wyrzucenia śmieci. Przełożył pudło pod pachę, a do ręki wziął worek i pudełko.

Po wyjściu z klatki skinął głową w stronę czekającego samochodu i wskazał na worek, dając do zrozumienia, że musi podejść do śmietnika.

Mało brakowało, a wrzuciłby do kontenera także pudło z lalką. Na szczęście zorientował się w ostatniej chwili.

To wszystko przez ten pośpiech – pomyślał. Ale teraz już będzie z górki.

Popatrzył na lalkę, która uśmiechała się zza przezroczystej folii.

Ależ się Sylwunia ucieszy!

Zadra wyprostował plecy i pewnym krokiem podszedł do taksówki. Wreszcie odzyskał poczucie, że coś od niego zależy.

Otworzył drzwiczki samochodu, włożył pudełko na tylne siedzenie, a potem sam zajął miejsce na przykrytej szarym kocem kanapie.

– Możemy jechać – rzucił krótko. – Byle szybko, bo mi się spieszy.



Katia miała wprawę w długich spacerach, więc drogę do mieszkania pokonała bez większego wysiłku, nawet pomimo ciężkiej torby.

Czy ja zawsze muszę się spieszyć? – pomyślała z rozbawieniem. *Pół godziny temu też prawie biegłam, żeby zdążyć na pociąg.*

Na szczęście czworonożni przyjaciele dbali o jej kondycję, więc nawet nie dostała zadyszki. Trochę zmarzły jej dłonie, mimo rękawiczek, bo mróz nie odpuszczał.

Wbiegła po schodach i z ulgą zrzuciła kurtkę w ciepłym przedpokoju.

Jakie to szczęście mieć dach nad głową i ogrzewanie. – Wspomniała kobietę spotkaną na dworcu. *Ludzie nie doceniają takich rzeczy.*

Podczas kilkuletniej pracy jako wolontariuszka w organizacji pani Bożenki miała okazję wiele zobaczyć. Poznała mnóstwo tragicznych historii, oglądała ludzi, którzy znaleźli się na dnie. Wiele się nauczyła, wiele zrozumiała.

Fakt, wielu z nich spotkał taki los niejako na ich własne życzenie, inni nie mieli najmniejszej ochoty na zmiany czy walkę o siebie, ale bywali także tacy, którzy w wyniku jednej błędnej decyzji czy nieszczęśliwego zbiegu okoliczności stracili wszystko i znaleźli się na ulicy.

Katia widziała różnicę, nie każda historia budziła w niej współczucie, ale uważała, że są chwile, gdy każdy potrzebuje pomocy. Nie oceniała rodzin swoich podopiecznych, bo rozumiała, że pewnych rzeczy nie sposób wybaczyć i ona sama też zapewne by nie potrafiła. Jednak po namyśle doszła do wniosku, że właśnie dlatego jest potrzebna. Uznała, że nie do niej należy ocenianie bezdomnych, nie jest jej rolą także ich rozgrzeszanie, ma im jedynie zapewnić to, co niezbędne do przeżycia. Czasami było to łóżko w noclegowni, innym razem ciepła zupa.

Nie wszyscy chcieli pomocy, nie każdy ją przyjmował. Z tym też musiała się pogodzić. Pani Bożenka wyjaśniła jej, że nie da się pomóc na siłę, że każdy ma wolną wolę i sam decyduje o swoim życiu. Nawet jeżeli są to złe decyzje i prowadzą do upadku.

– Kiedy to zrozumiesz, będzie ci łatwiej – powiedziała i miała rację.

Teraz już Katia to wiedziała. A także to, że nadmierna pomoc w wielu wypadkach odnosi przeciwny skutek – nie motywuje do zmiany, lecz tylko zapewnia większy komfort tkwienia w destrukcyjnym postępowaniu. Wsparcie powinno dawać szansę, ale także wymagać czegoś od tego, kto je otrzymuje.

Oczywiście były też sytuacje ekstremalne – szczególnie zimą. Wtedy chodziło o ludzkie zdrowie, a nawet życie. W takich momentach nie należało pytać o nic, tylko podać ciepły posiłek czy zapewnić schronienie.

I tych zasad Katia się trzymała.

Mało brakowało, a zapomniałabym o tym, co najważniejsze – pomyślała, rzucając torbę na łóżko. Gdyby nie ta kobieta...

Tak, Katia coś sobie obiecała i o mały włos nie dotrzymałaby tej obietnicy.

Dobrze, że czasami los daje nam znaki – pomyślała. I dobrze, że ja ten znak dostrzegłam.

Musiła jednak zawiadomić rodziców o zmianie swoich planów. To było najtrudniejsze.

Cóż, będą musieli jakoś to zaakceptować – westchnęła, sięgając po telefon.

Wybrała numer i zastanawiała się, w jaki sposób powinna zacząć.

– Co tam, córeczko? – W głosie ojca usłyszała niepokój.

– Hej, tato! Dzwonię, żeby powiedzieć, że jednak do was nie dojadę. – Postanowiła od razu postawić sprawę jasno.

Zawsze miała z rodzicami świetny kontakt i już dawno ustalili, że najlepiej mówić o wszystkim wprost. Podchody i niedomówienia tylko komplikują sytuację.

Dziewczyna nie obawiała się więc tego, że matka lub ojciec się obrażą. Raczej chodziło o to, że będą zawiedzeni. Tęsknili za nią, tak samo jak ona za nimi.

– Spóźniłaś się na pociąg? To może ja po ciebie przyjadę? – zaproponował z miejsca ojciec. – Co prawda to trzy godziny w jedną stronę, ale powinniśmy zdążyć z wieczerzą przed północą, a to najważniejsze – zażartował. – I mama nie będzie się stresowała, że ma tak mało czasu.

Katia się uśmiechnęła.

– Nie, tato, nie w tym problem.

– To co się stało? Mam nadzieję, że nic złego...

– Spokojnie, wszystko w porządku – zapewniła go pospiesznie. – Jestem cała i zdrowa.

– Ufff. – Mężczyzna odetchnął z ulgą. – Mów w takim razie, o co chodzi, bo mama już tu przy mnie stoi i widzę, że poziom stresu u niej wzrasta. O ile to jeszcze w ogóle możliwe, biorąc pod uwagę, że właśnie lepila pierogi, a wiesz, że to wigilijny etap krytyczny.

Ojciec zawsze żartował, ale Katia wiedziała, że pod tymi dowcipami kryje się prawdziwa troska i szczyry niepokój o córkę.

– Powiedz mamie, żeby zamroziła trochę pierogów – poprosiła.

– Słyszy – poinformował ją ojciec.

Matka najwidoczniej odebrała mężowi telefon, bo Katia usłyszała w słuchawce jej głos.

– Dziecko, coś ty znowu wymyśliła? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że kolejny raz spędzimy Wigilię sami...

– Niestety, mamó – westchnęła dziewczyna. – Muszę zostać.

– To może chociaż wymyśl jakieś usprawiedliwienie, które mnie przekonają. – W głosie matki zabrzmiały nutki żalu.

– Nie muszę niczego wymyślać. Po prostu w ostatniej chwili rozchorowała się dwójka wolontariuszy, którzy mieli pomagać przy wigilii dla potrzebujących i...

– ...i musisz pomóc – dokończyła za nią matka.

– No niby nie muszę – oświadczyła zgodnie z prawdą. – Nawet początkowo odmówiłam, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Przepraszam, ale oni naprawdę mnie tu potrzebują.

Matka chyba zakryła dłonią mikrofon, bo Katia przez moment słyszała tylko jakieś trzaski i jakby szept z oddali.

Po chwili odezwał się ojciec.

– Doszliśmy do wniosku, że nie możemy mieć do ciebie pretensji – powiedział. – Najwyżej do siebie. W końcu sami cię wychowywaliśmy.

– Nie inaczej – uśmiechnęła się.

– Wyszło jak wyszło – kontynuował ojciec z pozorną powagą. – Mama oświadczyła, że pierogów mrozić nie będzie, bo na pewno jutro rano jest jakiś pociąg. Zrobimy dwa w jednym – wigilię i świąteczne śniadanie. Albo obiad, ale to już zależy od rozkładu jazdy.

– Wiesz, że was kocham – roześmiała się Katia.

– Pomyślmy o tym dziś wieczorem – odparł mężczyzna. – No i pogadamy z Gwiazdką, żeby warunkowo nie zabierała twojego prezentu spod choinki.

– Dziękuję, jesteście najlepsi!

– Już się tak nie podlizuj, wiem, że chodzi tylko o ten prezent...

– Ucałuj mamę, proszę. Ja muszę już pędzić!

– Uważaj na siebie. Mama krzyczy z kuchni, żebyś się ciepło ubrała.

– Oczywiście! Pa!

Wiedziała, że na rodziców może liczyć. Nawet jeśli nie do końca rozumieli zaangażowanie córki, to wspierali ją, jak zawsze, we wszystkim, co robiła.

Teraz mogła już bez wyrzutów sumienia stawić się jako pomocnica pani Bożenki.

Mama ma rację, muszę włożyć coś ciepłego – stwierdziła. Czeka mnie kilka godzin stania na mrozie, lepiej, żeby nie skończyło się to zapaleniem płuc.



Dowcip z mikołajowym video nie dość, że nie rozbawił Artura, to jeszcze stał się powodem niezbyt wesołych rozmyślań.

Konopka zastanawiał się, czy ten filmik nie był przypadkiem dowodem na to, że koledzy go nie lubią. A po prawdzie, to w głębi duszy miał pewność, że tak właśnie jest.

Mężczyzna tłumaczył sobie, że tak naprawdę współpracownicy wcale go nie znają. Z większością z nich miał kontakt jedynie za pośrednictwem ko-

munikatorów, kilku widział podczas rozmowy przez kamerkę, ale z żadnym nigdy nie rozmawiał prywatnie.

Praca programisty, w całości zdalna, miała tę zaletę, że nie trzeba było każdego dnia jechać do biura, a potem wieczorem wracać do domu. To oszczędzało czas, którego nie trzeba było tracić na dojazdy, i umożliwiało wykonywanie zadań nawet w piżamie, o ile komuś tak było wygodnie.

Tak, ale to, co było zaletą, mogło też stać się wadą. Brak bezpośredniego kontaktu z zespołem znacznie ograniczał możliwości integracji. Skupiali się wyłącznie na realizacji celów zawodowych.

Arturowi Konopce właściwie to odpowiadało. Nie miał dużej ochoty na zacieśnianie znajomości tylko dlatego, że przyszło mu z kimś pracować. Zawsze uważał, że należy oddzielić życie zawodowe od prywatnego. Nie był typem ekstrawertyka, nie czuł potrzeby dzielenia się swoimi myślami z każdym, doskonale radził sobie bez pogaduszek i nie cierpiał z powodu samotności.

Życie kolegów także niespecjalnie go interesowało. Do napisania dobrego kodu potrzebne były ich kompetencje, a nie wiedza, czy mają żony, dziewczyny lub dzieci i gdzie mieszkają.

Wydawało mu się, że współpracownicy myślą podobnie, zwłaszcza że znali przecież specyfikę tego zawodu. Tymczasem okazało się, że zespół, zresztą za aprobatą szefostwa firmy, wciąż organizował jakieś spotkania i nawet jeśli większość z nich odbywała się za pośrednictwem Internetu, to i tak w pewien sposób zacieśniali więzi.

Artur nie unikał tych prób integracji, nie był zupełnym odludkiem. Niestety, do nikogo nie poczuł specjalnej sympatii. I prawdę mówiąc, dziwiła go otwartość większości kolegów, którzy bez skrępowania opowiadali ludziom z drugiego końca kraju o swoich problemach małżeńskich czy o tym, jak mocno popili w ostatni weekend.

Słuchał tego wszystkiego, ale sam nie umiał zachowywać się tak jak oni. Odślanianie prywatności nie leżało w jego naturze, po prostu. Potrzebował czasu, lepszego poznania się, zaufania. Niestety, koledzy jego powściągli-

wość uznawali za gburowatość i z czasem coraz rzadziej informowali go o kolejnych wspólnych połączeniach.

Artur nie cierpiał jakoś specjalnie z tego powodu, sądził, że po prostu zaakceptowali jego charakter. Co prawda, gdy odmówił udziału w jedynej w roku imprezie na żywo, czyli w świątecznym spotkaniu, kilka osób zasugerowało mu, że uważa się za lepszego i że lekceważy zespół. Konopka wyjaśnił, że jego odmowa nie ma nic wspólnego z nimi, i poprosił, aby nie brali tego osobiście. Uznał, że przyjęli wyjaśnienie i wszystko jest w porządku.

Niestety, od tamtej pory jakiekolwiek prywatne kontakty z kolegami ustały. Początkowo tego nie zauważył, był zbyt pochłonięty pracą, ale gdy kilkukrotnie ktoś podczas konferencji na komunikatorze nawiązał do rozmów, o których nie miał pojęcia, zaczął rozumieć, że współpracownicy wykluczyli go z jakichkolwiek pozaformalnych relacji.

Początkowo uznał, że go to nie obchodzi i nie ma dla niego żadnego znaczenia, ale co jakiś czas powracało poczucie żalu i niesprawiedliwości.

– Powiedz mi, Bary, dlaczego ludziom tak trudno zaakceptować, że ktoś może się trochę od nich różnić? – zwrócił się do psa, który popatrzył mu w oczy, jakby naprawdę rozumiał, co Artur mówi. – Nic o mnie nie wiedzą, nie dali mi nawet szansy i czasu na lepsze poznanie się. Chcieliby, żebym był dokładnie taki jak oni, i to natychmiast. A może nawet jestem, ale nie od razu. Tylko nikomu nie chciało się poczekać.

Tylko co, jeżeli mają rację? – przyszło mu do głowy to, co od jakiegoś czasu nie dawało mu spokoju. Jeżeli jestem po prostu mrukiem i gburem? Może nie potrafię obcować z ludźmi i jestem skazany na samotność do końca życia?

Nie była to miła refleksja. Ale Artur Konopka, jako człowiek świadomy, wiedział, że musi się z nią zmierzyć. Co prawda, odkładał to wciąż na jakąś bliżej nieokreśloną przyszłość, a już na pewno nie chciał się konfrontować ze swoimi problemami w czasie Bożego Narodzenia.

Niestety, video z Mikołajem przypomniało mu nie tylko o czasie, którego chciał uniknąć, ale i o problemach egzystencjalnych.

– Akurat teraz! – mruknął niechętnie.

Dobra, jestem beznadziejny, w pracy mnie nie lubią – pomyślał ze złością. Ale czy muszą od razu być złośliwi? I o kim to właściwie świadczy? O mnie czy o nich? W końcu to nie ja trąbię o dobroci bożonarodzeniowej, o jakichś pojednaniach i innych bzdurach, prawda?

Ta refleksja trochę poprawiła Arturowi nastrój. On przecież nikogo do niczego nie zamierza zmuszać. A w pracy ma pracować. I to akurat robił bardzo dobrze, więc opinia właściwie obcych mu osób nie powinna mieć wpływu na jego samoocenę.

Cóż, podejście rozumowe to jedno, a emocje to drugie. A Konopka, choć niechętnie się do tego przyznawał, to te drugie także miał. Mimo że skrzętnie ukrywane przed światem, były w nim, i to całkiem duże.

Dlatego właśnie tak mocno przeżył dowcip kolegów. Czuł się niesprawiedliwie oceniony, odrzucony i niepotrzebny. A to było najgorsze, co mogło się Arturowi przytrafić.

Zawsze to samo – pomyślał niechętnie. Nikt tak naprawdę nie przejmuje się, że rani innych. Ludzie mają za nic czyjeś uczucia. Powinienem w końcu do tego przywyknąć.

Ale nie potrafił. I to bolało.

Dźwięk przychodzącego SMS-a przerwał te niezbyt miłe rozmyślenia.

Może jeszcze jakiś dowcip. – Sięgnął po telefon.

Było jeszcze gorzej. To matka.

„Gdybyś jednak zmienił zdanie, to pamiętaj, że czekam”.

Skrzywił się ze wstrętem. Jak mogła pisać takie rzeczy? Przecież doskonale wiedziała, że nic to nie da. Za późno było na zainteresowanie synem, Konopka już tego nie potrzebował.

W końcu ją zablokuję – pomyślał ze złością. Jeżeli nie da mi spokoju, to będę zmuszony tak zrobić.

Nie pojmował, dlaczego matka jest taka uparta. Nękała go w każde święta, jakby nie docierało do niej to, co jej oświadczył. I jakby nie rozumiała, że to właśnie przez nią tak nienawidził Bożego Narodzenia.



– Dotarłeś do celu – poinformował elektroniczny głos nawigacji.

– Sama widzę – odpowiedziała mu Jowita, zatrzymując auto.

Było dokładnie tak jak na zdjęciach w Internecie. Kobieta aż westchnęła z zachwytem.

A dotychczas sądziłam, że zawsze dodają jakieś filtry do tych zdjęć – pomyślała. I że większość to marketingowa zagrywka dla ściągnięcia klientów.

Tym razem jednak tak nie było.

Jowita doskonale pamiętała chwile, gdy szukała miejsca na ten świąteczny wyjazd. Miała świadomość, że może być trudno ze znalezieniem czegoś odpowiedniego, bo pozostało niewiele czasu, ale postanowiła się nie poddawać.

Zależało jej. Chyba pierwszy raz w życiu tak naprawdę.

Przeszukała mnóstwo ofert, wynotowała wszystkie, które przypadły jej do gustu, i zaczęła dzwonić. Niestety, tak jak się spodziewała, nigdzie nie było wolnych miejsc.

– Boże Narodzenie rezerwuje się już w sierpniu – pouczyła ją nawet jedna z właścicielek górskiego hoteliku.

A skąd ja mogłam wiedzieć latem, że wszystko tak się ułoży? – pomyślała Jowita. Ale znajdę coś, nie zrezygnuję.

I w końcu znalazła.

Właściwie na stronę pensjonatu weszła przypadkiem. Szukała czegoś innego, ale wiadomo jak to jest z siecią – wszyscy są w niej w pewien sposób śledzeni. Wystarczy obejrzeć kilka par butów, a przeglądarka przez najbliższe dni będzie pokazywała wyłącznie reklamy obuwia. Jowita już wielokrotnie się o tym przekonała, podobnie jak o skuteczności tej metody, bo niejedną raz taka pozornie nachalna reklama skłoniła ją do zakupu.

Okazało się, że to śledzenie może mieć także zalety. Bo właśnie dzięki niemu kobieta niechcący kliknęła w link, który przekierował ją na stronę pensjonatu, przed którym właśnie zatrzymała samochód.

Od razu jej się spodobał. Szczerze mówiąc był urzeczywistnieniem jej wyobrażeń o idealnym miejscu na ten wyjazd. Oczarowana patrzyła na spadzisty dach, kute balustrady balkonów i kamienną podmurówkę.

A do tego widoki! Pensjonat otoczony był ogrodem, w którym na letnich zdjęciach kwitło mnóstwo kwiatów. Jowita oglądała oplecioną różami altanę, ławeczki ustawione w cieniu świerków, wysypane białymi kamyczkami ścieżki i nie mogła przestać się zachwycać.

Najpiękniejsze jednak były widoki zimowe. I te najbardziej ją interesowały.

Teraz miała je na wyciągnięcie ręki.

Nie czekając dłużej, wysiadła z samochodu i odetchnęła głęboko czystym, mroźnym powietrzem. Poczowała lekki zawrót głowy, nie wiedziała, czy z nadmiaru tlenu czy z emocji.

Jak tu pięknie!

Dach pensjonatu przysypany był śniegiem, a lodowe sople malowniczo przysztrajały rynny. Było już po zmroku, więc w świetle ogrodowych latarni wyglądały jak rzędy podłużnych lampionów.

Za płotem z drewnianych bali widać było zarys lasu na horyzoncie, a przed nim białe połacie okrytych śniegiem pól.

Rankiem będzie cudownie popatrzeć na ten krajobraz! – pomyślała z zachwytem. *Można też pójść tam na spacer* – planowała kolejny dzień.

Świerki i krzewy w ogrodzie pokrywały śniegowe czapy, a w świetle latarni widać było prószący drobno śnieg. Spod jednego z krzewów niespodziewanie wybiegł czarny kot i podnosząc wysoko łapki, przebiegł przez śnieżną zaspę, a potem zniknął gdzieś za budynkiem.

Po prostu idealnie – stwierdziła z zadowoleniem Jowita. *Jeżeli jeszcze pokoje będą takie, jak w ofercie, to uznam, że naprawdę los postanowił mi wszystko wynagrodzić.*

Poczowała, że zaczynają ją szczypać policzki, więc uznała, że najwyższa pora wejść do środka. Miała ochotę na gorącą herbatę. Może nawet z odrobiną rumu, bo przecież nie będzie tego dnia prowadzić.

Wyjęła z bagażnika walizkę i pociągnęła ją za sobą. Na szczęście podjazd i schody były odśnieżone, więc poszło gładko.

Nacisnęła dużą, mosiężną klamkę i pchnęła drewniane skrzydło drzwi.

Od razu uderzyła ją fala ciepła i cudowny zapach.

Jowita pociągnęła nosem. *Co to jest? Chyba cynamon i jakby pierniki? A do tego woń lasu – świeżych gałązek jodły i jałowca.*

Kobieta miała wrażenie, jakby weszła do świątecznej bajki. Rozejrzała się dookoła uważnie, bo chciała wszystko dokładnie zapamiętać.

Będę przecież wspominać to miejsce do końca życia – pomyślała. Muszę zapisać w głowie i sercu każdy szczegół.

Powiodła wzrokiem po ścianach obitych ciemnymi deskami, na których wisiały świąteczne ozdoby – wieńce z jedliny ze słomianymi dekoracjami i girlandy oplecione lampkami i przystrojone pierniczkami.

Naprzeciw wejścia królowały szerokie drewniane schody prowadzące do pokoi na górze. Po lewej stronie Jowita dostrzegła odsuwane drzwi, domyśliła się, że prowadzą do sali, w której będą jadalni posiłki. Na każdym skrzydle wisiał teraz ogromny zielony wieniec z wplecionymi gwiazdami betlejemskimi i kokardami w zielono-czerwoną kratkę.

Ale kwintesencją atmosfery Bożego Narodzenia była ogromna choinka ustawiona tuż obok recepcji. Sięgała wysokiego sufitu i była tak rozłożysta i gęsta, że Jowita w pierwszej chwili pomyślała, że musi być sztuczna. Jednak od razu zrewidowała ten pogląd.

Musi być prawdziwa – stwierdziła. To przecież ona tak pachnie.

Rzeczywiście, drzewko wypełniało pomieszczenie swoją wonią i przyćmiewało pozostałe dekoracje. Na jego gałązkach wisiały piękne, ogromne bombki, jabłka i orzechy, między nimi łańcuchy ze słomy i lampki w kształcie świeczek błyskające ciepłym, kojącym światłem. Całości dopełniała błyszcząca złota gwiazda na samym czubku choinki.

– Dobry wieczór!

Jowita drgnęła na dźwięk kobiecego głosu.

– Przepraszam, nie chciałam pani wystraszyć. – Kobieta, na oko mniej więcej czterdziestoletnia, uśmiechała się do niej zza kontuaru. – Witamy w naszym pensjonacie!

– Nic nie szkodzi. – Jowita podeszła do drewnianego blatu. – Po prostu tak tu pięknie, że dosłownie odleciałam w jakiś inny wymiar.

– Bardzo się cieszę, że się pani u nas podoba.

– Och, jest cudownie! – Nie kryła zachwytu. – Bardzo się cieszę, że właśnie tutaj będę mogła spędzić święta.

Podawała recepcjonistce nazwisko i dopełniła wszystkich formalności.

– Mam na imię Beata i jestem właścicielką tego pensjonatu – przedstawiła się kobieta za ladą. – Prowadzę go razem z mężem, ale on zajmuje się głównie kuchnią i zapleczem technicznym, więc gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę się zwracać do mnie.

– Oczywiście, rozumiem. – Jowita pokiwała głową. – A czy można zamówić do pokoju duży kubek gorącej herbaty?

– Oczywiście, zaraz ktoś przyniesie – odparła Beata, podając jej klucz. – Może zaprowadzę panią do pokoju – zaproponowała.

– Nie trzeba, dam sobie radę – zapewniła ją Jowita.

Podniosła walizkę i ruszyła schodami w górę, wciąż podziwiając świąteczne drzewko.

Bez trudu odnalazła drzwi z odpowiednim numerem. Powoli je otworzyła, celebrując tę chwilę.

W środku było równie przytulnie jak na dole. Pomieszczenie nie było zbyt duże, ale wystrój w rustykalnym stylu doskonale do niego pasował. Wielkie łóżko, mnóstwo poduszek, drewniane stoliczki i kolorowe zasłonki w oknach – kwintesencja wyobrażeń o cichym, klimatycznym pensjonacie. A do tego gwiazdy betlejemskie na parapecie i kilka świeczników rozstawionych na szafkach i stoliku.

To prawdziwy raj – oceniła Jowita z zadowoleniem.

Ściągnęła kozaki, zrzuciła futerko i położyła się na szerokim łóżku. Po chwili sięgnęła do torebki i wyjęła z niej telefon.

„Już jestem. Czekam” – napisała i wysłała wiadomość.



– Dzień dobry. Rozumiem, że jedziemy pod adres podany w aplikacji?

Mila zadała rutynowe pytania i spodziewała się wyłącznie potwierdzenia.

– Gdyby było inaczej, to raczej bym powiedział – usłyszała z tylnego siedzenia.

Odwróciła się lekko i zmierzyła pasażera szybkim spojrzeniem.

Nie wygląda na takiego chama – podsumowała swoją krótką obserwację, ale nie była specjalnie zdziwiona.

Doświadczenie nauczyło ją, że pozory mylą częściej, niż można by się tego spodziewać. Już nie raz ktoś dobrze ubrany, zadbany i o miłej aparycji pokazywał w taksówce swoją ciemną stronę. I odwrotnie – często ludzie, którzy na pierwszy rzut oka nie wzbudzali sympatii, okazywali się przemiłymi osobami, z którymi ciekawie rozmawiała przez cały kurs.

Co do tych pierwszych, to nauczyła się powstrzymywać emocje. Najlepszym sposobem na agresorów i chamów był spokój i obojętność. Zwykle udawało jej się wyciszyć złe emocje i jakoś dojechać do celu.

Tym razem może być trudniej – zaniepokoiła się Mila. *Czeka nas długa droga.*

– Po prostu się upewniam – odparła pojednawczo. – Bywa, że klienci zmieniają plany. Nie chciałabym pana narażać na koszty.

– Serio? – roześmiał się ironicznie. – Nigdy bym się nie spodziewał. Patrząc na cenę za ten kurs...

– Jeżeli panu nie odpowiada, może pan zrezygnować – powiedziała szybko. – Tylko proszę od razu, żeby potem nie było problemów.

– Za kogo mnie pani ma? – oburzył się mężczyzna. – Uważa pani, że mógłbym pojechać, a potem nie zapłacić?!

– Czy mógłby pan nie podnosić głosu? – spokojnie, ale stanowczo przywołała go do porządku. – Przypominam, że ja też ma prawo zrezygnować

z kursu, jeśli pasażer jest agresywny lub niekulturalny.

Rzadko posuwała się do takich argumentów, ale wołała już na początku ustalić zasady wspólnej podróży. Ostatecznie to nie był kurs na drugi krańiec miasta, ale kilkugodzinna podróż.

Od czasu wypadku Mila nie czuła się tak dobrze za kierownicą jak kiedyś. Gdyby nie brak innego wyjścia, z pewnością nie wybrałaby takiego zajęcia.

Mimo wszystko uważała, że dobrze się stało, że ponownie zaczęła prowadzić. Gdyby przerwa była dłuższa, może już nigdy by się nie odważyła. A tak mogła szybciej się przemieszczać, zawieźć ojca czy Jasia do lekarza.

Jednak o ile jazda po mieście już nie sprawiała jej problemu, to wyjazd w dalszą trasę wciąż budził w niej niepokój. Wiedziała, że będzie musiała się mocno skoncentrować, nie potrzebowała dodatkowych powodów do zdenerwowania.

Zacisnęła dłonie na kierownicy i czekała na reakcję mężczyzny.

– Że też musiała mi się trafić akurat kobieta. – Dobiegło ją mruknięcie z tyłu.

Nic nie powiedziała.

– OK, mogę się w ogóle nie odzywać – oznajmił głośniejszym głosem. – I zapłacę od razu, żeby pani nie myślała, że ze mnie jakiś oszust czy wyludzac.

Usłyszała, że kręci się przez chwilę, a potem na siedzeniu obok niej wylądowało kilka banknotów.

To też nie było zbyt grzeczne – oceniła w myślach, jednak bez słowa zebrała pieniądze i przeliczyła.

– Zgadza się? – zapytał cierpko.

– Tak, w porządku – potwierdziła.

– W takim razie niech pani rusza. I tylko proszę już bez żadnych fochów – dodał burkliwie.

Miała na końcu języka kąśliwy komentarz, ale się powstrzymała.

To tylko moja praca – tłumaczyła sobie. Muszę do niej podchodzić bez emocji. Mam zarobić pieniądze, a reszta mnie nie interesuje.

Łatwo powiedzieć! Mila nie znosiła mizoginów i wyczuwała ich na odległość. A ten tam, za nią, wyglądał na sztandarowy przykład osobnika, który kobiety ma za gorszy gatunek. Gdyby spotkała go prywatnie, z pewnością usłyszałyby od niej, co o tym sądzi.

Mam nadzieję, że szybko dojadę na miejsce – westchnęła. Wysadzę go w tej wsi z ogromną przyjemnością.

– Pojedziemy w końcu? Czy poczekamy, aż śnieg stopnieje?

Odwróciła się i popatrzyła mężczyźnie w oczy.

– Wspominał pan, że nie będzie się odzywał – przypomniała chłodno. – Jeśli to aktualne, to chętnie skorzystam z tej propozycji.

Pasażer zmarszczył brwi.

– Czy w tym pani regulaminie jest coś o uprzejmości kierowcy?

– Oczywiście. – Skinęła głową. – Ale jeśli pana zdaniem standard usługi jest nieodpowiedni, to tam jest taka mała srebrna klamka...

– A wie pani, że chyba skorzystam. – Mężczyzna znowu podniósł głos. – Przecież pani bezczelność jest nie do wytrzymania! Ma pani okres czy co?!

Mila zatrzęsała się z bezsilnej złości.

Niech spada, bo naprawdę zaraz wybuchnę – pomyślała, starając się spokojnie oddychać, żeby uspokoić emocje.

Pasażer szarpnął klamkę i otworzył drzwi. Wysunął jedną nogę na zewnątrz, ale zatrzymał się w pół ruchu.

– Proszę mi zwrócić pieniądze – zażądał ostro.

– Oczywiście. – Sięgnęła do kieszeni, zła, że sama o tym zapomniała.

Miała ochotę rzucić mu tymi banknotami w twarz.

– Może któryś z pani kolegów będzie miłszy i doceni tę kwotę – syknął mężczyzna. – Kobiety chętnie wydają, ale jak przyjdzie popracować, to zawsze jest coś nie tak...

Mila popatrzyła na niego ze złością.

– Jakoś nie widziałam, żeby koledzy bili się o pańskie zlecenie – za-
drwiła. – Ale proszę próbować szczęścia.

Zadra znieruchomiał, słysząc te słowa.

Cholera, ona ma rację! – przemknęło mu przez głowę. *Mogę nie znaleźć ni-
kogo innego.*

Po raz kolejny musiał szybko podjąć decyzję. Choć właściwie nie miał
wyboru.

Z powrotem opadł na siedzenie.

– Niech pani schowa tę kasę i wreszcie rusza – powiedział z rezygnacją. –
Tylko jak najszybciej, bo zależy mi, żeby zdążyć na wigilię.

– Mnie również – rzuciła przez ramię.

– No to gazu, kobieto! Dlaczego ciągle stoimy?!

Mila zapaliła silnik i ruszyła osiedlową drogą.



Słowa wnuka zaskoczyły Karola. Nie potrafił pozostać wobec nich obo-
jętny. Od bardzo dawna nic tak go nie poruszyło.

*Co za szczęście, że Mila tego nie słyszała – pomyślał z ulgą. Mogłaby uznać, że
tu Bóg wie co się dzieje. A przecież to tylko stara choinka...*

A jednak nie potrafił zapomnieć tego rozpaczliwego krzyku.

„Nawet choinki nie będzie!” – rozbrzmiewało raz za razem w głowie
starszego mężczyzny.

Co to miało oznaczać? Zwłaszcza słowo „nawet” dało mu do myślenia.
Czy naprawdę dla Janka choinka była najważniejszym symbolem Bożego
Narodzenia?

Zawadzki podniósł się z fotela i poszedł do pokoju wnuka. Chłopiec leżał
na swoim tapczaniku i patrzył w sufit.

– Może pobawimy się samochodami? – zaproponował Karol.

– Nie mam ochoty. – Mały pokręcił głową.

– Nawet tym wozem strażackim? – Wiedział, że to ulubiona zabawka wnuka. – Moglibyśmy ratować garaż przed pożarem.

Czasami odgrywali taką scenkę, a Janek był oczywiście dzielnym strażakiem.

– Nie chcę. – Chłopiec nie dał się namówić.

Naprawdę przejął się tą choinką – stwierdził Karol.

Podszedł do tapczanu i przysiadł na jego brzegu.

– A na co miałbyś ochotę? – zapytał.

– Na nic.

– Nie wierzę. – Mężczyzna pokręcił głową. – Mali chłopcy zawsze mają na coś ochotę.

– A ja nie mam – upierał się Janek.

– O ile pamiętam, to jeszcze całkiem niedawno nie brakowało ci energii. Przy śniadaniu ledwie mogłeś usiedzieć na krześle. Jakby parzyło cię w siedzenie – próbował zażartować.

– To było kiedyś – poważnie odparł wnuk. – Teraz jest inaczej.

– A co się zmieniło? Żle się czujesz?

– Tak.

Karol się zaniepokoił. Czyżby naprawdę chłopiec zachorował?

– Boli cię głowa? A może brzuszek? – próbował zgłębić temat.

– Boli mnie tak inaczej – odparł Janek. – W myślach.

I choć przekaz nie do końca był jasny i konkretny, to dziadek przeczuwał, o co może chodzić.

– A kiedy to się zaczęło? – Spojrzał uważnie na Janka.

– Jak powiedziałaś, że choinki nie będzie. – W oczach wnuczka pojawiły się łzy.

– Naprawdę ta choinka jest dla ciebie taka ważna? Przecież bez niej też będą święta – próbował jakoś uspokoić chłopca.

Ten gwałtownie usiadł i pokręcił głową.

– Nie będzie – powiedział z przekonaniem. – Choinka była ostatnia.

– Co to znaczy? – zdziwił się Karol. – Jak to: ostatnia?

– Normalnie. Najpierw na święta było wszystko: tata, babcia, choinka i sernik z rodzynkami – wyjaśnił Janek. – Wszyscy się śmiali, mama i ty też. A potem już nie było taty, babci i sernika. Ty jesteś ciągle smutny i śpisz, a mama już się nie śmieje. Ze świąt została tylko choinka. A teraz jej też nie będzie...

Pociągnął nosem i popatrzył na dziadka ze smutkiem. Dwie duże łzy spłynęły po dziecięcych policzkach.

Karol poczuł, że gdyby jego serce nie pękło po śmierci żony, teraz z pewnością by się to stało.

Nie bardzo wiedział, co zrobić, więc po prostu, wiedziony intuicją, przytulił malca do siebie. Ten mocno przyłgnał do dziadka i rozplakał się głośno i żałośnie.

Tak nie może być – uznał Zawadzki, gładząc niezręcznie czuprynę wnuka. *Coś trzeba z tym zrobić!*

Gdy poczuł, że Janek nieco się uspokoił, odsunął go od siebie i spojrzał w niebieskie oczy.

– Posłuchaj, mam pewien pomysł – zaczął, starając się, żeby jego głos zabrzmiał dziarsko i wesoło. – Myślę, że można jakoś uratować te święta.

– A jak? – W oczach chłopca pojawiła się iskierka nadziei.

– Przyszedł mi do głowy taki plan – wyjaśnił dziadek z powagą. – Mama dzwoniła, że będzie pracować dłużej, niż myślała, mamy więc sporo czasu. Możemy go wykorzystać, żeby odbyć pewną wyprawę...

– Dokąd pójdziemy? – zainteresował się chłopiec.

– Najpierw ubierzemy się ciepło, potem zapakujemy jakoś tę starą choinkę i wyniesiemy ją do śmietnika. A razem z nią wyrzucimy też z pamięci te ostatnie nieudane święta. Co ty na to? To będzie początek naszej wyprawy.

– Możemy – zgodził się wnuczek. – A co potem?

– Potem pójdziemy i kupimy nową choinkę. Taką prawdziwą, pachnącą lasem, żywą.

– Pojedziemy do lasu? – zdziwił się Janek.

– Aż tak daleko to nie. – Karol pokręcił głową. – Ale w centrum miasta z pewnością sprzedają dziś choinki.

– Dużo trzeba za nie zapłacić? – zainteresował się Janek. – Żeby mama się nie zdenerwowała. Ciągłe mówi, że na coś ma za mało pieniędzy...

Czy on w ogóle powinien myśleć o takich sprawach? – zasmucił się Karol. *Dzieciaki w jego wieku nie mają takich dylematów...*

– Spokojnie, mam pieniądze – zapewnił chłopca. – A mama na pewno ucieszy się z pięknej choinki. Powiemy jej, że razem z drzewkiem przynieśliśmy nowe święta. Zgoda?

– Tak! – Janek aż podskoczył z podekscytowania. – To kiedy idziemy? Już?

– Im szybciej, tym lepiej – zdecydował Karol. – Znajdź w swojej komo-dzie ciepłą bluzę i włóż coś pod spodnie.

– Może getry? – zaproponował rezolutnie Janek.

– Tak, mogą być. Ja też pójdę się ubrać i zaraz wychodzimy.

Po kwadransie byli gotowi. Zawadzki w ciepłej czapce uszance, kracia-stym szaliku i długim wełnianym płaszczu, a Janek w niebieskiej kurtce i czapce z dużym pomponem w tym samym kolorze.

Karol owinął pudełko ze starą choinką w foliowe reklamówki i włożył pa-kunek pod pachę. Zeszli na dół, gdzie mały, z niewielką pomocą dziadka, wrzucił pogryzione drzewko do żółtego kontenera.

– Zrobione! – Mężczyzna otrzepał ręce. – Możemy jechać po nową.

Wnuk niepewnie przestępował z nogi na nogę.

– O co chodzi? – zapytał Karol.

– Dziadku, a czy możemy jeszcze gdzieś pojechać? – Chłopiec popatrzył prosząco.

– A dokąd? To coś ważnego? Bo wiesz, że musimy zdążyć przed powrotem mamy.

– Chciałbym odwiedzić tatę – wyznał chłopiec. – Tylko na chwilę, żeby powiedzieć mu, że naprawiamy święta. Żeby się nie martwił...

Karol w pierwszej chwili chciał odmówić, ale gdy popatrzył na wnuka, nie potrafił tego zrobić.

– Skoro tak ci na tym zależy, to pojedziemy – odparł w końcu. – Ale tylko na chwilę – zastrzegł.



Na rynku, mimo że zaczynało się ściemniać, wciąż panował ruch. Katia stanęła przy jednej z kamienic okalających centralny plac miasta i rozejrzała się dookoła, próbując odnaleźć miejsce, które w tym roku wybrała pani Bożenka.

Przez cały ubiegły tydzień rynek wypełniały stragany i namioty, bo jak co roku odbywał się tu jarmark bożonarodzeniowy. Tłumy mieszkańców przychodziły, żeby oglądać wyroby ludowych twórców, próbować chleba ze smalcem, kupować miody, sery i wędliny. Nie brakowało stoisk z upominkami i oczywiście ozdobami świątecznymi.

Dorośli mogli odpocząć, delektując się kubeczkami grzanego wina, a dzieciaki chętnie kupowały lizaki w kształcie laseczek albo pierniczki przygotowane przez koła gospodyń wiejskich z okolicy.

Jarmarkowi towarzyszyły także występy miejskich zespołów i pokazy grup artystycznych. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie, pod warunkiem, że lubił tego rodzaju imprezy.

Katia, prawdę mówiąc, nie przepadała za takim gwarem i zamieszaniem, drażniły ją kramy z chińskimi zabawkami i stoiska z fast foodem, ale w gruncie rzeczy cieszyła się, że w mieście coś się dzieje.

Zajrzała na rynek raz, popatrzyła na rodziny krążące między straganami i to wystarczyło. Woląła pojechać do schroniska, ale rozumiała tych, którzy wybrali jarmarczne atrakcje.

Teraz większość kramów już została złożona, ostatni sprzedawcy pośpiesznie pakowali swój towar do samochodów. Na rynku miały pozostać tylko drewniane stoiska, które stanowiły własność miasta i które, podobnie jak przed rokiem, pracownicy zamierzali złożyć dopiero po świętach.

Trudno było się dogadać z urzędnikami, którzy nie potrafili jednoznacznie określić, w której części rynku rozstawią swoje kioski. Katia przerobiła to już w poprzednim roku, więc wiedziała, że pani Bożenka rozłoży się po prostu tam, gdzie będzie wolne miejsce.

Nie myliła się. Dostrzegła zamieszanie po drugiej stronie placu, naprzeciw ratusza.

Ruszyła w tamtą stronę, przecinając rynek.

Minęła kilka dostawczych samochodów, odwzajemniła uśmiech jednej ze sprzedawczyń.

– Wesółych świąt! – powiedziała do kobiety.

– Niech tak będzie! – odparła tamta, wpychając skrzynkę z drobiazgami do bagażnika.

Katia starała się uśmiechać do ludzi i zawsze chętnie na uśmiech odpowiadała. Była zdania, że jedno dobre słowo, drobny pozytywny gest mogą odmienić czyjś dzień i uczynić go lepszym, weselszym. Nie żałowała więc uśmiechów czy pozdrowień, posyłając w ten sposób dobro w świat.

– Mnie to nic nie kosztuje, a komuś może pomóc – mawiała. – Może ktoś inny też się do mnie uśmiechnie, gdy będę miała gorszy dzień?

Bo Katia była niepoprawną optymistką. I chciała nią pozostać. Oraz wierzyć, że świat może być lepszy, jeśli tylko ludzie się o to postarają. Ona w każdym razie zamierzała to robić.

Z daleka usłyszała górujący nad gwarem głos pani Bożenki.

– Jeszcze chwileczkę poczekajcie! Zaraz zaczynamy!

Dziewczyna musiała przyznać, że pani Bożenka jest niesamowita. Każdego roku udawało jej się znaleźć sponsorów dla swojego przedsięwzięcia. Nawet kiedy inne organizacje narzekały, że czasy są ciężkie i wszyscy liczą się z każdym groszem, Bożenka śmiało wkraczała do gabinetów największych

szych prezesów i sobie tylko znanymi sposobami zmiękczała biznesowe serca tak, że dostawała to, o co prosiła.

Mało tego, nie tylko udawało jej się utrzymać swoją akcję, ale z każdym rokiem coraz bardziej ją rozwijała.

Katia z podziwem popatrzyła na rzędy rozstawionych na placu stołów. W ubiegłym roku było ich co najmniej o połowę mniej.

Gdzie je wypożyczyła? Tego pewnie nikt się nie dowie. Ale najważniejsze, że były. Nakryte białymi papierowymi obrusami, na których postawiono tekturowe pudełeczka z chlebem.

„Chleba nigdy na naszej wigilii nie może zabraknąć” – powiedziała kiedyś pani Bożenka i słowa dotrzymała. Każdy mógł podejść i wziąć tyle kromek, ile potrzebował.

Zresztą kolejną zasadą tego przedsięwzięcia było to, że nikt nikogo o nic nie pytał. Pani Bożenka uznawała, że jeżeli ktoś przyszedł, to znaczy, że potrzebuje.

– Na co mi jakieś zaświadczenia? – Wzruszała ramionami. – Nie potrzebuję papierków. Głodnego nakarmić trzeba i kropka. Zwłaszcza w Wigilię.

Ciekawe, co udało się zorganizować do jedzenia? – zastanawiała się Katia.

Zupa była podstawą. Ale w poprzednim roku, gdy także pomagała na rynku, oprócz sycącej zalewajki były również pierogi i po kawałku ciasta, które ufundowała jedna z cukierni.

Dziewczyna podeszła bliżej.

Jeszcze nie zaczęto wydawać jedzenia, ale przed stolikami, na których stały garnki i pojemniki, już ustawiała się kolejka. Niektórych ludzi Katia знаła, spotkała ich podczas wolontariatu, innych nie kojarzyła. Jednak z całą pewnością już teraz było ich więcej niż w ubiegłym roku.

Jakie to smutne – pomyślała. *Zamiast być lepiej, jest gorzej.*

To spostrzeżenie utwierdziło ją w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję.

– Dzień dobry, pani Bożenko! – Podeszła i przywitała głównodowodzącą. Kobieta aż klasnęła z radości na jej widok.

– Katia! Dziecko! Jak dobrze, że jednak się zdecydowałaś!

– Właśnie widzę, że mamy tu niezły młyn – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Ale i jedzenia chyba więcej?

– Oj tak! Dobrze mi poszło w tym roku – potwierdziła pani Bożenka. – Jest zalewajka i barszczyk czerwony z uszkami, do wyboru – wyliczała. – Pierogi też są, ale mamy jeszcze smażoną rybkę, co prawda raczej dla wszystkich nie starczy, bo widzę, że kolejka coraz dłuższa – westchnęła – ale za to dla każdego będzie jeszcze makowiec i mięsna konserwa na jutro.

– No to chyba trzeba brać się do roboty...

– I to jak najszybciej!

Pani Bożenka szturchnęła stojącą obok niej młodą dziewczynę.

– Kasiu, podaj Katii jednorazowy fartuch i rękawiczki.

Kasia posłusznie pobiegła do zaparkowanego nieco dalej samochodu.

– Będiesz nalewała zupę – zakomenderowała Bożena. – Masz już w tym wprawę. Miseczki są obok garnka, zresztą bystra jesteś, to dasz sobie radę.

– Jasne! – zapewniła ją Katia.

Włożyła to, co przyniosła Kasia, a pani Bożenka podała jej jeszcze filcową czapkę mikołaja.

– Weź i to, niech będzie świątecznie – poleciła. – Boże Narodzenie należy się każdemu.

Katia stanęła przy wielkim garnku z łyżką wazową w dłoni i czekała na sygnał do rozpoczęcia wydawania. Czuła wielką radość z tego, że może być częścią akcji, która daje tyle bezinteresownego dobra i pomocy potrzebującym.

Tymczasem pani Bożenka weszła na drewnianą skrzynkę i podniosła dłoń. Wokół zapanowała cisza.

– Chciałabym życzyć wam wszystkim dobrych świąt – powiedziała kobieta. – Zaczynamy wieczerzę!



Konopka w końcu zdecydował się na włączenie serialu, o którym czytał sporo pozytywnych recenzji. Co prawda już niejedyn raz przekonał się, że filmy, które podobały się większości, jemu nie zawsze przypadają do gustu, ale zdarzało się też, że podzielał zdanie znacznej części widzów.

Poza tym uważał, że trzeba coś poznać, aby wyrobić sobie o tym własną opinię, więc dopiero po obejrzeniu polecanych produkcji wypowiadał się na ich temat. I zawsze oglądał do końca, uczciwie dając szansę twórcom choćby na dobre zakończenie.

Jeszcze innym powodem, dla którego często śledził losy serialowych bohaterów, było przekonanie, że powinien być na czasie. Co to znaczyło dla Artura? A to, że w razie gdyby przyszło mu z kimś rozmawiać, chciał być zorientowany w tym, co obecnie jest popularne i o czym się dyskutuje.

Co prawda niewiele miał okazji do rozmów z kimkolwiek, ale na wszelki wypadek wolał być przygotowany, żeby nie wyjść na gościa, który żyje w wirtualnym świecie zer i jedynek, a o prawdziwym świecie nie ma pojęcia. Wszak tak często postrzegano programistów i Konopka miał tego świadomość.

Poza tym kiedyś jego polonista wypowiedział zdanie, które zapadło w pamięć nastoletniemu wtedy chłopakowi.

„Człowiek, który chce się mienić kulturalnym i obytym, powinien mieć ogólną wiedzę na temat otaczającej go rzeczywistości”. – Nauczyciel podniósł palce, aby dodać ważności swoim słowom. – „Choćby po to, aby móc podejmować świadome decyzje o sobie i swoim życiu”.

Artur zapamiętał tę radę i stosował się do niej. Wszak chciał być kulturalny, obyty i świadomy.

Tym razem realizacja tego założenia wymagała obejrzenia dwóch sezonów serialu o życiu brytyjskiej rodziny królewskiej. Temat nie fascynował Artura, ale cóż, miał nadzieję, że fabuła go wciągnie.

W najgorszym razie przynajmniej jakoś minie kilka godzin – stwierdził. A to już jakiś pozytyw.

Rozłożył kanapę, włączył telewizor i wybrał z menu platformy filmowej odpowiedni tytuł.

Bary podniósł się ze swojego legowiska i stanął obok kanapy.

– No dobrze – uśmiechnął się Artur. – Skoro nie wyjąłem jeszcze pościeli, to możesz położyć się przy mnie – przyzwolił, uderzając ręką w obicie przy swoim boku.

Pies ochoczo skorzystał z pozwolenia i wskoczył na kanapę. Przywarł do boku pana i zamerdał ogonem.

– Dobry pies! – Konopka podrapał zwierzę za uchem. – Gdyby ludzie byli tacy jak ty, to żyłoby się o wiele łatwiej.

Wyciągnął się wygodnie, podłożył sobie pod głowę dwie poduszki i wcisnął przycisk odtwarzania.

Serial okazał się lepszy, niż podejrzewał, i po dwóch odcinkach Artur stwierdził, że może jakoś uda mu się przetrwać trzy kolejne dni.

Po trzecim odcinku zastopował odtwarzanie, poszedł do toalety, a wracając, przyniósł ze sobą karton soku pomarańczowego i szklankę. Bo Artur Konopka nigdy nie pił prosto z kartonu. Nawet gdy nikt tego nie widział.

Tym razem nie chodziło o kulturę czy obycie. Po prostu mężczyzna uważał to za niehigieniczne i czuł obrzydzenie na myśl, że w kartonie mogą pływać drobinki śliny, a wraz z nimi bakterie. Nawet jeśli to była jego własna ślina.

Czy ja jestem nienormalny? – zastanawiał się za każdym razem, gdy jakiś filmowy bohater otwierał lodówkę i bez rozglądania się za szklanką zaspokajał pragnienie, pijąc sok lub mleko. *A może mało męski?*

Jakkolwiek było, uparcie korzystał ze szklanki, bo nawet wizja mniej męskiego wizerunku nie była tak silna, żeby pokonać obrzydzenie do bakterii.

A kogo to właściwie obchodzi? – pomyślał, opróżniając szklankę.

Sięgnął po pilota, żeby wznowić oglądanie, ale zanim zdążył nacisnąć przycisk, rozległ się dzwonek do drzwi.

Bary nadstawił czujnie uszu i spojrzał pytająco na właściciela.

– Pojęcia nie mam, kto to może być. – Konopka wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że nie mikołaj przysłany przez moich mało zabawnych kolegów.

Ponieważ dzwonek się powtórzył, mężczyzna niechętnie poszedł do drzwi. Uchylił je tylko odrobinę, jakby podświadomie zapewniając sobie możliwość ich natychmiastowego zamknięcia.

Na progu stał kurier z dużym pakunkiem.

– Pan Artur Konopka? – zapytał tonem służbisty.

– Zgadza się.

– Przesyłka dla pana. – Wyciągnął pakunek w jego stronę.

– Nie czekam na nic – odparł pośpiesznie Artur. – Co to takiego?

– Pojęcia nie mam. – Kurier pokręcił głową. – Ale na moje oko to kosz upominkowy. Dużo takich wożę teraz, przed świętami.

– A kto jest nadawcą?

Chłopak zerknął na etykietę i odczytał nazwę jego pracodawcy.

– To pewnie prezent gwiazdkowy od firmy – powiedział. – Przez te upominki na ostatnią chwilę to ja do domu na wigilię nie zdążę i matka się wścieknie – wyznał szczerze.

Spojrzał spode łba na Konopkę.

– To co? Niech pan bierze, firma się chyba postarała, bo ciężki jak diabli. Pewnie jakieś wino w środku jest, może słodczyce... W sam raz na święta.

Artur popatrzył na pakunek i podrapał się po głowie.

To chyba jednak szefostwo – zdecydował. Ci dowcipnisie z pewnością nie wydałyby kasy na taki ekskluzywny prezent tylko po to, żeby zrobić mi na złość.

Co nie zmieniało faktu, że nie chciał niczego, co wiązało się ze świętami.

– No, niech pan bierze – popędził go kurier. – Mam jeszcze pięć punktów do zrobienia, a już całkiem ciemno.

– Nie chcę tego – oświadczył Artur. – Niech pan sobie weźmie ten kosz.

– Znaczy odmawia pan przyjęcia przesyłki? Kurczę, to jeszcze będę to musiał odwieźć do firmy. – Kurier był wyraźnie niezadowolony z takiego

obrotu rzeczy. – Jest pan pewien? Wróci do firmy i szef może poczuć się urażony...

W sumie ma rację – stwierdził Konopka.

– Dobra, podpiszę – zdecydował.

Postawił parafkę na dokumencie podsuniętym przez kuriera.

– Teraz już nie musi pan nic odwozić – powiedział. – Ale ja i tak tego nie chcę. Niech pan to zabierze i po drodze wyrzuci do śmietnika – poprosił.

Chłopak spojrzał na niego spod oka.

– Serio?

– Serio.

– To może ja jednak to zabiorę. Mamie dam, ucieszy się.

Artur machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Niech pan z tym zrobi, co chce. Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, zamknął drzwi i oparł się o ścianę w przedpokoju.

Mam dość – pomyślał. *Mikołajów, prezentów, wiadomości od matki i całego Bożego Narodzenia. Pomyśleć, że nawet nie minęła jeszcze Wigilia.*

Popatrzył na Bary'ego, który grzecznie siedział obok drzwi.

– Zrobimy tak – powiedział do psa. – Wyjdziemy jeszcze na długi spacer, a potem wyłączam wszystko i idę spać. Mam nadzieję, że obudzę się po świętach.



Jowita już dawno wypila herbatę przyniesioną przez właścicielkę pensjonatu, a nadal nie otrzymała odpowiedzi na wysłaną wiadomość.

Na pewno jest w drodze i nie może pisać – starała się jakoś usprawiedliwić milczenie tego, kogo wyglądała.

Najpierw czekała spokojnie, potem postanowiła, że przygotuje się do spotkania. Wzięła prysznic, włożyła sukienkę, którą kupiła specjalnie na

ich pierwszą wspólną wieczerzę.

To nic, że zjemy ją w towarzystwie innych gości pensjonatu – rozmyślała, poprawiając fryzurę. Ale przede wszystkim będziemy razem. To jest najważniejsze.

Usiadła na krzeselku, żeby nie pognieść delikatnego materiału, i obserwowała krajobraz za oknem. W ciemności, co prawda, niewiele było widać poza kawałkiem oświetlonego ogrodu, ale Jowita wybiegła już myślami w przyszłość.

Miło będzie jutro o poranku popatrzeć razem przez okno – rozmarzyła się.

Widziała w wyobraźni dwa nagie ciała przytulone do siebie, dwie pary oczu wpatrzone w dal... Piękna wizja, cudowne marzenie, które następnego dnia miało się spełnić.

Wróciła do rzeczywistości na dźwięk przychodzącego SMS-a. Natychmiast chwyciła telefon, była pewna, że wreszcie odpisał.

Niestety, wiadomość zawierała życzenia świąteczne od jednego z klientów.

Jowita ze złością odrzuciła telefon na łóżko.

Zaczynała się denerwować.

A może coś się stało? – przyszło jej do głowy. Może drogi zamarzły? Oby nie jakiś wypadek – pomyślała z przerażeniem.

Szybko napisała kolejną wiadomość.

„Odezwij się, bo się martwię. Napisz chociaż, że wszystko OK”.

Podenerwowana zaczęła chodzić po pokoju. Telefon milczał.

Nie powinnam od razu popadać w paranoję – próbowała uspokoić samą siebie. Na pewno nic złego się nie stało. Za chwilę przyjedzie i wspólnie będziemy się śmiać z tych moich strachów.

Bo przecież w każdej romantycznej historii musi być moment niepewności. Chwila, w której wydaje się, że cały plan się zawalił, a na drodze bohaterów piętrzą się przeszkody.

A później okazuje się, że to nic poważnego albo że pokonują przeciwności – pocieszała się Jowita. I wreszcie może nastąpić wyczekiwany happy end.

Trzeba było tylko troszkę dłużej poczekać.

Żeby czas minął szybciej, kobieta wyjęła z walizki paczuszkę z prezentem.

Może rozegram to inaczej – zdecydowała. Rozłożę wszystko na łóżku, żeby zobaczyć, gdy tylko wejdzie. Od razu zrozumie, że to dla niego i że nie musimy już dłużej czekać...

Podeksytowana rozerwała wstążeczkę i otworzyła pudełeczko. Delikatnie rozchyłała kolejne warstwy bibułki i wyjmowała zawartość. Z pietyzmem ułożyła ją na białej pościeli i odsunęła się kilka kroków, żeby zobaczyć efekt.

Jest doskonale – oceniła z przekonaniem. Jestem pewna, że będzie zadowolony.

Ostrożnie usiadła na brzegu łóżka. Kolejny raz zerknęła na telefon. Nic. Cisza.

Może naprawdę ma jakiś problem? Czy nie powinnam się bardziej zainteresować? – zastanawiała się, zaciskając wargi.

Z jednej strony uważała, że kobiecie nie wypada zbyt się narzucać, ale z drugiej przecież ich sytuacja była inna. To nie jakaś początkowa faza znajomości czy przelotne spotkanie. Podjęli poważne decyzje, więc chyba nie musiała udawać, że się nie przejmuje?

Drgnęła, słysząc ciche pukanie.

To on! – pomyślała radośnie.

Natychmiast wstała, poprawiła sukienkę i podeszła do drzwi. Stała w uwodzicielskiej pozie i dopiero wtedy przekręciła zamek.

– Proszę – zachęciła przybysza do wejścia, starając się, żeby jej głos zabrzmiał głęboko i seksownie.

Klamka poruszyła się i Jowita zobaczyła zupełnie nieznanego mężczyznę.

– Kim pan jest? – Wystraszona zrobiła krok w tył.

– Proszę się nie denerwować. – Nieznajomy podniósł rękę w uspokajającym geście. – Jestem Janusz, mąż Beaty.

– Ach, to pan! – Jowita zrozumiała, że ma do czynienia z właścicielem pensjonatu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem coś pani powiedzieć...

A jednak coś się stało – spanikowała kobieta. Może miał adres pensjonatu i ktoś zadzwonił? Policja, pogotowie?

– Miał wypadek? Żyje?! – Chwyła Janusza za rękę.

Mężczyzna popatrzył na nią, lekko zdezorientowany.

– Chodzi o mojego towarzysza, tak? – podpowiedziała. – O mężczyznę, który miał być ze mną w tym pokoju?!

– Chyba źle mnie pani zrozumiała. – Mąż Beaty pokręcił głową. – Przyjechałem, żeby powiedzieć, że jeśli pani ma ochotę, to można już zejść na dół. Napaliłem w kominku, żona zaczyna nakrywać stół... Inni goście też zaraz przyjdą, będziecie mogli państwo się poznać, zanim siądziemy do wieczery – tłumaczył. – Wie pani, staramy się, żeby atmosfera była taka... bardziej rodzinna...

Jowita słuchała mężczyzny, ale jego słowa niezupełnie do niej docierały.

– Tak, tak, oczywiście. – Pokiwała machinalnie głową.

Janusz popatrzył na nią badawczo.

– Niech pani przyjdzie – zachęcił. – Nie ma sensu siedzieć samotnie w pokoju. Jeśli pani towarzysz przyjedzie, z pewnością panią znajdzie.

Wycofał się i odszedł w stronę schodów.

Jowita zamknęła drzwi.

Jeśli pani towarzysz przyjedzie – rozbrzmiało jej w głowie. Jeśli... jeśli...

Muszę wiedzieć – zdecydowała.

Chwyła telefon i wybrała numer. Z kamienną twarzą słuchała sygnału. Spróbowała jeszcze raz, z podobnym skutkiem.

Nie było potrzeby dzwonić po raz trzeci, czuła to.

Stała przy łóżku i popatrzyła na jedwabną bieliznę, którą z takim namaszczeniem rozkładała kilka chwil wcześniej. Koszulka, figi, pas do pończoch – w kolorze soczystej czerwieni, ozdobione delikatnym białym futer-

kiem. Kosztowała majątek, ale Jowita uznała, że nie będzie żałować pieniędzy, gdy w grę wchodzi tak wielkie szczęście.

Ależ ze mnie idiotka! – pomyślała z rozpaczą. *Głupia, naiwna baba!*

I chociaż bardzo chciała, żeby za chwilę okazało się, że to właśnie ten pozorny zwrot akcji, który znała z filmów, to w głębi duszy czuła, że ten film istniał tylko w jej wyobraźni. A w realnym życiu nie ma co liczyć na happy end.



Zadra przez całą drogę nie powiedział ani słowa. Siedział nachmurzony i wpatrywał się w mijane krajobrazy. O ile oczywiście jechali przez oświetlony fragment trasy, bo poza miejscowościami za oknem samochodu widać było jedynie ciemność i gdzieniegdzie barierki oświetlane przez mijające ich samochody.

Mila zerkała od czasu do czasu we wsteczne lusterko, ale nie zagadywała. Nie chciała narażać się na kolejne impertynencje mężczyzny, poza tym nie wyglądał na kogoś, kto ma ochotę na rozmowę.

Wspomniał, że jedzie na wigilię – rozmyślała, zaciekawiona jednak nieco tym ponurym mężczyzną. Czyli ma jakąś rodzinę. Ale dlaczego nie pojechał wcześniej, jakimś tańszym środkiem transportu? Co zatrzymało go do ostatniej chwili?

Niekiedy lubiła sobie wyobrażać historie na temat swoich pasażerów. To była taka jej prywatna, tajemnicza zabawa, która nieco umilała pracę. Próbowwała odgadnąć, kim klient jest z zawodu, dokąd jedzie albo co go spotkało.

Oczywiście w większości wypadków nigdy nie dowiadywała się, na ile jej dociekania są zgodne z prawdą, ale chciała wierzyć, że choć czasami udawało jej się trafić.

Myszę, że może być lekarzem, który nie mógł wyjechać wcześniej, bo przeprowadzał poważną operację – fantazjowała, pokonując kolejne kilometry. Na przykład przeszczep serca. Jest stosunkowo młody, ale bardzo zdolny. I jest już profesorem.

Spodobała jej się ta wizja. Co prawda mężczyzna był zbyt mało delikatny jak na lekarza, ale ten kontrast tylko dodawał wyobrażeniom pikanterii.

Nie ma żony, bo poświęcił się pracy – kontynuowała w myślach tę wyдуманą historię. Kocha pewną kobietę, ale ona wyszła za innego, bo nie rozumiała jego pasji. On nadal tęskni i nie chce się wiązać z żadną inną. Dlatego jest taki mrukliwy i nieprzystępny.

Ponownie zerknęła w lusterko.

A jedzie do rodzinnego domu, gdzie czeka na niego matka – staruszka, która kocha syna nad życie, jest z niego dumna i tylko marzy, żeby znalazł miłość i był szczęśliwy. I zawsze, gdy ją odwiedza, piecze dla niego szarlotkę z jabłek zerwanych w sadzie, z jabłonki, z której spadł jako dziecko i stąd ma tę bliznę na czole.

Nie mogła wiedzieć, że Zadra, owszem, spadł, ale nie z jabłonki, tylko z roweru, który wziął sąsiadowi bez pozwolenia, za co dostał solidną burę od ojca. To wtedy usłyszał, że ma zadatki na przestępcę, i wtedy postanowił, że udowodni, jak bardzo ojciec się myli, i zostanie policjantem.

Nie wiadomo, czy Mili spodobałaby się ta historia, bo była bardzo zadowolona z własnej. I przekonana, że na pewno jest w niej wiele prawdy. W końcu od jakiegoś czasu jeździła taksówką, więc chyba nabrała doświadczenia w obserwowaniu ludzi i wyciąganiu wniosków.

Poza tym przekonanie, że wiezie doskonałego lekarza do starej matki, pozwoliło jej zapomnieć o niemiłym początku tego kursu i nadawało długiej drodze dodatkowego sensu.

Mogłabym mówić, że zrobiłam dobry uczynek – stwierdziła. Oczywiście pomiijając fakt, że wzięłam za to kilka stówek – uśmiechnęła się do siebie.

Wreszcie dojechała do celu.

Kilkadziesiąt metrów od podanego w zamówieniu adresu Zadra wyprostował się i odchrząknął.

– Niech się pani tu zatrzyma – nakazał.

Tym razem nie zamierzała się upewniać. Po prostu nacisnęła hamulec.

– Proszę bardzo, może pan wysiadać – rzuciła.

Mężczyzna otworzył drzwi samochodu.

Jeśli się pożegna, to jest lekarzem – pomyślała Milla. A jeśli nie, to zwykłym chamelem.

– Dobranoc – padło zza jej pleców.

– Dobranoc.

A jednak lekarz – podsumowała triumfalnie. I nawet jeśli nie, to tak będę o nim myślała. A teraz do domu, szybciutko.

Zawróciła i ruszyła w drogę powrotną. Od razu włożyła też do ucha słuchawkę i wybrała numer ojca.

Już dawno powinna była zadzwonić, ale nie chciała tego robić przy pasażerze, bo nie była pewna, jak zareaguje.

Ciekawe, jak sobie radzą?

– I jak tam? – zapytała, gdy ojciec odebrał połączenie.

– W porządku – usłyszała krótką odpowiedź.

Niby dobrze, ale wołała się upewnić.

– Jest obok ciebie Janek? Chciałabym z nim porozmawiać, na pewno zdążył się za mną stęsknić...

– Tak, jest. Już oddaję mu telefon.

– Mama? – Usłyszała rozradowany głos synka. – Wiesz, my z dziadkiem mamy ważną misję do wykonania – poinformował ją z przejęciem.

– Tak? Jaką?

– Nie mogę powiedzieć, to niespodzianka. Ale dziadek mówi, że nie będziesz się denerwowała – zapewnił z przekonaniem.

W głowie Mili zapaliła się lampka ostrzegawcza.

– Dobrze, cieszę się. Ja już do was jadę. – Przycisnęła mocniej pedał gazu. – Oddaj telefon dziadkowi.

– Słucham?

– Możesz mi powiedzieć coś więcej o tej waszej misji? Janek był bardzo tajemniczy, więc zżera mnie ciekawość. – Próbowała udawać żartobliwy ton.

– Mieliśmy mały wypadek z choinką. – Karol ściszył głos. – Szczur ją kompletnie pogryzł. Jasiiek bardzo się tym przejął, więc jedziemy kupić nową. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Odetchnęła z ulgą.

– Oczywiście, że nie. Kupcie ładne drzewko, stać nas. – Zerknęła na kieszeń, w której schowała pieniądze od klienta.

– Wybierzemy coś odpowiedniego – obiecał ojciec. – Ucieszysz się.

– Mamo, mamo! – Usłyszała w tle głos Janka. – Powiedziałem o naszej misji tacie!

– Byliście na cmentarzu? – Miła ściągnęła brwi.

– Tak, na chwilę – przyznał mężczyzna. – Jasiak się uparł. Nie miałem serca mu odmówić...

– W porządku – odparła, chociaż nie uważała, że to był dobry pomysł.

Nie żeby miała coś przeciwko temu, że syn odwiedzał grób ojca. Wiedziała, że Jankowi jest ciężko, był bardzo związany ze swoim tatą i takie namiastki odwiedzin i rozmów pomagały mu uporać się z żałobą.

Bardziej martwiła się o swojego ojca. Dla niego każda wizyta na cmentarzu była silnym przeżyciem. Przez kilka miesięcy po śmierci mamy w ogóle tam nie chodził, jakby nie przyjmował do wiadomości jej odejścia. Potem, dla odmiany, bywał na jej grobie codziennie. Ostatnio jednak lekarz zasugerował, żeby tego unikać, bo widok nagrobków żony i zięcia źle wpływa na stan psychiczny Karola.

Może obecność Janka jakoś pomoże – westchnęła. Bo chciałabym, żeby przynajmniej w Boże Narodzenie tata był w jakiej takiej formie. Właśnie ze względu na Janka.

Cóż, stało się. Skoro już tam poszli, to pozostała jej nadzieja, że nie będzie tak źle jak po pierwszym listopada, gdy ojciec przez tydzień nie chciał wstać z łóżka.

– Kupcie tę choinkę i wracajcie do domu – poprosiła. – Ja będę za jakieś trzy godziny. Prawie wszystko mam gotowe, więc zaraz po moim powrocie będziemy siadać do stołu.



Grzegorz stanął przed furtką i spojrzał na dom teściów. Nie był tu od kilku lat, Marzena jeździła sama, bo on nie mógł pozwolić sobie na urlop. Żona robiła mu z tego powodu wyrzuty, co mocno irytowało Zadrę.

Nigdy nie rozumiała, że moja praca wymaga ciągłej gotowości – pomyślał, patrząc na rozświetlone okna. Mordercy nie biorą pod uwagę planów urlopowych śledczych. Czy tak trudno to pojąć?

Otworzył żelazne drzwiczki, przeszedł kilka kroków po zaśnieżonych płytach chodnika i wszedł na schodki prowadzące do wejścia.

Uniósł rękę, żeby zapukać, ale się zawahał.

A jeśli jej tu nie ma? Jeżeli okaże się, że kłamała i pojechała gdzieś ze swoim kochaniem? – Ostatnie słowo, nawet niewypowiedziane, budziło w nim wściekłość. Bo że kogoś ma, to pewne. Z jakiego innego powodu zdecydowałyby się na rozstanie?

Ale właściwie co go obchodziło, czy teściowie się zdenerwują? W końcu to ich córeczka narobiła bałaganu, niech się dowiedzą prawdy. Zadra nie widział powodu, dla którego miałyby ich oszczędzać.

Od początku nie byli mu przychylni i chociaż nigdy nie powiedzieli tego wprost, to mężczyzna czuł, że uważali go za zbyt mało wartego dla swojej jedynaczki.

Z pewnością woleliby, żeby wybrała lekarza albo prawnika – skrzywił się na tę myśl. Ostatecznie bogatego biznesmena. W każdym razie nie zwykłego „psa”.

No to niech się teraz przekonają, że Marzenka nie jest taka święta, jak im się wydaje – zdecydował i zaciśniętą pięścią uderzył kilkukrotnie w drzwi.

Po chwili usłyszał jakieś szmery dochodzące ze środka, ale nikt nie otwierał, więc ponowił stanowcze pukanie.

– Nie odejdę! – oświadczył głośno, żeby osoba po drugiej stronie usłyszała.

Czekał jeszcze chwilę, ale wreszcie drzwi się uchylły i wyjrzała zza nich teściowa.

– Czego tu szukasz? – zapytała z nieukrywaną już niechęcią.

– A mama nie wie? – odparł ironicznie, akcentując pierwsze słowo. – Przyjechałem do żony i córki. Wigilia jest, rodzina powinna być dzisiaj razem.

– I ty masz czelność mówić o wspólnych świętach? – zdenerwowała się kobieta. – Od lat nie masz czasu, żeby usiąść z rodziną do stołu.

– Ciężko pracuję, żeby mamy córka mogła dobrze żyć – zauważył Grzegorz. – Zresztą to nie mamy sprawa.

– Owszem, moja – zaprotestowała. – Jestem matką Marzenki i nie pozwolę, żeby dalej się tak męczyła.

– Doprawdy?! – Mężczyzna zaczął tracić cierpliwość. – Na szczęście to nie mama będzie o tym decydować. Niech mama poprosi Marzenę, z nią chcę rozmawiać.

– Ale ona z tobą nie chce. – Kobieta wyprostowała się, jakby chciała pokazać, że własną obfitą piersią będzie broniła swojego dziecka. – Nic tu po tobie, wracaj, skąd przyjechałeś!

– Mama mnie wyrzuca?!

– Nie wyrzucam, bo nawet nie wpuściłam – zauważyła zjadliwie. – Zresztą nikt cię tu nie zapraszał.

– Ale nie odejdę, dopóki nie zobaczę swojego dziecka – oświadczył stanowczo Grzegorz. – Mam prawo wiedzieć, co się dzieje z Sylwunią.

– Jest cała, zdrowa i wreszcie szczęśliwa – odparła teściowa. – Bo nie musi być świadkiem awantur, jakie urządza po pijanemu jej ojciec.

Zadrę na chwilę zatkało z oburzenia.

– A więc tak to chcecie rozegrać?! – Popatrzył na teściową z wściekłością. – Że niby alkoholik ze mnie?! I może jeszcze przemocowiec?!

Kobieta uśmiechnęła się dwuznacznie.

– Jeśli stąd nie pójdziesz, to nie wiadomo, jak to się skończy – powiedziała. – Żegnam!

I zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Grzegorz w bezsilnej złości uderzył pięścią w ścianę domu. Poczul ból, ale nawet nie popatrzył na krwawiące kostki dłoni.

– Nie odejdę, dopóki nie zobaczę córki! – krzyknął. – Będę tu stał i krzyczał, aż usłyszą wszyscy sąsiedzi!

Zbiegł ze schodków i stanął w połowie drogi do furtki.

– Sylwunia!!! Córeczko!!! Tata przyjechał!!!

Odczekał chwilę i ponowił wołanie.

– Sylwunia!!! Tata tu na ciebie czeka!!! Sylwunia!!!

Rozejrzał się i zobaczył w oknie sąsiedniego domu mężczyznę, który patrzył z zainteresowaniem.

W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. Wyszarpnął komórkę z kieszeni i odebrał.

– Teraz możesz rozmawiać? – rzucił z wściekłością. – Co? Twoja mamusia wstydzi się sąsiadów?!

– Grzesiek, uspokój się – odparła Marzena. – Idź sobie, bo wezwiemy policję.

– Policję?! – roześmiał się głośno. – Na mnie? I co im powiesz?!

– Że zakłócasz spokój.

– Proszę bardzo, dzwoń! A ja powiem, że utrudniasz mi kontakt z dzieckiem!

– Grzesiek, czego ty chcesz? Przecież powiedziałam ci, że z nami koniec.

– Jasne, proszę bardzo – warknął. – Możesz sobie robić, co chcesz, tylko najpierw oddaj mi Sylwunię. Chcę ją zabrać na święta. Słyszysz?!

– Zwariowałeś! – Słysząc było, że żona się zdenerwowała. – Wytrzeźwiej najpierw, a potem się zastanów.

– Już się zastanowiłem. Nie oddam ci dziecka!

Marzena przez chwilę milczała, jakby rozważając jego słowa.

– Chyba zależy ci na tym, żeby Sylwunia była szczęśliwa? – zapytała wreszcie. – A jeśli tak, to lepiej będzie, jeśli dasz nam spokój. Małej jest tu dobrze, za chwilę siadamy do wieczerzy. Bez krzyków i awantur. Nie sądzisz, że to lepsze dla naszej córki?

– Co jest lepsze?! Żebym zniknął z jej życia?!

– Sam to powiedziałeś – odparła Marzena. – Dzieci szybko zapominają...

– Co ty pleciesz?! Ma zapomnieć o ojcu?! A może masz już dla niej nowego tatusia?!

– Może... Ale to nie twoja sprawa. Po prostu przestań się awanturować i jedź do domu, bo jeśli będę zmuszona wezwać policję, to tylko ułatwisz mi sprawę. I tak złożę wniosek o pozbawienie cię praw rodzicielskich.

Oznajmiła to głosem tak zimnym, że Zadra poczuł, jak zamarza mu serce. Zrozumiał jednak, że Marzena ma rację. Jeżeli dojdzie do interwencji policyjnej, sam da jej do ręki argumenty przeciwko sobie.

– Dobrze, odejdę – stwierdził cicho i zakończył połączenie.

Jeszcze raz popatrzył w rozświetlone okna. Gdzieś tam, w jednym z pokoi, była jego mała córeczka...

Zostawię jej przynajmniej prezent na progu – pomyślał i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że zostawił go w taksówce.

Marzena ma rację. – Zwiesił głowę. *Nie nadaję się na ojca.*



Sprzedawca choinek zapalił papierosa i oparł się o jedną z latarni okalających rynek. Z zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom Katii.

– Co? Zdziwiony pan? – uśmiechnęła się dziewczyna.

Od dwóch godzin nieprzerwanie nalewała zupę do plastikowych misek, a kolejka chętnych nie malała.

– Żeby zaraz zdziwiony, to nie – odparł mężczyzna, odsuwając na tył głowy kraciasty kaszkiet z opuszczanymi nausznikami. – Wiadomo przecież, że nierobów na świecie całe mnóstwo. Tylko się zastanawiam, jak to jest, że im za darmo jeść dają, a człowiek musi się naharować, żeby mieć co do garnka włożyć.

– No, tak znowu bardzo to się pan nie napracował. – Katia mrugnęła okiem. – Drzewka pan podaje i pieniądze kasuje. A z tego, co widzę, to zarobek też ma pan całkiem niezły.

– Od razu niezły. – Wzruszył ramionami. – Prawie po kosztach sprzedają. Wie pani, że naród biednieje. Wszędzie o tym trąbią. To ceny nie da się podnieść, musiałem przy zeszłorocznej zostać.

Wydmuchnął w górę dym i pokręcił głową.

– Uczciwie to w tym kraju ciężko żyć – pozałił się.

– Taki pan uczciwy? – Zerknęła na niego badawczo. – A te choinki to skąd pan ma?

– Co pani! – oburzył się sprzedawca. – Wszystko legalnie kupione! Mam kwity. Przecież mnie tu w każdej chwili mogą sprawdzić, w środku miasta jestem.

Podawała pełną miseczkę kolejnej osobie.

– Dobra, dobra – wróciła do rozmowy z mężczyzną. – Ma pan rachunek, ale ile tych drzewek naprawdę tu było, tego nikt nie wyliczy.

– Na kasę nabijam.

– Wszystkie? Bo ja tak zerkam od czasu do czasu i... – zawiesiła głos.

– Dobrze już, niech będzie. – Machnął ręką. – Nie zapieram się. Ale sama pani rozumie, że jakbym tak wszystko chciał robić, jak przepisy każą, to zysku by z tego nie było. Taka prawda.

– No to jednak pan nie do końca uczciwy, co? – roześmiała się Katia.

– Jakby się opłacało, tobym był – zapewnił z przekonaniem. – Ale chyba na mnie pani nie doniesie?

– Mam ważniejsze rzeczy do roboty. – Wskazała na garnek z zalewajką.

– A ile pani za to płacą? Od godziny czy za całość? – zainteresował się sprzedawca.

– Nic mi nie płacą – odparła zgodnie z prawdą. – Jestem tu wolontariuszką.

– Znaczy, że za darmo pani na tym mrozie stoi? – upewnił się mężczyzna.

– Nie za darmo – zaprzeczyła z uśmiechem. – Dostaję coś ważniejszego niż pieniądze: uśmiech, wdzięczność, poczucie, że robię coś dobrego...

– Może to i miłe, ale brzucha się tym nie napełni. – Mężczyzny nie przekonały jej słowa.

– Ale serce tak.

– Pani to jeszcze młoda, więc naiwna. – Popatrzył na nią z politowaniem. – Myśli pani pewnie, że dobro wraca i że ta pani darmowa robota na coś się przyda.

– A nie?

Sięgnęła po kolejną paczkę z miseczkami.

– Niech pan patrzy, ilu ludzi dzisiaj nie pójdzie spać bez jedzenia. – Wskazała na kolejkę i wypełnione miejsca przy stołach.

– A nie myśli pani, że powinni się do jakiejś roboty wziąć? – Zerknął z niesmakiem na potrzebujących. – I zarobić na swoje utrzymanie.

– Jasne, tak byłoby najlepiej – zgodziła się Katia. – Ale nie zawsze się udaje.

– Gdyby wiedzieli, że darmo nie dostaną, to by zaraz się udało. – Mężczyzna obstawał przy swoim. – A tak to wezmą zasilek, po zupę przyjdą i jakoś to leci. Ale sprawiedliwe to nie jest.

– Naprawdę pan tak myśli? – Dziewczyna nie mogła uwierzyć. – Przecież różnie w życiu bywa. Coś się nie uda albo choroba przyjdzie. I co? Zostają bez środków do życia. Uważa pan, że trzeba ich zostawić bez pomocy? I że to byłoby sprawiedliwe?

Zanurzyła łyżkę w garnku, naląła porcję zalewajki i podała ją staruszce, która popatrzyła na nią z wdzięcznością, a potem odeszła powoli, trzymając miseczkę w drżących dłoniach.

– Widział ją pan? – Katia zwróciła się znowu do mężczyzny. – To pani Hania. Ma tak małą emeryturę, że kiedy zapłaci za mieszkanie i media, to nawet na leki jej już nie starcza. Musi wybierać, czy się lepiej czuć i głodować czy kupić jedzenie, ale nie przyjmować leków – opowiedziała pokrótce historię staruszki. – I co? To jej wina? Całe życie pracowała...

Sprzedawca choinek rzucił niedopałek na kamienną płytę placu i przydeptał go czubkiem buta.

– Fakt, jej się należy – przyznał. – Ale nierobów i pijaków też tu nie brakuje.

– Może i tak – przyznała z kolei Katia. – Ja tam ich nie oceniam. Mają swoją przeszłość i sami muszą z tym żyć. Co nie znaczy, że mam im odmówić zupy w mroźny dzień. A zwłaszcza dzisiaj.

– Widzę, że pani uparta – uśmiechnął się mężczyzna. – Ciekawe, jak długo pani starczy siły i cierpliwości na ten... wolontariat.

– Mam nadzieję, że bardzo długo – roześmiała się Katia. – Bo jak pan widzi, potrzebujących nie brakuje.

– A ja już powoli będę się do domu zbierał. Kupujących jak na lekarstwo, najładniejsze drzewka poszły, więc czas na mnie.

Mężczyzna odszedł, a po chwili wrócił z choinką w dłoni.

– Jak pani tak lubi pomagać tym obdartusom, to może i takie drzewko trafi w pani gust. – Wyciągnął w jej stronę choinkę. – Szczerze powiem, że brzydszej dawno nie widziałem.

Katia popatrzyła na rzadkie gałązki, niektóre z uschniętymi igłami, i na krzywy czubek drzewka.

– Rzeczywiście, urodą nie grzeszy. – Pokiwała głową. – Ale może trzeba dać jej szansę? – Mrugnęła okiem. – Biorę ją!

Sprzedawca spojrział ze zdziwieniem.

– Poważnie pani mówi?

– Jak najbardziej. Ile pan za nią chce?

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła portmonetkę.

Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Pani to tak samo pokręcona jak ta choinka – powiedział szczerze. – Pa-sujecie do siebie, nie ma co.

– Tak właśnie myślę – zgodziła się Katia. – To ile?

– Niech pani bierze za darmo. – Machnął ręką. – I tak bym jej nie sprzedał. Chociaż tyle będzie pani miała z tego stania tutaj.

– Naprawdę?! – ucieszyła się dziewczyna. – Jaki pan miły! Dziękuję!

– Nie ma za co. Taki drapak, a nie świąteczne drzewko – ocenił uczciwie.
– Ale jak pani zadowolona, to i mnie miło...

– Widzi pan! Miałam rację! – roześmiała się Katia. – Nie zarobek jest najważniejszy. Czyjaś wdzięczność i radość sprawiają, że człowiekowi od razu lepiej.

– No widzę, że pani nie przegadam, chociaż swoje wiem. Wesołych świąt!

– Wesołych świąt!



Jowita pamiętała doskonale, co powiedział jej psycholog, do którego trafiła po rozstaniu z mężem.

– Emocje nie są dobrym doradcą. Trzeba najpierw je poukładać, zrozumieć, zyskać nad nimi kontrolę i poczekać, aż nieco opadną. Dopiero potem można podejmować decyzje i działać.

Powtarzała sobie te słowa bardzo często, szczególnie w czasie rozwodu i później, gdy zaczęła samodzielnie prowadzić firmę. Musiała przyznać, że rada okazała się bardzo dobra i wiele razy uratowała ją przed zrobieniem czegoś, co mogłoby przynieść jej więcej szkody niż pożytku.

Zemsta najlepiej smakuje na zimno – z kolei tę poradę usłyszała od jednej z koleżanek, dwukrotnej rozwódki, obecnie żyjącej w szczęśliwym związku partnerskim.

Również jej posłuchała, choć chwilę zajęło jej zrozumienie tego przekazu. Na szczęście zdążyła w porę, bo inaczej, zaaferowana rozpamiętywaniem swoich krzywd, mogłaby nie dopilnować podziału majątku i firma przeszłaby jej koło nosa. Tak się jednak nie stało i od tej pory obie porady stały się czymś w rodzaju jej życiowych mott.

Ile razy zaciskała zęby i robiła dobrą minę do złej gry tylko po to, żeby zmylić konkurencję lub klientów, którzy próbowali ją oszukać. Udawała, że

nie wie, co się dzieje, zachowywała spokój, a wieczorami obmyślała sposoby na zmianę niekorzystnej sytuacji.

A potem już było z górki. Mogła do woli triumfować, widząc zaskoczenie przeciwników, gdy chłodno i precyzyjnie przeprowadzała swój plan.

Tak, emocje nie są dobrym doradcą, trzeba nad nimi panować – powtarzała. – Nie wolno pozwolić, żeby ktoś wyprowadził nas z równowagi.

Jednak teraz, w ten wigilijny wieczór, coś w Jowicie pękło.

Usiadła na łóżku, jeszcze próbując zachować spokój.

– Mój świat właśnie się zawalił – powiedziała głośno i powoli, starannie wymawiając każde słowo. – Wszystkie moje marzenia przysły.

Splotła palce tak mocno, że zatrzeszczały kostki. Zrobiła to jeszcze dwa razy, a następnie wolno wstała. Podeszła do lustra wiszącego nad stolikiem, który mógł także służyć za toaletkę. Popatrzyła na swoje odbicie – staranna fryzura, dzieło doskonałego fryzjera, obcisła sukienka, której połyskliwy materiał podkreślał wyrzeźbione na siłowni kształty, dyskretna i elegancka biżuteria.

– Wyglądam idealnie – pochwaliła samą siebie grobowym tonem.

Chwyciła w dłoń brzeg dekoltu i pociągnęła. Materiał zatrzeszczał i rozdarł się aż do pasa.

– Teraz troszkę gorzej – oceniła.

Stopniowo i metodycznie kontynuowała swoje dzieło i wkrótce z sukienki pozostały tylko strzępy leżące na podłodze.

Jowita wyjęła z walizki kosmetyczkę i poszła do łazienki, gdzie zmyła makijaż. Zdjęła też kolczyki i bransoletkę, które niedbale cisnęła na blat obok umywalki. Nic dla niej nie znaczyły, bo kupiła je z myślą o nim. Po to, aby bardziej mu się podobać. Teraz ich posiadanie straciło sens.

W samej bieliznie wróciła do pokoju. Jej wzrok padł na świąteczną bieliznę, która nadal leżała na łóżku i wyglądała jak plama krwi na białej pościeli.

Co za gnój! – pomyślała i poczuła, że zalewa ją fala wściekłości.

Jednym szybkim ruchem chwyciła czerwoną koszulkę i resztę seksownego stroju, podbiegła do okna, otworzyła je na oścież i wyrzuciła wszystko tak daleko, jak mogła. Zatrzasnęła drewniane skrzydło tak mocno, że aż zadrzęła szyba.

– Świnia! Cham! Zwyczajny gnojek! – wykrzykiwała w napadzie szału.

Dopiero teraz tak naprawdę dotarło do niej, że ten, na którego tak czekała, ją oszukał.

A przecież obiecywał! Zapewniał już kilka tygodni temu, że rozmówi się z żoną i w Wigilię ostatecznie ją opuści.

– Od dawna się nie dogadujemy – mówił. – Nasze małżeństwo jest martwe. Do tej pory tkwiłem w nim, bo nie miałem motywacji, żeby coś z tym zrobić. Ale odkąd spotkałem ciebie, zrozumiałem, czym jest prawdziwa miłość.

Tak właśnie mówił.

O nie, Jowita nie była pierwszą naiwną. Tak przynajmniej myślała. Długo nie dawała się przekonać.

– Swoje przeżyłam, nie dam się nabrać na piękne słówka – odpowiadała, gdy powtarzał, jaka jest piękna, mądra i niesamowita.

Jednak on był uparty i cierpliwy. Tak bardzo, że w końcu Jowita uznała, że musi mówić prawdę, bo żadnemu mężczyźnie nie chciałoby się tak długo zabiegać o kobietę, gdyby mu naprawdę nie zależało.

I uległa.

A potem się zakochała

– Jednak jestem naiwna! I głupia! – krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą.

Rzuciła się na łóżko i zaczęła głośno szlochać.

Tak, była porzuconą kobietą. Porzuconą na własne życzenie, bo pozwoliła sobie na miłość i zaufanie, choć przecież po rozwodzie zarzekała się, że nigdy więcej.

Płakała długo, aż w końcu zabrakło jej łez. Usiadła wtedy i rozejrzała się po pokoju.

Nie mogę zostać tu ani chwili dłużej – zdecydowała. Jak miałabym patrzeć na miejsce, w którym miałam świętować swoje szczęście, a które stało się świadkiem mojej wielkiej klęski?

Tak, musiała wyjechać jak najszybciej!

Włożyła tę samą sukienkę, w której przyjechała, spakowała walizkę i nie oglądając się za siebie, opuściła pokój.

Stukot plastikowych kółek na schodach wybijał ten sam rytm, co jej serce, i niósł się echem po pustym korytarzu, stanowiąc smutny akompaniament jej ucieczki.

Miała nadzieję, że nie spotka nikogo. Niestety, w recepcji stał Janusz.

– A dokąd się pani wybiera? – zdziwił się na jej widok. – Zaraz siadamy do stołu, już wszystko gotowe.

– Wyjeżdżam – rzuciła krótko i położyła klucz na drewnianej ladzie.

– Coś się stało? – zaniepokoił się mężczyzna. – Mogę pani jakoś pomóc?

– Nie.

Wyciągnęła walizkę na zewnątrz i podeszła do samochodu.

Co za szczęście, że nie piłam nic mocniejszego – pomyślała. Wtedy byłabym tu uwięziona aż do jutra, a tego bym nie zniosła.

Zatrzasnęła pokrywę bagażnika i zajęła miejsce za kierownicą. Już miała wyjeżdżać, gdy zobaczyła biegnącego w jej stronę właściciela pensjonatu. Krzyczał coś i machał rękami, więc otworzyła szybę.

– Proszę poczekać! – Podbiegł do niej, zdyszany. – Poszedłem odebrać pokój i zobaczyłem to. – Wyciągnął w jej stronę dłoń, w której zobaczyła swoje kolczyki i bransoletkę. – Zapomniała pani zabrać.

Spojrzała na biżuterię i uśmiechnęła się smutno. Potem podniosła wzrok na Janusza.

– To rekompensata za bałagan, który zostawiłam – powiedziała.

– Ależ... – chciał zaprotestować.

– To biżuteria, którą miała nosić kochająca kobieta, żeby pięknie wyglądać dla swojego mężczyzny. – Jowita nie dała mu dojść do słowa. – Proszę

ją podarować żonie.

Po czym, nie czekając na odpowiedź, wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała z terenu pensjonatu.



Karol szedł w milczeniu, lekko zgarbiony, jakby niósł na ramionach jakiś niewidzialny ciężar. Krok za krokiem przemierzał uliczkę prowadzącą do rynku, całkowicie pochłonięty swoimi myślami.

Janek dreptał obok dziadka, starając się za nim nadążyć. Nie było to proste, bo wąski chodnik sprawiał, że chłopiec musiał brnąć przez śnieg zgarbięty na brzeg ulicy. Na dodatek dookoła było tyle ciekawych rzeczy do obejrzenia, że mały ledwie się powstrzymywał, żeby nie stanąć i po prostu nie patrzeć na te wszystkie cudowności.

Główna ulica miasta ozdobiona była girlandami świetlnymi, które rozciągnięto pomiędzy latarniami. Przy słupach oświetleniowych także rozwieszono dekoracje – aniołki i dzwonki składające się z wielu małych lampek, które teraz, już po zmroku, migotały niczym gwiazdki na tle ciemnego zimowego nieba.

I jeszcze te sklepowe wystawy? Na każdej było coś niezwykłego. Tu miśkołaj wspinający się po manekinie, gdzie indziej propozycje gwiazdkowych prezentów dla najmłodszych, a znowu za kolejną szybą ogromna choinka z niezliczoną liczbą bombek w różnych kształtach i kolorach. Naprawdę było na co popatrzeć!

Janek pamiętał jednak słowa mamy, która nakazywała zawsze trzymać się blisko dorosłego opiekuna. Dlatego maszerował dzielnie obok Karola i starał się niezbyt często rozglądać na boki.

Zwłaszcza że mieli przecież misję. Od tego, czy im się uda, zależały całe święta. Jasiak czuł, że to ogromna odpowiedzialność, i bardzo chciał, żeby im się udało.

Może mama naprawdę zacznie się znowu śmiać? – rozmyślał z nadzieją. I dziadek wyzdrowieje...

Powiedział tacie o ich planach. I chociaż wiedział, że taty tak naprawdę nie ma tam, pod kamienną płytą, to wierzył, że słyszy jego słowa. Zresztą mama go o tym zapewniała.

Gdyby tu był, na pewno by nam pomógł – pomyślał z przekonaniem Janek. Tata był dobry i silny. Nosił wszystkie zakupy i mnie na barana – wspominał.

Twarz ojca już nie była tak wyraźna, kiedy o nim myślał, ale i tak lubił wyobrażać sobie, że rozmawiają albo bawią się razem. Nie mówił o tym mamie, bo widział, że kiedy mówią o tacie, ona ma ochotę się rozplakać.

Janek na samą myśl o tym poczuł smutek, więc szybko zaczął przyglądać się butom dziadka, które szybko poruszały się po chodniku.

Nie mogę płakać, mam misję – powtarzał w myślach, w rytm dziadkowych kroków.

Był już trochę zmęczony, bo nie przyjechali z cmentarza autobusem. Dziadek zdecydował, że spacer będzie lepszy, szli więc już dobre trzy kwadransy.

Janek zerknął na mężczyznę.

Może domyśli się, że chciałbym odpocząć?

Niestety, Karola zupełnie pochłonęły rozmyślenia i prawdę mówiąc, w tej chwili zupełnie nie pamiętał, że obok niego idzie wnuk.

Mężczyzna niezbyt dobrze znosił widok grobów najbliższych. I chociaż zięć nie był przecież jego dzieckiem, to wiedział, że Mila była z nim szczęśliwa. Nie mógł zrozumieć, dlaczego los tak okrutnie się z nimi obszedł i rozdzielił na zawsze tak dobre małżeństwo.

Ja przynajmniej żyłem wiele lat z moją Marysią – myślał z żalem. A oni? Zaledwie kilka lat. Mieli całe życie przed sobą...

Tak, trudno się było z tym pogodzić. A widok znajomego imienia na pomniku tego nie ułatwiał.

Spełnił prośbę wnuka, bo chciał mu jakoś wynagrodzić tę przykrą sytuację z choinką, ale tak naprawdę wolałby nie iść na grób męża swojej córki.

Wnuk! – Naraz Karol przypomniał sobie o istnieniu chłopca. Przystanął gwałtownie.

– Tu jesteś! – Odetchnął z ulgą.

– Cały czas idę obok ciebie, dziadku – oświadczył Janek. – I nadażam, chociaż stawiasz długie kroki.

Dziadek poklepał go po ramieniu.

– Dzielny chłopak! – pochwalił. – Już prawie jesteśmy na miejscu. Patrz! – Wskazał palcem na wprost. – Tam jest rynek i tam zwykle sprzedają choinki.

Janek pokiwał głową.

– Chodźmy, bo już całkiem ciemno. – Mężczyzna wziął chłopca za rękę i ruszył dalej.

Po chwili dotarli do skraju dużego placu.

Janek rozejrzał się dookoła. Chyba kiedyś był tu z mamą, ale wtedy było lato, wszędzie stały stoliki z parasolami, a przy nich siedziało wielu ludzi. I grała muzyka.

Teraz plac był prawie całkiem pusty. Po jednej stronie stało tylko kilka drewnianych budek, a po drugiej jacyś ludzie siedzieli przy długich stołach i coś jedli.

Nie to jednak zdziwiło malca najbardziej.

– A gdzie są choinki? – Podniósł wzrok na dziadka.

Karol również rozglądał się dookoła ze zmarszczonym czołem.

– Wygląda na to, że nie ma – stwierdził w końcu.

– A mówiłeś, że zawsze tu są! – W głosie Janka zabrzmiał wyrzut.

Mężczyzna zacisnął zęby.

– Dziadku, co z naszą misją?!

– Cóż, nie każda misja kończy się sukcesem. – Zawadzki powiedział to, co pierwsze przyszło mu do głowy. – Zawsze trzeba być gotowym na porażkę. Spróbujemy w przyszłym roku, a teraz musimy wracać do domu.

Wnuczek szybko zamrugał oczami.

– W przyszłym roku? – upewnił się.

– Tak.

– A co z naszymi świętami? Przecież mieliśmy je zmieniać. Miała być nowa choinka i nowe Boże Narodzenie. Pamiętasz? Obiecałeś! – Szarpnął dziadka za rękaw płaszcza.

Karol ze zniecierpliwieniem popatrzył na wnuka.

– Co ja mam na to poradzić? – Wzruszył ramionami. – Sam widzisz, że nie ma choinek. Przecież nie jestem czarodziejem!

– Ale obiecałeś! – powtórzył Janek ze łzami w oczach. – Słowa trzeba dotrzymywać, mama tak mówi.

– A czy to moja wina? – zdenerwował się Zawadzki. – Gdybyśmy przyszli wcześniej, to kupiłbym ci tę choinkę. Ale uparłeś się na ten cmentarz jak osioł, więc teraz masz za swoje!

– Chciałem tylko powiedzieć tacie...

– I powiedziałaś. A teraz jedziemy do domu – postanowił Karol.

– Ja nigdzie nie jadę!

Jasiek szarpnął się i wyrwał rękę z dłoni dziadka.

– Miała być choinka! Okłamałeś mnie!

– Uspokój się natychmiast! – Dziadek próbował przywołać go do porządku, ale chłopiec ani myślał go słuchać.

– Nie chcę takich świąt! Nie chcę! – krzyknął.

I pobiegł ile sił przez plac.

Karol próbował go dogonić, ale po chwili zabrakło mu tchu. Zanim doszedł na drugą stronę rynku, malec zniknął już w jednej z uliczek.



– Dziś dwudziesty czwarty grudnia, czyli Wigilia. Ale o tym chyba wszyscy wiedzą. – Radiowy spiker rozpoczął kolejny blok informacyjny. – Zapadł zmrok, więc zaraz zaczniemy wypatrywać pierwszej gwiazdki. Nie wia-

domo, czy ją dojrzymy, bo od rana niebo jest zachmurzone, ale dzięki temu mamy wreszcie prawdziwą zimę. Dzieci się cieszą...

– Ale kierowcy już mniej – odpowiedziała Miła, choć spiker przecież nie mógł jej usłyszeć.

Droga była gorsza niż wcześniej, bo śnieg zdążył już pokryć ją kolejną warstwą, a pługi najwyraźniej jeszcze tu nie wróciły.

Musiła jechać wolniej i w większym skupieniu.

Kolejne trzy godziny za kółkiem przede mną – westchnęła. A już jestem zmęczona.

Myśl o czekającym ojcu i synu sprawiała, że starała się skoncentrować, ale musiała przyznać, że oczy zaczynały ją piec, a ręce już tak pewnie nie trzymały kierownicy.

Muszę napić się kawy i chwilę odpocząć – podpowiadał jej głos rozsądku. Kwadrans mnie nie zbawi, a nie ma co kusić losu.

Myśl o wypadku dosłownie ją paraliżowała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałaby coś takiego przeżywać jeszcze raz.

Janek musi mieć chociaż jedno z rodziców – pomyślała. A ja chcę widzieć, jak dorasta.

Już nie miała dylematu, co robić. Po prostu skręciła na najbliższą stację benzynową.

– Poproszę czarną kawę. – Podeszła do lady i popatrzyła na wyłożone tam kanapki. – Jest coś bez wędliny? – zapytała, wskazując sandwicze.

– Niestety, wszystko wyszło – odparła korpulentna brunetka w fartuchu z logo sieci.

Miła uśmiechnęła się lekko na myśl o wychodzących z budynku bułkach, ale nie powiedziała tego głośno.

– W takim razie poproszę tę z salami – zdecydowała. – Sytuacja podbramkowa, więc chyba mogłabym liczyć na dyspensę – zażartowała sobie.

Brunetka najwyraźniej nie była w nastroju do żartów, bo nawet się nie uśmiechnęła. Wyjęła z za szyby kanapkę i podała ją Mili.

– Ekspres jest tam. – Wskazała miejsce na drugim końcu pomieszczenia.
– Dwadzieścia dwa dziewięćdziesiąt osiem – dodała, stukając palcem w przycisk na kasie.

Mila wyjęła kartę i przystawiła ją do czytnika. Zabrała kanapkę i poszła zrobić sobie kawę.

Usiadła z kubkiem przy stoliku i odwinęła trójkątne kawałki chleba z folii. Popatrzyła na plasterki salami i nieco zwiędłą sałatę. Nie wyglądało to zbyt apetycznie.

Mila, musisz coś zjeść – tłumaczyła sobie w myślach. Bądź rozsądna, masz kawał drogi do przejechania, musisz mieć siłę.

Ugryzła kanapkę i żuła powoli, wpatrując się w pusty parking przed stacją.

– Chciałabym być już w domu.

– A kto by nie chciał. – Usłyszała męski głos.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to na głos, i dopiero teraz dostrzegła człowieka siedzącego w kącie przy ostatnim stoliku.

– Pan też w drodze? – zagadnęła.

– Przeciwnie. Jestem tu uziemiony – mruknął.

– Jak to? Samochód się panu zepsuł? Może mogę jakoś pomóc?

Żal jej się zrobiło mężczyzny. Od razu wyobraziła sobie jego rodzinę – co najmniej kilkoro dzieci i miłą żonę, czekających w oknie na tatę, który długo nie wraca.

– Niestety nie. Tu może pomóc jedynie sędzia, który uwolni mnie od tej tam. – Wskazał głową na brunetkę za ladą.

– Nie rozumiem... – Wizja żony i dzieci znikła i Mila była nieco zdezorientowana.

– To moja ślubna – wyjaśnił. – Od roku. Jakbym wiedział, że ten małżeński węzeł jest taki ciasny, tobym się mocno zastanowił.

– A co? Żle ci?! – krzyknęła w ich stronę brunetka.

Wyszła z za lady i podeszła do nich szybkim krokiem. Położyła ręce na szerokich biodrach i pochyliła się w stronę Mili.

– Wolałby teraz z koleżkami siedzieć i piwo chlać! – oznajmiła podniesionym głosem. – To najbardziej lubi. A do pracy się nie garnie. To przez niego musiałam tę robotę wziąć i teraz po nocy na tym zadupiu siedzę!

– Sama chciałaś. – Jej małżonek wzruszył ramionami.

– Bo myślałam, że ci na ambicję wjadę i weźmiesz się za siebie. Ale nie! Tylko patrzy, żeby z domu zniknąć – znowu zwróciła się do Mili. – A dzisiaj mamy iść do moich rodziców, jak tylko zmianę skończę. Musiałam go tu posadzić, żeby mieć na oku – wyjaśniła. – Inaczej znowu trzeba by się wstydzić, że podpitego chłopca przyprowadziłam.

– Tak, od razu pijanego! – oburzył się mężczyzna. – Piwko człowiek wypije, a ona już aferę robi, jakbym w rowie leżał. Rozwiodę się z tobą, mówię ci! – zagroził.

– A rozwiedź się, proszę bardzo! – Żona nie pozostała mu dłużna. – Myślisz, że będę płakała? Lepsi za mną patrzą – oznajmiła i z dumnie podniesioną głową wróciła na swoje miejsce pracy.

Mila z zaciekawieniem obserwowała tę scenę.

Ciekawe, czy naprawdę się rozstaną? – zastanawiała się, popijając kawę. *Ledwie rok po ślubie, a już takie kłótnie...*

– Ona nie jest taka zła – odezwał się nagle mężczyzna scenicznym szeptem. – Tylko się popisuje przed panią.

Mila pokiwała głową.

– Co ty tam znowu gadasz?! – zainteresowała się brunetka. – Chodź tu lepiej, podgrzałam ci pierogi w mikrofali. Do wieczery jeszcze kilka godzin, a ty pewnie już głodny jesteś.

– Sama pani widzi, dobra z niej dziewczyna. – Mężczyzna mrugnął okiem. – Jakby mi jeszcze od czasu do czasu pozwoliła piwko wypić, to byłby ideał.

Mila popatrzyła, jak podchodzi do żony, a ona podaje mu talerz z posiłkiem. Uchwyciła spojrzenie, którym brunetka obdarzyła męża.

Nie rozejdą się – zawyrokowała. Ona go kocha. I on ją chyba też, na swój sposób. Jak widać, nie wszystko jest tak, jak na pierwszy rzut oka wygląda.

Dopiła kawę, przełknęła ostatni kęs kanapki i uznała, że pora ruszać.

– Dobranoc – pożegnała parę.

– Wesołych świąt! – krzyknął mężczyzna znad talerza. – Niech się pani tylko nie da zrobić w wigilię z teściami.

– Nie gadaj już, jedz – przywołała go do porządku żona.

Miła, rozbawiona zachowaniem pary, z uśmiechem wsiadła do samochodu. Poczula, że powinna poprawić zagłówek, więc odwróciła się i spojrzała przelotnie na tylne siedzenie.

Kurczę, ten facet zostawił paczkę – stwierdziła. To na pewno prezent.

Sięgnęła i przeniosła pakunek na przednie siedzenie. Ze zdziwieniem odkryła, że w pudełku jest duża piękna lalka.

Albo pan doktor ma siostrzenicę, albo jednak znalazł miłość – pomyślała. Tak czy inaczej, jakaś dziewczynka byłaby zawiedziona brakiem prezentu. Nie mam wyjścia, muszę zawrócić – postanowiła. Dobrze, że nie ujechałam daleko i zatrzymałam się na kawę.



Zadra nerwowo chodził wzdłuż ogrodzenia domu teściów. Raz po raz patrzył w okna, szczególnie w to, gdzie za firanką widać było choinkę rozświetloną kolorowymi, mrugającymi lampkami.

Na pewno Sylwunia jest zachwycona – pomyślał. I nie może się doczekać, co przyniesie jej Gwiazdka.

Rzucił pod nosem kilka niewybrednych epitetów pod swoim adresem.

Nie popisał się, nie ma co! Nie dość, że nawet z daleka nie widział córki, to jeszcze zapomniał prezentu.

Marzena na pewno pomyślała, że przyjechałem z pustymi rękami – uznał niechętnie. To dla niej kolejny dowód, że dziecko tak naprawdę mnie nie obchodzi. Jestem pewien, że wyciągnie to podczas rozprawy rozwodowej. Już sobie wyobrażam, jak powie, że ojciec przyjechał się awanturować, zakłócił radosną atmosferę świąt i nie przywiózł córce nawet lizaka, bo z pewnością wszystkie pieniądze wydał na wódkę.

A przecież to nieprawda! – pomyślał rozpaczliwie. Sylwunia zawsze była moim oczkiem w głowie, zrobiłbym dla niej wszystko!

Gdyby nie był twardym gliną, to z pewnością rozplakałby się jak dziecko.

Co miał teraz zrobić? Wrócić do pustego mieszkania? Jak? Nie pomyślał o zatrzymaniu taksówki.

Przystanął na rogu ulicy i wbił zaciśnięte pięści w kieszenie dzinsów. Rany na kostkach palców zapiekły, syknął z bólu.

Poczuł, że jest zupełnie przemarznięty. Stopy w sportowych butach zaczynały piec z zimna, policzki również.

Chyba po raz pierwszy w życiu Zadra poczuł się bezradny i zupełnie nie wiedział, co ma robić.

Przestępował z nogi na nogę i starał się zebrać myśli, ułożyć jakiś plan, ale nie potrafił wymyślić nic sensownego. Po co miał wracać? Po co pracować? Jakie to miało znaczenie, czy w ogóle będzie robił coś sensownego? Dla kogo?

Obojętnym wzrokiem zarejestrował przejeżdżający obok samochód. Dopiero gdy błyszczący, czarny SUV zatrzymał się przed domem teściów, Zadra zmarszczył czoło i przyjrzał mu się uważniej.

Zapaliło się światełko nad lusterkiem i Grzegorz zobaczył, że za kierownicą siedzi jakiś mężczyzna.

Jednak instynkt „psa” mnie nie zawiódł – stwierdził z satysfakcją i podszedł kilka kroków bliżej. Czuję, że Marzena kogoś ma.

Z pewnością nie był to nikt z rodziny, bo Zadra nigdy wcześniej go nie widział. Obserwował teraz, jak nieznajomy wysiadł z auta, otworzył tylne drzwi i zaczął wyciągać torby, w których były zapakowane w kolorowy papier paczki.

Prezenty! – odgadł od razu policjant. No, pięknie, nie ma co! Jeszcze nie złożyła pozwu, a już zaprasza kochasia na wigilię!

Gdyby Zadra potrafił zapanować nad emocjami, pewnie wyjąłby telefon i zrobił serię zdjęć, które potem byłyby doskonałym dowodem w sądzie. Bez trudu udowodniłby żonie zdradę, uzyskał orzeczenie o jej winie i miałby świetną podstawę do ubiegania się o opiekę nad dzieckiem.

Niestety, w chwilach silnego wzburzenia Grzegorzowi zdarzało się działać bez zastanowienia. W jego pracy często mu to wybaczano, zwłaszcza że był skuteczny, ale w życiu prywatnym taka strategia mogła przynieść różne efekty.

Jednak Zadra nie myślał teraz o konsekwencjach. Jakby jakaś mgła otoczyła jego umysł i nie pozwoliła mu na logiczne myślenie.

Krew zawrzała w żyłach mężczyzny, nagle zrobiło mu się gorąco, a szczęki zacisnęły się tak, że aż drgały mięśnie na policzkach.

W dwóch susach znalazł się tuż obok kierowcy SUV-a. Złapał go za kołnierz czarnego wełnianego płaszcza i przyciągnął do siebie.

– I co teraz, gnojku?! – warknął.

Nieznajomy wcale się nie wyrywał. Popatrzył Zadrze prosto w oczy i spokojnie powiedział:

– Marzena do mnie dzwoniła i ostrzegała, że się tu kręcisz.

– Ja się kręcę?! Coś ci się przypadkiem nie pomyliło?! To dom moich teściów, więc jeśli ktoś się kręci, to raczej ty!

Mężczyzna złapał Zadrę za nadgarstki, próbując się uwolnić.

– Nie szarp się, bo dostaniesz w mordę! – ostrzegł go Grzegorz.

– No tak, niczego innego nie można się po tobie spodziewać. – Kochanek żony się skrzywił. – Ale proszę bardzo, wał, jeśli od tego ci ulży! Tylko że to nic nie zmieni. Zrozum to, człowieku!

Grzegorz puścił wełniane klapy i zrobił krok w tył.

– Nie będę ruszał gówna – oświadczył.

Tamten pokręcił z politowaniem głową.

– Serio tylko na tyle cię stać? – Poprawił płaszcz. – Szkoda, bo miałem nadzieję, że pogadamy jak mężczyźni.

– Niby o czym?! – Zadra wzruszył ramionami. – Że rozwalileś mi rodzinę? Że przez ciebie nie mogę zobaczyć dziecka?!

– Przeze mnie? – roześmiał się tamten. – Gdybyś na chwilę przestał pić, to może udałoby ci się zobaczyć, jak to naprawdę wygląda.

– A ty niby wiesz?

– Tak się składa, że wiem. Choćby stąd, że słucham Marzeny. I możesz sobie wykrzykiwać własne żale, robić z siebie pokrzywdzonego ojca, ale prawda jest taka, że sam to zjebałeś. – Nowy partner Marzeny nie przebiegał w słowach.

Zadra zacisnął pięść i się zamachnął, jednak jego przeciwnik zrobił krok w bok i uniknął ciosu.

– Prawda w oczy kole? – zapytał ironicznie. – Cóż, może pora zmierzyć się z faktami, panie komisarzu. Nie słuchałeś żony, nie miała w tobie żadnego wsparcia. Byłeś zajęty pracą i pić z kolegami. Twoja córka widywała cię raz na kilka dni, może nawet rzadziej. Nieprawda? To powiedz, kiedy byłeś z nią na spacerze? Kiedy zabrałeś Marzenę na obiad albo choćby do kina? Co twoja córka jada na kolację?

Podszedł śmiało do Zadry i spojrzał mu w prosto w oczy.

– Możesz mnie uderzyć, ale nie cofniesz czasu. I nie uda ci się mnie obwinić o swoją porażkę. Wiec może przynajmniej nie utrudniaj i pozwól Marzenie i Sylwii na normalne, dobre życie, co? Choć na koniec pokaż, że potrafisz zrobić dla nich coś dobrego.

Grzegorz w milczeniu słuchał tej tyrady.

Założył, że Marzena związała się z jakimś bogatym dupkiem tylko ze względu na kasę, a tymczasem musiał przyznać, że ma przed sobą poważnego i konkretnego gościa. Który na dodatek miał odwagę stanąć z nim twarzą w twarz. I to... w obronie Marzeny i Sylwii.

To zabolalo bardziej niż uderzenie. Zabolaly też wypowiedziane przez niego słowa. Tak bardzo, że Zadra opuścił ramiona i zwiesił głowę.

Jego przeciwnik zrozumiał, że wygrał, ale zachował się z klasą, nie starał się kopać leżącego. Nie powiedział już nic, zebrał swoje reklamówki i wszedł na podwórze.

Grzegorz oparł się o ogrodzenie i stał tak przez dłuższą chwilę.



– Smacznego!

Katia z uśmiechem podawała kolejnej osobie miseczkę z zupą. Chociaż od kilku godzin wciąż robiła to samo i, prawdę mówiąc, mikołajkowa czapka nie chroniła uszu przed zimnem, to dziewczyna nie traciła humoru.

Coś, co nie wymaga wysiłku, nie daje też satysfakcji – to pojęła już dawno. Wiedziała, że wróci do domu zmarznięta i zmęczona, ale pamiętała też radość, jaka wypełniała jej serce po podobnych akcjach.

– Jeszcze trochę i kończymy – wspierała na duchu stojącą obok niej Kasię.

Dziewczyna po raz pierwszy pomagała podczas dużego przedsięwzięcia i widać było, że chwilami zmęczenie bierze u niej górę nad chęcią czynienia dobra.

– Jak ty to robisz, że nie marzniesz? – Spojrzała na Katię z zazdrością.

– Marznę – wyznała szczerze. – Ale staram się o tym nie myśleć. Albo przypominam sobie, że ja w końcu wrócę do ciepłego domu i swojego łóżka, a wielu z tych ludzi – wskazała na jedzących – nie ma takiego szczęścia.

Kasia westchnęła.

– Ja też staram się o tym pamiętać, ale to trudne, kiedy całkiem przemarznię stopy. – Spojrzała przepaszająco na starszą koleżankę.

– To może zrobisz sobie chwilę przerwy? – zaproponowała Katia. – W tej kawiarni na rogu mają darmową herbatę dla nas, wolontariuszy. Pani Bożenka się z nimi dogadała.

Kasia spojrzała niepewnie w kierunku kawiarni.

– No, idź! – zachęciła ją Katia. – Zagrzejesz się i wrócisz. A ja poradzę sobie z nalewaniem twojego barszczyku. Ludzie nie biorą przecież obu zup, tylko albo jedną, albo drugą.

– Dzięki! – Kasia popatrzyła na nią z wdzięcznością i pobiegła na herbatę.

Katia odprowadziła ją wzrokiem i uśmiechnęła się lekko. Sama na początku często miewała kryzysy – kiedy nie potrafiła zrozumieć, że trzeba pomagać tym, którzy krzywdzili swoje rodziny, albo gdy za Tęczowy Most odszedł pies, którym opiekowała się jako pierwszym. Płakała wtedy trzy noce, nie mogła się pogodzić z faktem, że nie zdążył znaleźć domu.

Z czasem wiele zrozumiała i trochę się uodporniła na trudne sytuacje. Oczywiście nadal je przeżywała, ale już nie tak bardzo intensywnie. I nie chciała z powodu tych emocji rzucać tego, do czego się zobowiązała.

Kasia też się tego nauczy – stwierdziła. Albo szybko odejdzie. Innego wyjścia nie ma.

– Kto to jest wolontariusz? – usłyszała nieoczekiwanie za plecami.

Odwróciła się i zobaczyła małego chłopca w czapce z dużym niebieskim pomponem. Stał obok choinki, którą dostała, i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Wolontariusz to taki ktoś, kto pomaga i nie chce za to żadnego wynagrodzenia – wyjaśniła. – Można pomagać ludziom, zwierzętom, a nawet przyrodzie.

Mały pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

– A ty jesteś wolontariuszką od ludzi, tak?

Roześmiała się z tego zabawnego określenia.

– Można tak powiedzieć – przyznała. – Ale pomagam też zwierzętom.

– Jakim?

– Najczęściej psom. Wyprowadzam je na spacer, głaszczę, karmię – tłumaczyła spokojnie.

– Ja chciałbym mieć psa, ale mama mówi, że nie mamy na to warunków – zwierzył się chłopiec. – I mówi, że pies to odpowiedzialność.

– Masz mądrą mamę – oświadczyła Katia. – A gdzie ona teraz jest?

Rozejrzała się dookoła, szukając kobiety, która mogłaby być rodzicem chłopca.

– Mama pojechała z klientem – odpowiedział.

Z klientem? – Katia spojrzała czujnie. *Czyżby zaniedbane dziecko? Nie wygląda na takie, ale kto wie...*

– A kim jest twoja mama? – zapytała z uśmiechem, żeby nie spłoszyć malucha.

– Mama kieruje taksówką – odpowiedział z dumą.

Katia poczuła, że kamień spadł jej z serca.

– No... to świetnie! Ale skoro mama pojechała daleko, to co ty robisz tutaj?

– Przyszedłem z dziadkiem kupić choinkę, żeby uratować święta.

– O, to poważna sprawa! Gdzie w takim razie jest dziadek?

Odwróciła się na chwilę, żeby wydać zupę następnej osobie.

– No, kolego?! Gdzie dziadek?

– Nie wiem. – Chłopiec spuścił wzrok.

Katia odłożyła łyżkę i podeszła do niego. Kucnęła i spojrzała mu w oczy.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Janek.

– Naprawdę przyszedłeś tu z dziadkiem? Na pewno nie sam?

– Nie kłamię! – zapewnił. – Szczur nasikał do choinki i ona strasznie śmierdziała. Dziadek powiedział, że kupimy nową, a mama będzie się uśmiechać. Tylko najpierw pojechaliśmy na cmentarz, bo chciałem porozmawiać z tatą, i przez to nie było już choinek.

Zmarszczyła brwi, bo nie do końca rozumiała wszystko z tej dziecięcej relacji.

– Skoro tak, to dlaczego nie jesteś z dziadkiem?

– Bo uciekłem – otwarcie wyznał dzieciak. – On powiedział, że to moja wina. A bez choinki nie będzie nowych świąt. Musiałem znaleźć choinkę, żeby to naprawić. I znalazłem. – Popatrzył na drzewko Katii.

Dziewczyna miała już pewne w rozeznaniu sytuacji. Bez wnikania w szczegóły zrozumiała, co trzeba zrobić.

– Słuchaj, chłopaku. – Poklepała Janka po ramieniu. – Dziadek na pewno cię szuka i bardzo się martwi. Nie domyślasz się, gdzie może być?

– Dziadek najczęściej śpi albo rozmyśla. Może pojechał do domu?

Nie sądzę – stwierdziła Katia.

– Dobrze, w takim razie zrobimy tak. Teraz usiądziesz tutaj – wskazała na taborecik obok jej stanowiska – i poczekaasz, aż skończę wydawanie. A potem pójdziemy poszukać dziadka. Zresztą może on wcześniej znajdzie nas tutaj.

– A to twoja choinka?

– Moja – potwierdziła.

– W takim razie będę tu siedział – zdecydował i zajął wskazane miejsce.

Katia naląła zalewajki do miseczki, którą razem z plastikową łyżką podała Jankowi.

– Masz, zjedz, na pewno jesteś głodny i zmarznięty.

Bez marudzenia przyjął posiłek. Wydając kolejne porcje, obserwowała ukradkiem, jak zajada z apetytem.

Co to za dziwna historia – pomyślała. Ratowanie świąt, szczur w choince i rozmowy z ojcem na cmentarzu. Albo chłopak ma fantazję, albo to naprawdę jakaś dziwna rodzina. Tak czy inaczej, trzeba go odstawić do domu albo na komendę.

Janek przyglądał się nowej znajomej i po namyśle uznał, że jest fajna. Uśmiechała się, pomagała psom i przede wszystkim miała choinkę. A to przecież było najważniejsze.

Ale się dziadek zdziwi, jak mu powiem, że wykonałem misję – pomyślał z radością.



Zawadzki był bardzo zdenerwowany. Nic dziwnego, w końcu zgubił wnuczka.

Co ze mnie za dziadek! – karcił się w myślach. Jak ja mogłem mu powiedzieć takie rzeczy?! Dzieciak się przejął...

Mężczyzna szybkim krokiem przemierzał kolejne uliczki w centrum miasta. Rozglądał się uważnie, zaglądał do każdej otwartej bramy.

Gdzie on się podział? Przecież nie zapadł się pod ziemię!

– Jasiek! – nawoływał. – Jasiek! Wyjdź, musimy wracać do domu!

Bez skutku. Nigdzie ani śladu chłopca.

Uliczki powoli pustoszały, przechodniów o tej porze już prawie nie było, ale zatrzymywał każdą napotkaną osobę.

– Nie widziała pani małego chłopca w niebieskiej kurtce?

– Niestety nie.

– Zauważył pan może sześciolatek w czapce z dużym pomponem?

– Daj pan spokój, ja się spieszę. – Przechodzień machnął ręką.

– Ale może pan widział? – nie odpuszczał Karol.

– Jak panu dzieciak zginął, to idź pan na policję – poradził nieznajomy. – Oni są od szukania.

W końcu tak będę musiał zrobić – pomyślał Zawadzki. Ale to ostateczność. Mila mnie zabije, kiedy się dowie. I będzie miała rację.

Dręczyły go wyrzuty sumienia. Czuł, że znowu zawiódł najbliższych, że nie stanął na wysokości zadania.

Chciałem dobrze – próbował się usprawiedliwić, ale wiedział, że to niczego nie zmienia.

W końcu szybki marsz okazał się zbyt wyczerpujący. Karol poczuł kłucie w okolicach serca.

Jeszcze tego brakuje, żebym dostał zawału – wystraszył się nie na żarty. Ja tu umrę na jakimś zaniedbanym podwórku, a z Jankiem nie wiadomo co się stanie.

Ta wizja sprawiła, że ból się nasilił.

Zawadzki oparł się plecami o ścianę kamienicy i przyłożył zmarzniętą dłoń do czoła.

Marysiu – wezwał w myślach zmarłą żonę. Marysiu, pomóż mi! Wiesz, że za tobą tęsknię i chętnie bym do ciebie poszedł, ale nie w tej chwili. Muszę odnaleźć Jasia, muszę!

Przymknął oczy i starał się oddychać spokojnie.

Nie powinienem był z nim wychodzić – robił sobie wyrzuty. Ale chciałem dobrze. Wiesz o tym, Marysiu, prawda?

– Czy pan się źle czuje? – Usłyszał jakiś głos.

Podniósł powieki i zobaczył stojącego przed nim mikołaja.

Umarłem czy jeszcze nie? – przyszło mu do głowy.

– Słyszysz mnie pan? – Mikołaj był wyraźnie zaniepokojony. – Może wezwać pogotowie?

A więc nie umarłem – uznał Zawadzki. *W niebie raczej nie ma ambulansów.*

Zobaczył, że Mikołaj wyjmuje z kieszeni telefon.

– Nie, nie – zaprotestował.

– Uff... – odetchnął tamten z ulgą. – Bo już się przestraszyłem.

Karol powoli oderwał plecy od ściany.

– Przez chwilę gorzej się poczułem – wyjaśnił powoli. – Ale już jest lepiej.

– Może jednak powinien pana zobaczyć lekarz?

Starszy mężczyzna dostrzegł nad sztuczną brodą i wąsami oczy młodego chłopaka. A w nich niepokój i troskę.

– Zaraz dojdę do siebie – zapewnił.

Chłopak nie wyglądał na przekonanego.

On naprawdę jest gotów wezwać pogotowie – stwierdził Karol. A jeśli mnie zabiorą, to nie znajdę Janka. Nie mogę do tego dopuścić.

– Może pomożesz mi dojść do jakiejś kawiarni? – wymyślił na poczekaniu. – Usiądę na chwilę, napiję się wody i pojadę do domu.

– Nie wiem, czy w Wigilię o tej porze coś będzie jeszcze otwarte – zastanowił się mikołaj. – Ale możemy spróbować przy rynku.

Tam nie ma sensu iść – pomyślał Karol. Przecież tam mi uciekł, więc nie może być na placu.

Jednak nie miał wyjścia, musiał iść z chłopakiem.

Pozwolił wziąć się pod ramię i bardzo powoli ruszył przed siebie. Miał nadzieję, że chłopak szybko znudzi się takim tempem.

Nie pomylił się. Po kilku minutach tej ślimaczej wędrówki mikołaj zaczął nerwowo się rozglądać.

– Widzę, że się spieszysz – zauważył Karol.

– Właściwie to trochę tak – przyznał chłopak. – Mam na dziś jeszcze dwa zlecenia. W sensie, że będę dawał dzieciakom prezenty.

– A ja myślałem, że w Wigilię podarunki przynosi Gwiazdka.

– Różnie bywa. U jednych Gwiazdka, a u innych Mikołaj. Dawniej to podobno zależało od regionu, ale teraz ludzie ciągle się przeprowadzają i wszystko się pomieszało.

– Widzę, że jesteś dobrze zorientowany.

– Muszę – uśmiechnął się mikołaj. – W końcu tu chodzi o moją pracę, chcę być profesjonalistą – zażartował.

Karol poczuł, że polubił tego chłopaka.

Szkoda, że muszę go tak oszukiwać – przyszło mu do głowy. *On się mną przejmuję, może zaważyć pracę, a ja udaję, żeby się go pozbyć.*

Tak naprawdę już czuł się dobrze. Klucie ustąpiło i z powodzeniem mógł dalej iść sam. Tym bardziej że i jemu zależało na czasie.

– Posłuchaj, ze mną już w porządku. – Postanowił dłużej nie oszukiwać młodego mikołaja. – Przez chwilę miałem problem, bo jestem zdenerwowany. Bo widzisz, zginął mi wnuczek...

Chłopak zatrzymał się i spojrzał uważnie na Karola.

– Jak to: zginął?

– Tak dokładnie to uciekł. Jak to dzieciak, chwila i już go nie było. – Nie potrafił się przyznać, że sam był powodem tej ucieczki.

– To niefajnie – stwierdził mikołaj. – Ile ma lat?

– Sześć.

– Słabo. – Pokręcił głową. – Ciemno już, pewnie się boi.

– Pewnie tak. I dlatego muszę go jak najszybciej odnaleźć. Dlatego nie będę cię dłużej zatrzymywał. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Normalne – odparł chłopak. – A jak wygląda ten pana wnuczek? Bo ja będę chodził w okolicy, to popatrzę. Mogę też pytać – po raz drugi zaoferował Karolowi pomoc.

– Byłbym wdzięczny. Janek ma niebieską kurtkę i czapkę z pomponem w tym samym kolorze.

– OK. To niech mi pan jeszcze da swój numer, w razie czego zadzwonię.

Bardzo rozsądnie – uznał Zawadzki i podyktował mikołajowi co trzeba.

– Jeszcze raz ci dziękuję. – Wyciągnął do chłopaka rękę, którą tamten uścisnął. – Dobry z ciebie człowiek.

– Zaraz tam dobry – uśmiechnął się mikołaj. – Po prostu człowiek.

– I mądry – dodał mężczyzna.

– Powodzenia! – pożegnał go nowy znajomy. – Jakby co, jesteśmy w kontakcie!

I odbiegł, przytrzymując ręką sztuczną brodę.



Jedyne o czym marzyła, to jak najszybciej znaleźć się w swoim mieszkaniu.

Nakryję się kołdrą i nie wyjdę przez kilka dni – obiecywała sobie. Nie chcę nikogo widzieć, o niczym słyszeć.

Przyszło jej nawet do głowy, żeby sprzedać firmę i wyjechać na koniec świata.

W tylu krajach można kupić dom za grosze – rozważała. Tu i tak nic mnie nie trzyma poza pracą. Ale firma jest tyle warta, że będę mogła z tego żyć spokojnie do śmierci.

Nie mogła sobie wyobrazić, że zostanie w tym samym mieście, w którym mieszka ten, na którym tak się zawiodła.

Mogłabym spotkać go przypadkiem i co wtedy? Przecież ja nie chcę go już nigdy oglądać, musi zniknąć z mojego życia wszelki po nim ślad! – Tego Jowita była pewna.

Nadal nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś mógł się tak zachować. I żeby to jeszcze obcy człowiek. Ale mężczyzna, który tak wiele razy mówił o swoim uczuciu, zapewniał, że jest dla niego najważniejsza, że nie potrafi bez niej żyć. I co?

Kłamał do ostatniej chwili – stwierdziła ze smutkiem. Wygląda na to, że nie miał odwagi nawet powiedzieć mi prosto w oczy, że zmienił zdanie. Słuchał, jak gdyby nigdy nic, o moich planach, pozwolił zarezerwować pensjonat i ani słowem nie protestował, gdy mówiłam o wspólnych planach na dalsze życie.

Powinna była postępować rozważniej. Poczekać, aż wyprowadzi się od żony, i dopiero wtedy organizować wyjazdy i snuć plany.

Zakochałam się jak nastolatka. – Pociągnęła nosem. *Gotowa byłam dać mu wszystko, zaufałam w pełni...*

Jadąc, wciąż na nowo roztrząsała swoje rozczarowanie. Serce jej pękło na milion kawałków, a już raz długo je sklejała. Czy uda jej się po raz ko-

lejny?

Tu, w aucie, gdzie nikt jej nie widział, mogła dać upust żalowi. Znowu pozwoliła płynąć łzom i tylko od czasu do czasu wierzchem dłoni ocierała mokre policzki.

Tak, wyjadę jak najdalej i zapomnę o wszystkim – obiecywała sobie w myślach. Mam dość! I nigdy więcej nie zaufam już żadnemu mężczyźnie. Wszyscy są tacy sami – gnojki i tchórze!

Ciekawe, czy jego małżeństwo rzeczywiście było fikcją – pomyślała ze złością. Wygląda na to, że w tej sprawie też kłamał, skoro nie zdecydował się odejść. A co powiedziałaaby jego żona, gdyby dowiedziała się o mnie?

Nikt nie podzielił się z Jowitą poradą dotyczącą zachowania porzuconych kochanek. Gdyby tak było, wiedziałaby, że pisanie do żony nie jest dobrym pomysłem. Niczego nie zmieni, a tylko jeszcze bardziej ośmieszy kochankę.

Cóż, tej wiedzy Jowicie zabrakło. Zresztą gdyby nawet ją miała, to była w takim stanie, że nie potrafiła myśleć racjonalnie i czekać, żeby smakować zemstę na zimno.

Czuła się zdradzona, porzucona, oszukana i upokorzona. Jej serce i myśli wypełniała mieszanka smutku i złości. Czuła chęć odegrania się za swoje złamane serce.

Już ja ci pokażę, gnojku – pomyślała, sięgając do torebki leżącej na siedzeniu obok. Zaraz będziesz trząśł portkami ze strachu.

Wyjęła telefon i jedną ręką zaczęła pisać wiadomość.

Twoja żona na pewno będzie zainteresowana tym, co mam jej do powiedzenia.

Tyle wystarczy – uznała. Teraz nie będzie znał dnia ani godziny.

Pozostawało jeszcze tylko kliknąć niebieską strzałkę.

Nie zdążyła.

Samochód gwałtownie skręcił i zjechał na przeciwległy pas.

Telefon wypadł jej z ręki. Chwyliła kierownicę i zaczęła kręcić nią w drugą stronę, żeby wrócić na prawidłowy tor jazdy. Jednak auto na śliskiej nawierzchni nie chciało jej słuchać.

Odruchowo nacisnęła hamulec i to był największy błąd. Samochód obrócił się wokół własnej osi i zaczął jechać w stronę barierki.

Zabiję się! – przemknęło Jowicie przez myśl. Zamknęła oczy.

Poczuła uderzenie, poduszka powietrzna się otworzyła, a głowa kobiety wylądowała na białym balonie.

A potem nastąpiła cisza.

Jowita bała się poruszyć. Siedziała nieruchomo przez chwilę, aż wreszcie ostrożnie podniosła powieki.

Poruszyła ręką, potem drugą, delikatnie się wyprostowała. Wyglądało na to, że nic jej nie jest.

Głośno wypuściła powietrze z płuc. Uniosła się na siedzeniu i wyrzuciła przez przednią szybę, ponad poduszką.

Auto wbiło się w zaspę powstałą z odgarniętego z jezdni śniegu i to ono uratowało ją przed uderzeniem w barierkę.

Chyba nie jest źle – stwierdziła.

Wysiadła i obejrzała samochód. Miał uszkodzony przedni błotnik, ale poza tym wyglądał dobrze.

Jowita powoli odzyskiwała równowagę.

Co za szczęście, że nikt nie jechał z przeciwnej strony – pomyślała. *Byłaby niezła kraksa.*

Poczuła w ustach metaliczny smak i dotknęła dłonią ust. Nawet w świetle reflektorów zobaczyła, że ma na ręku krew. Musiała skaleczyć zębami wargę.

To nic – pocieszyła się. *Zagoi się. Najważniejsze, że żyję.*

Poślizg i dramatyczna walka na drodze sprawiły, że Jowita zrozumiała, jak bardzo dała się ponieść emocjom.

Przez tego gnojka o mało się nie zabiłam – pomyślała ze złością. *To chyba za wielka ofiara, nie zasłużył na to.*

Tak, Jowita nawet w najtrudniejszych chwilach potrafiła się pozbierać. I choć czuła, że serce jej nadal krwawi, racjonalna strona jej natury podpo-

wiała, że w tym momencie musi zatroszczyć się o siebie.

Powinnam ustawić trójkąt ostrzegawczy – przypomniała sobie wszystko, co słyszała od kierowców w firmie, gdy opowiadali o stłuczkach i awariach. A potem zadzwonię po pomoc drogową.

Odszukała w bagażniku trójkąt i poszła wzdłuż drogi. Ustawiła znak, wróciła i zaczęła poszukiwania telefonu. Był głęboko pod siedzeniem, na szczęście cały.

I nawet jest tu zasięg – ucieszyła się. Skoro tak, to zaraz wszystko ogarnę.

Miała wykupiony największy pakiet ubezpieczeniowy i zamierzała z niego skorzystać. *Assistance* obejmowało pomoc o każdej porze i w każdej odległości od miejsca zamieszkania, więc nie przewidywała problemów.

Ktoś przyjedzie, zabierze auto i odwiezie mnie do domu – zakładała bardzo optymistycznie. Trudno, będę trochę później, niż myślałam, ale trzeba się cieszyć, że tylko tak się skończyło.

Oblizwała wciąż krwawiącą wargę i zaczęła szukać numeru ubezpieczyciela.

Dobrze, że nie zdążyłam wysłać tego SMS-a – przemknęło jej przez głowę. Lepiej niech myśli, że nic mnie to nie obeszło.



Zadra szedł wzdłuż drogi, ale właściwie nie wiedział dokąd i po co. Rozmowa z nowym partnerem żony sprawiła, że coś się w nim załamało.

Szedł, bo nie chciał dłużej stać pod domem teściów. Szedł, bo nic innego nie przyszło mu na myśl. Kiedy i gdzie dojdzie? Nad tym się nie zastanawiał.

W ogóle o niczym nie myślał. Miał pustkę w głowie, jakby jakaś siła wymiotła wszystkie emocje. Czuł się jak bezwolna kukła, niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

Minął ostatnie zabudowania, ale w ogóle tego nie zauważył. Brnął poboczem przez rozjeżdżony śnieg i nawet nie czuł, że buty całkiem przemokły.

Było mu to zupełnie obojętne.

W pewnej chwili w nocnej ciszy usłyszał szum. Przystanął i wsłuchał się w ten dźwięk.

Rzeka – pomyślał.

Podszedł do metalowych barierek ustawionych po obu stronach drogi, przeszedł przez nie i spojrzał na pokryte śniegiem pole. Przecinało je szerokie koryto rzeki płynącej równoległe do ulicy.

Nie miał pojęcia, co to za rzeka, ale płynęła wartko mimo panującego mrozu. Koryto było głębokie, a toń wody ciemna, zupełnie jak nocne niebo.

Zadra miał wrażenie, że coś go wabi, zachęca do podejścia bliżej...

Właściwie dlaczego nie? – pomyślał. Czy to nie byłoby najlepsze rozwiązanie dla wszystkich? Marzenka miałaby mnie z głowy, mogłaby powiedzieć Sylwuni, że tata miał nieszczęśliwy wypadek. Żadnych dramatów w sądzie, żadnych wizyt dawnego tatusia.

Zrobił kilka kroków i stanął nad samym brzegiem. Woda szumiała, a Grzegorzowi szumiało w głowie.

I tak nie mam po co się dalej szarpać – stwierdził bez emocji. Nikt po mnie nie zapłacze, nikomu nie zrobię krzywdy...

Wpatrywał się w czarną głębię, a ta coraz usilniej go wzywała.



Mila jechała ostrożnie, ale jednocześnie tak szybko, jak mogła. Powrót oznaczał kolejne pół godziny za kierownicą i trzydzieści minut późniejszy powrót do domu. Nie cieszyło jej to wcale, ale cóż mogła zrobić?

Czuła, że lalka jest ważna dla mężczyzny i że powinna jak najszybciej mu ją oddać. Myślała też o dziecku, które miało ją otrzymać.

To droga zabawka, więc pewnie była wymarzonym podarunkiem – domyślała się kobieta. Mam przecież dziecko i wiem, jak to wygląda.

Zerknęła na zegarek.

Za niecałe dziesięć minut będę na miejscu – stwierdziła. Oddam lalkę i od razu wracam. Żadnych herbatek czy poczęstunku.

Przewidywała, że będą chcieli jej podziękować za fatygę, chociaż sądząc po zachowaniu mężczyzny, mogło być różnie. Jednak na wszelki wypadek postanowiła się przygotować psychicznie na stanowczą odmowę. Nie mogła sobie pozwolić na jeszcze większe opóźnienie.

Oczywiście wyobraźnia podsuwała jej obraz tej sceny. Na progu wita ją matka lekarza, Mila mówi, w czym rzecz, a kobieta nie kryje radości. Woła syna, razem z nim przychodzi jego piękna, delikatna i elegancka żona. A z tyłu, nieco onieśmielona, stoi dziewczynka z warkoczykami. Wszyscy jej dziękują, zapraszają do środka. Z przedpokoju widać wnętrze salonu urządzonego antykami i piękną choinkę. A, i oczywiście stół nakryty białym obrusem. Mila jednak jest stanowcza. Odmawia gościny, mówi, że synek na nią czeka. Wtedy matka lekarza pakuje duży kawałek makowca i daje go Mili, dla Jasia.

– Miło byłoby, gdyby pan doktor wsunął mi do kieszeni jeszcze jedną stówkę – powiedziała do siebie. – Ale to już byłoby mniej romantyczne, a bardziej pospolite. Za to praktyczne – dodała po namyśle.

Lubiła te swoje wyobrażone historie, ale musiała skoncentrować się na prowadzeniu auta. Z lekkim żalem opuściła więc rodzinny dom lekarza i wróciła na nocną trasę.

W samą porę, bo właśnie wtedy zobaczyła postać stojącą w niewielkiej odległości od pobocza. Ktoś zatrzymał się nad brzegiem rzeki i stał nieruchomo, wpatrując się w wodę.

W Wigilię? Nocą? W taki mróz?

Wyobraźnia Mili od razu podsunęła jej powód.

To na pewno samobójca – przeraziła się. Nie może być inaczej!

Wiedziała, że nie powinna się zatrzymywać, że nie ma czasu, ale jak miała zostawić tego człowieka?

A jeśli jutro przeczytam, że naprawdę się zabił? Do końca życia sobie nie wybaczę! – Tego była pewna.

Zahamowała, zerknęła w tylne lusterko i zawróciła, pomimo dwóch ciągłych linii.

Trudno, to stan wyższej konieczności – uznała.

Zatrzymała auto tuż przy miejscu, gdzie w oddali stał mężczyzna, włączyła światła awaryjne i pobiegła w jego kierunku.

Bez namysłu złapała go za ramię. Odwrócił się, zaskoczony.

– To pan? – Mila nie mogła uwierzyć.

– Co pani tu robi? – Zadra popatrzył na nią, a spojrzenie miał puste.

Teraz kobieta wystraszyła się naprawdę, bo zrozumiała, że jej fantazja tym razem pokrywa się z rzeczywistością.

– Co pan chce zrobić?! – krzyknęła.

– Nie pani sprawa. Niech mnie pani zostawi. – Szarpnął ramieniem i zrobił krok do przodu.

Teraz stał już na samej krawędzi rzecznej koryta.

Zaraz spadnie – przeraziła się Mila.

– Przywiozłam panu lalkę. – Pomyślała, że w ten sposób odwróci jego uwagę od samobójczego zamiaru.

– Już nie jest mi potrzebna. – Zadra się skrzywił. – Niech się pani stąd wynosi.

– Mowy nie ma! Nie pozwolę panu tego zrobić.

– Tak? A niby jak mnie pani zatrzyma? – roześmiał się głucho. – Spierdaj stąd, kobieto! Nie mieszaj się w nie swoje sprawy!

Nie zwróciła uwagi na jego chamstwo. Teraz co innego było ważne.

Niewiele myśląc, chwyciła go w pasie i mocno zacisnęła ręce.

– Co ty wyprawiasz, wariatko! – zdenerwował się mężczyzna.

– Jeśli skoczysz, to tylko razem ze mną.

– Jesteś nienormalna! – wrzasnął, ale odruchowo zrobił dwa kroki w tył.

Mila dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak ryzykownie się zachowała. A gdyby naprawdę skoczył?

– Możesz mnie puścić, głupia babo? – syknął Zadra.

- Nie. Dopiero kiedy dojdziemy do samochodu.
- Nigdzie się nie wybieram.
- Właśnie że tak – upierała się Mila. – Nie możesz tu zostać. Nawet jeśli się nie utopisz, to zamarzniesz.
- A co ciebie to obchodzi?
- Mnie nic. Ale tę dziewczynkę na pewno, bardzo.
- Jaką dziewczynkę? – spytał, a ona poczuła, że napinają mu się mięśnie.
- O czym ty mówisz?
- Tę, dla której jest ta lalka, która leży na tylnym siedzeniu – odparła nieco pewniej, bo czuła, że trafiła. – Ona na pewno chciałaby, żebyś jej ją dał.
- Nie masz pojęcia, o czym mówisz...
- To możesz mi wyjaśnić w drodze. – Uznała, że pora na szybkie działanie. – Spieszę się. Syn na mnie czeka. No, ruszaj się, idziemy do auta!



Katia raz po raz zerknęła na malucha. Ten jednak siedział grzecznie tam, gdzie mu kazała, i nie spuszczał oka z choinki.

- Chcesz jeszcze zupy? – zapytała.
- Pokręcił przecząco głową.
- Nie zimno ci?
- Mam getry pod spodniami – poinformował ją. – Takie termioaktywne.
- Termoaktywne – poprawiła.
- No tak – potwierdził. – To trudne słowo, nie mogę zapamiętać.
- Nic nie szkodzi, w końcu zapamiętasz.
- Mama też tak mówi. – Skinął głową. – Kupiła mi je, żeby nie marzł, kiedy idziemy na spacer.
- Troszczy się o ciebie – zauważyła Katia.

– Tak. Odkąd nie ma taty i babci, mama ma tylko mnie – powiedział z powagą. – Jest jeszcze dziadek, ale on jest smutny, bo tęskni za babcią. Tak mówi mama.

Z opowieści chłopca Katia powoli budowała niezbyt optymistyczny obraz jego rodziny.

Tam musiała się wydarzyć jakaś tragedia – doszła do wniosku. Biedny Jasiu, chyba nie wszystko jeszcze rozumie, ale na pewno dużo czuje. I ta jego mama – sama z dzieciakiem. Bo z tego, co słyszę, to dziadek niezbyt się nadaje na opiekuna.

Zastanawiała się tylko, dlaczego w takim razie chłopiec chodził po mieście w towarzystwie tego dziadka. Jak się okazało, zupełnie nieodpowiedzialnego.

– Kiedy skończysz ten wolontariat? – zapytał Jasiu.

– Już niedługo – obiecała. – Widzisz, przychodzi coraz mniej osób, garnki też już zaraz będą puste.

– Codziennie tu jesteś?

– Nie, skąd! – roześmiała się. – Tylko dzisiaj. To taka Wigilia dla potrzebujących, czyli dla tych, którzy z jakiegoś powodu nie mają świąt.

– O! To ty też robisz nowe święta! – ucieszył się Janek. – Takie lepsze i wesołe?

– Można tak to ująć. – Katia pokiwała głową.

– To fajne. Ale chyba bardzo trudne – zastanowił się chłopiec.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo my z dziadkiem chcemy zrobić nowe święta tylko dla nas, a i tak nam nie wyszło. – Popatrzył na ludzi siedzących przy stołach. – Ty robisz dla tylu osób... Masz jakieś supermoce?

Dziewczyna nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Pytasz, czy jestem superbohaterką? Nie, nic z tych rzeczy! Zobacz, ilu jest tu pomocników. – Wskazała na pozostałych wolontariuszy. – Jak wielu ludzi chce, to potrafią zrobić wszystko. Ale jakby się tak dobrze zastanowić, to rzeczywiście mamy pewną supermoc.

– Jaką? – zainteresował się Janek.

– Dobre serca – odpowiedziała całkiem poważnie.

– Ja też mam dobre serce. – Mały aż podskoczył na taboreciku.

– W takim razie jestem pewna, że uda ci się ta twoja misja. A teraz daj mi jeszcze pół godziny i pójdziemy szukać twojego dziadka. Na pewno nie chcesz już zupy?

– Na pewno.

Musiała przyznać, że dzieciak jest wyjątkowo grzeczny i bardzo rezydentny. Może trochę zbyt poważny jak na swój wiek, ale Katia domyślała się, że to z powodu sytuacji w domu.

W trudnych chwilach dzieci szybko dojrzewają – pomyślała. Nie każdy ma takie szczęście jak ja, że może sobie swawolić aż do matury.

Powoli kończyła pracę. Ostatnie miski zupy powędrowały do rąk potrzebujących. Pozostało już tylko złożyć cały majdan i wpakować do samochodów.

Katia wytarła wnętrze wielkiego garnka papierowymi ręcznikami. Na mycie przyjdzie czas później, na rynku nie było do tego warunków.

– Widzę, że zdążyłem w samą porę.

Przywitała uśmiechem Krzyśka, który właśnie podszedł do jej stanowiska.

– A ty co? Saniami podjechałeś? – zażartowała, nawiązując do jego stroju.

Chłopak szybkim ruchem ściągnął sztuczną brodę i schował ją do kieszeni czerwonych spodni.

– Nie musisz się nabijać. – Popatrzył z wyrzutem. – Dorabiam sobie. Chcę jechać latem na obóz wspinaczkowy do Hiszpanii, a to nie są tanie sprawy. Starych nie stać. – Rozłożył ręce.

– Spoko, nic nie mówię przecież. – Poklepała go po ramieniu. – Żadna praca nie hańbi.

– To co mam pierwsze przynieść? – zapytał.

– Może idź do pani Bożenki, niech ona powie – zaproponowała Katia. – A, słuchaj, Krzysiu, poradzisz sobie sam z tym moim stanowiskiem? Bo muszę już uciekać...

– Randka w wigilijny wieczór? – Mrugnął porozumiewawczo.

– Żadna randka. Muszę znaleźć dziadka.

– Swojego? – zdziwił się chłopak.

– Nie. Dziadka tego kawalera. – Wskazała na Janka, który z zaciekawieniem przyglądał się mikołajowi.

– Cześć! – przywitał go Krzysiek.

– Pan nie jest prawdziwym Mikołajem, prawda?

– Prawda. Ja tylko trochę mu pomagam, żeby prezenty dotarły do dzieci na czas. Ale nie mów nikomu, bo to tajemnica.

– Nie powiem – obiecał.

Krzysiek spojrzał na Katię.

– Skąd on się tu wziął?

– Bo ja wiem. – Wzruszyła ramionami. – Mówi, że był z dziadkiem, ale mu uciekł. Przecież nie zostawię dzieciaka, muszę go dostarczyć do rodziny, prawda? Pewnie już od zmysłów odchodzą.

– Uciekł dziadkowi, mówisz? – Krzysiek podrapał się po czole i przyjrzał się uważniej chłopcu. – Niebieska kurtka, duży pompon... To by się nawet zgadzało...

– O czym ty mówisz?

– Spotkałem ze dwie godziny temu starszego faceta, który szukał wnuczka. Też twierdził, że mu uciekł. Opis się zgadza.

Podszedł do małego i pochylił się nad nim.

– Jak ty masz, chłopaku, na imię?

– Janek.

– To jesteśmy w domu – ucieszył się Krzysiek. – To ten!

– Świetnie! To jeszcze mi powiedz, gdzie widziałeś tego pana? – poprosiła Katia. – Musimy go jakoś namierzyć.

– Z tym akurat nie będzie problemu. Mam jego numer – uśmiechnął się chłopak. – Tadam! Mikołaj zawsze przynosi wymarzone prezenty, prawda?!



Jowita ciągnęła walizkę poboczem, idąc w swoich czarnych skórzanych kozakach na szpilce, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę padający śnieg i, o czym już miała okazję się przekonać, śliską nawierzchnię.

Jak do tego doszło? Miało być przecież szybko i prosto.

Życie jednak, jak zwykle, pisało scenariusze odmienne od ludzkich oczekiwań.

Sprawa zaczęła się komplikować już na etapie telefonu do ubezpieczyciela. Dyżurująca przy telefonie dziewczyna pełnym żalu głosem poinformowała, że niestety nie mają w tej okolicy umowy z żadną firmą świadczącą usługi pomocy drogowej.

– Pani chyba żartuje! – oburzyła się Jowita. – Płacę wam kupę kasy co roku, a kiedy potrzebuję skorzystać z ubezpieczenia, to pani mi mówi coś takiego?

– Przykro mi. – Zabrzmiała tak, jakby rzeczywiście to czuła, ale Jowita знаła te marketingowe sztuczki.

– Nic mi z pani współczucia nie przyjdzie – odparła twardo. – Lepiej niech mi pani powie, co mam w takiej sytuacji zrobić? Bo jeśli zostawicie mnie z rozbitym samochodem w zimową noc na środku drogi, to zapewniam, że spotkamy się w sądzie.

– Może pani wezwać jakąś miejscową pomoc, wziąć fakturę, a my potem zwrócimy wszystko w ramach ubezpieczenia – zaproponowała dziewczyna z infolinii.

– Cóż, niech i tak będzie. – Jowita wiedziała, że nie ma sensu się kłócić. – Ale fakturę wezmę na was, nie mam zamiaru czekać, aż zwrócicie środki na moje konto.

– Taka możliwość też istnieje – potwierdziła dziewczyna.

To dlaczego od razu o niej nie mówisz – pomyślała Jowita.

Wsiadła do auta i zaczęła przeszukiwać sieć, żeby znaleźć namiary na jakąś lawetę. Z tym problemu nie było, za to telefonów nikt nie odbierał.

Jowita nie należała do tych, którzy łatwo się poddają, ale powoli zaczynała tracić nadzieję, więc kiedy wreszcie usłyszała w słuchawce męski głos, aż podskoczyła z radości.

– Pani kochana! Jest Wigilia! – Niestety mężczyzna nie był zbyt pozytywnie nastawiony do jej prośby. – Gdzie mi się chce teraz lawetę wyciągać ijechać na ten mróz...

Uznała, że pora na strategię „biedna, bezradna kobietka”.

– Nie może mnie pan tu zostawić – zaćwierkała do telefonu. – Przecież zamarznię do rana. Co ja mam zrobić? Sama jestem, boję się, tak ciemno dookoła...

Mężczyzna westchnął, stęknął, ale w końcu zgodził się przyjechać.

Czekała na niego prawie godzinę.

– A obiecywał pan, że będzie za trzydzieści minut – przywitała go wyrzutem.

– Zebrać się musiałem – mruknął. – Myśli pani, że żona zadowolona, jak mąż od stołu w Wigilię wstaje?

– Przecież to pana praca – przypomniała.

– Tradycyjnie to się w święta nie pracuje – pouczył ją mężczyzna i podciągnął opadające spodnie. – I niech się pani cieszy, że jeszcze nic nie wypilem, boby tu pani stała do dwudziestego szóstego grudnia.

Jowita podziękowała losowi w myślach za tę drobną łaskę.

– To teraz zrobimy tak – powiedziała pewnym siebie tonem – samochód na lawetę, ja z walizką do szoferki i odwiezie mnie pan do domu, a auto do autoryzowanego salonu.

Mężczyzna łypnął na nią spod oka, jakby sprawdzając, czy ma do czynienia z wariatką czy też Jowita po prostu nie wie, co mówi.

– Pani kochana, ja to szefa nie potrzebuję – wyjaśnił. – Sam decyduję, co mam robić. Rozumiemy się? Jak mi się zachce, to zaraz wsiądę do auta i do domu wrócę.

Owszem, Jowita od razu wyczuła, że stąpa po kruchym lodzie, więc nieco złagodniała.

– Co w takim razie pan proponuje?

– Proponuję to, że zapakuję samochód na lawetę i postoi u mnie dwa dni. W salonach i tak nie pracują, więc odwiozę im go po świętach.

– Niech tak będzie – zgodziła się.

Poczekala, aż mężczyzna przypnie linę do auta i wciągnie je na lawetę, a potem wpakowała walizkę do szoferki i zajęła miejsce obok kierowcy.

Teraz już do domu – ucieszyła się w myślach, ale jak się okazało – przedwcześnie.

Laweta zahamowała przy stacji benzynowej.

– Pani wysiada. – Kierowca ruchem głowy wskazał na budynek.

– Jak to? – Nie kryła zaskoczenia. – Miał mnie pan zawieźć do domu.

– Ja? A kto tak powiedział?

– To chyba naturalne.

– Dla mnie naturalne jest to, że wysadzam panią na pierwszej stacji i dalej to już pani sprawa.

– Proszę pana, może porozmawiamy spokojnie – próbowała negocjować Jowita. – Dopisze pan sobie, powiedzmy, piętnaście procent do faktury. Pan będzie zadowolony, ja dojadę do domu, a płaci i tak ubezpieczyciel. Co pan na to? – uśmiechnęła się uroczo.

Mężczyzna pozostał obojętny na jej urok.

– Ani piętnaście, ani pięćdziesiąt. – Pokręcił głową. – Obiecałem żonie, że wrócę, tam na mnie czekają pierogi z grzybami. Pani wysiada! – zażądał stanowczo.

Cóż było robić, wysiadła.

Zaciągnęła walizkę do budynku stacji i od razu zamówiła kawę.

Sprzedawca zmierzył ją taksującym spojrzeniem.

– Wpadłam w poślizg i rozbiłam auto – wyjaśniła. – Niestety pomoc drogowa odmówiła odwiezienia mnie do domu.

– Pomoc drogowa to nie taksówka – zauważył sprzedawca.

– Ale mam to zapisane w umowie ubezpieczenia – odparła Jowita.

– A ja mam zapisane w umowie premie, ale jeszcze nigdy żadnej nie dostałem. – Mężczyzna zaśmiał się z własnego dowcipu. – Cóż, życie!

– Ja tam nie odpuszczę. Zajmę się tym po świętach – zapewniła go Jowita. – A na razie złapię jakąś okazję, wszystko jedno co, byle dojechać do domu.

– Okazję? W wigilijną noc? – Sprzedawca pomyślał, że trafiła mu się klientka z innego świata. – Wątpię. Może rano ktoś podjedzie po flaszkę, ale to raczej z najbliższej okolicy i głowy nie dam, że całkiem trzeźwy.

I tak oto Jowita po raz kolejny musiała skonfrontować swoje wyobrażenia z rzeczywistością. Na szczęście, co już wiadomo, nie była z tych, którzy się poddają. Wypiła szybko kawę i podjęła decyzję.

Może po drodze coś złapię – uznała. Albo dojdę do kolejnej stacji i tam łatwiej będzie o okazję.

I w ten właśnie sposób teraz starała się utrzymać równowagę na poboczu drogi. Ale z każdym krokiem była bliżej domu.

Cóż, życie – pomyślała, otulając się szczelniej futerkiem, które, choć drogie i puszyste, wcale nie było ciepłe.



Dopiero po kilku minutach jazdy Mila była w stanie spokojniej przeanalizować wydarzenia nad brzegiem rzeki.

– Naprawdę chciałeś się utopić? – rzuciła bez zastanowienia.

Pasażer milczał.

Zerknęła w tylne lusterko. Siedział tam, nieruchomy, wpatrzony w ciemność za oknem.

– Chciałeś – odpowiedziała sama na zadane pytanie.

– Gównu wiesz. Po prostu stałem i patrzyłem na wodę...

– Akurat! – Nie była tak głupia, żeby w to uwierzyć. – W środku nocy? Na śniegu, w adidasach? Błagam cię!

– A nie wolno?

– Wolno, wolno. Tylko nikt normalny tak nie robi.

– Może jestem nienormalny?

– Daj spokój! Lepiej powiedz, co się stało. Kiedy cię odwoziłam, nie wyglądałaś na samobójcę.

– A niby skąd to wiesz? – zapytał ironicznie. – Ilu samobójców już spotkałaś?

– Ty jesteś pierwszy – przyznała szczerze. – I prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nie będzie następnych.

– Wystraszyłaś się, co?

– Chyba nawet nie zdążyłam. – Próbowала przypomnieć sobie, co czuła w tamtej chwili. – Raczej bałam się o ciebie. W sensie, że o człowieka.

– Kto by pomyślał, że jesteś taka wrażliwa – nadal ironizował. – Ale kilka stówek za kurs to wzięłaś bez zastanowienia, czy człowieka na to stać.

– Ciesz się – odgryzła się Mila. – To niewysoka cena za uratowanie życia. Ktoś inny mógłby nie zawrócić i leżałbyś teraz na dnie.

– Na dnie to i tak jestem... – mruknął niechętnie Zadra.

Mila czujnie zerknęła w lusterko.

– Obiecałaś, że mi opowiesz, co się stało.

– Niczego nie obiecywałem – zaprzeczył stanowczo.

– Chyba coś mi jesteś winien? Ryzykowałam dla ciebie...

– Nikt cię o to nie prosił. I już nie rób z siebie takiej bohaterki. – Zadra nie miał ochoty na przypisywanie tej kobiecie jakichkolwiek zasług. – Zresztą i tak bym nie skoczył.

– A wyglądało inaczej – upierała się taksówkarka.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Hej, a może chociaż powiesz, jak masz na imię – zainteresowała się Mila.

Uznała, że powinna monitorować stan psychiczny swojego pasażera. Nie była pewna, czy już z nim lepiej, bo kto może wiedzieć, co takiemu nie-

doszłemu samobójcy chodzi po głowie.

– Grzegorz – odpowiedział krótko.

– A ja jestem Mila.

– Co to za dziwne imię?

– To taki skrót od Emilii – wyjaśniła. – Kiedy byłam mała, to tak o sobie mówiłam. Rodzice podchwycili i zostało.

– Dziwacznie – skomentował. – Zresztą Emilia też. Kto tak daje dziecku na imię? Może w dziewiętnastym wieku, ale teraz...

– A teraz jak się daje dziecku na imię?

– Na przykład Sylwia.

Wypowiedział to zupełnie innym tonem. Jakoś tak miękko, z uczuciem. Mila od razu podchwyciła trop.

– Tak ma na imię ta dziewczynka, której kupiłeś lalkę? – domyśliła się.

Zadra poruszył się niespokojnie.

– Owszem – odpowiedział w końcu. – To moja córka.

– Masz córkę i chciałeś się utopić?

Mila była mocno zaskoczona. Po wypadku kilka razy myślała o samobójstwie, ale właśnie świadomość, że jest Janek, pomagała jej przetrwać trudny czas. Dla niego chciała żyć.

– Jak można chcieć zrobić coś takiego własnemu dziecku? Przecież ona cię potrzebuje! – Emocje wzięły górę i Mila bez zastanowienia powiedziała, co myśli. – Nie masz pojęcia, jak trudno jest dziecku, kiedy straci ojca!

– Sylwunia będzie miała lepszego tatusia. – Zadra się skrzywił. – Jej mama, a moja wkrótce była żona już o to zadbała.

A więc to tak – zrozumiała Mila.

– Nawet nie pozwoliła mi jej zobaczyć. – Mówił dalej, jakby coś się w nim otworzyło. – A chciałem spędzić z Sylwunią święta. Kupiłem prezent. I co? Usłyszałem, że najlepiej byłoby, gdybym zniknął na zawsze...

Mili zrobiło się żal mężczyzny. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, co by było, gdyby ktoś zabrał jej Janka.

– Może nie będzie tak źle – próbowała go pocieszyć. – Emocje z czasem opadają, jakoś się z żoną dogadacie. Dla dobra córki. Wiesz, to dla kobiety zawsze najważniejsze, więc...

Zadra spiał się na wspomnienie żony.

– O, znalazła się adwokatka! – Nie ukrywał złości. – Wy zawsze będziecie się bronić. Wszystkie takie dobre, wspaniałe... Tylko facet zawsze zły! Żenada!

No i znowu zaczyna – jęknęła w duchu Mila. Albo naprawdę przeżywa kryzys i nie panuje nad sobą, albo to męski szowinista. Pomyśleć, że chciałam go pocieszyć!

Zamilkła, urażona niesprawiedliwą reakcją na jej dobre intencje.

– Zatrzymaj się!

Nagły okrzyk z tylnego siedzenia tak ją wystraszył, że o mało nie skręciła na przeciwległy pas. Zahamowała gwałtownie i samochód stanął na poboczu.

– Zwariowałeś?! – zdenerwowała się.

– Zjedź na stację – zażądał Zadra, nie zwracając uwagi na jej emocje. – No, zjeżdżaj!

– Ani mi się śni – oświadczyła stanowczo. – Nie wiem, co ci znowu strzeli do głowy, nie mam zamiaru dla odmiany ganiać cię po lesie.

– Czy ja ci każę mnie ganiać? Nie jesteś moja niańką.

– Może i nie, ale odstawię cię do domu. Potem możesz robić, co chcesz.

Zadra szarpnął za klamkę.

– Zablokowałaś drzwi! – krzyknął.

– Na wypadek gdybyś chciał uciekać – uśmiechnęła się pod nosem, zadowolona, że go przechytrzyła.

– Ty naprawdę jesteś wariatką! – wkurzył się mężczyzna. – Ale jak chcesz. Najwyżej zrobię, co muszę, tutaj, na siedzeniu...

– Chcesz skorzystać z toalety?

– Nie, chcę wysadzić się w powietrze razem z całym zbiornikiem paliwa na tej stacji – odparł szyderczo. – Taki właśnie mam plan.

– Idiota! – rzuciła przez ramię, ale ruszyła i skręciła na plac przed stacją. Zatrzymała się przy dystrybutorze.

– Ja zatankuję, a ty idź do toalety – powiedziała. – I poczekaj tam na mnie. Przyjdę zapłacić i kupię sobie kawę. A potem już żadnych przystanków, jasne?

– Tak, nianiu – odpowiedział sarkastycznie Zadra.

Nalewając paliwo, patrzyła za odchodzącym mężczyzną. Szedł ze zwieszoną głową, a przed wejściem kopnął ze złością leżącą na chodniku bryłę śniegu.

Nie wiedziała, co ma o tym myśleć, ale na wszelki wypadek postanowiła nie spuszczać go z oczu. Przynajmniej do czasu, aż odstawi go pod dom.



Jowita pomyślała, że teraz już wie, jak czuli się wędrujący przez pustynię ludzie. Może to porównanie mogło wydawać się dziwne, wszak była grudniowa noc, ale kobieta uznała, że wbrew pozorom można znaleźć wiele podobieństw między nią a zagubionymi na Saharze wędrowcami.

Co prawda zamiast piasku były połacie zaśnieżonych pól, zamiast palącego słońca – mróz, ale poza tym wszystko się zgadzało. Nie wiedziała, gdzie dokładnie jest, kiedy skończy się ta wędrówka, czuła zmęczenie, w gardle jej zaschło i marzyła o choćby łyku zwyczajnej wody.

Zatrzymała się i zaczęła rozcierać dłonie. Mimo rękawiczek palce miała zmarznięte, bo cienka skórka nadawała się może do ochrony dłoni między wyjściem z samochodu a wejściem do biura, ale w tych warunkach nie dawała wystarczającego ciepła.

Jowita podniosła głowę i popatrzyła przed siebie.

Czy ja dobrze widzę? – W oczach kobiety rozbłysła nadzieja. To stacja benzynowa?

Rzeczywiście, kilkadziesiąt metrów przed nią widać było wysoki maszt z logo sieci paliw.

A jeśli to fatamorgana? – Rozmyślenia o pustyni mocno zawładnęły jej umysłem. Jeżeli tylko mi się wydaje? Zdarzają się przecież takie zaburzenia, gdy jest się wycieńczonym. Czy mózg zaczyna płatać mi figle?

Przetarła oczy wierzchem dłoni. Podświetlony kaseton nadal tam był.

Musi być prawdziwa – stwierdziła.

Poczuła przyływ sił. Jeszcze kilkaset kroków i znajdzie się w ciepłym miejscu, gdzie można kupić gorącą herbatę i coś do zjedzenia.

Jowita chwyciła rączkę walizki i starając się utrzymać równowagę na wysokich obcasach, rażno ruszyła do celu.

Jesteś dzielną babką – pochwaliła samą siebie w myślach. Dostaś radę! Nie będziesz leżała martwa w śnieżnej zaspie aż do wiosny!

Wreszcie doczłapała do szklanych drzwi. Zanim weszła, odwróciła się jeszcze, żeby spojrzeć na drogę, którą tu dotarła.

I wtedy zauważyła, że przy dystrybutorze stoi samochód z oznaczeniami jednej z firm przewozowych, które można zamówić przez aplikację.

Taksówka!

Aż takiego szczęścia Jowita się nie spodziewała. Liczyła na gorący napój i rozgrzanie zmarzniętego ciała, ale żeby od razu taki luksus!

Może szczęście jeszcze nie całkiem mnie opuściło – ucieszyła się. Myślę, że to nagroda za spotkanie z tym okropnym laweciarzem – uznała. A skoro los daje mi taką szansę, to już ja zadbam, żeby nie wymknęła mi się z rąk.

Z tym postanowieniem wkroczyła do środka.

Przede wszystkim musiała zaspokoić najważniejsze potrzeby.

– Co macie do jedzenia? – zapytała kobietę za ladą.

– Tylko hot dogi. I tylko z parówką. Kabanosy się skończyły – otrzymała rzeczową odpowiedź.

– Niech będzie hot dog. – Było jej wszystko jedno, po prostu musiała coś zjeść.

– Ale tylko biała bułka.

– OK.

– Musztarda? Ketchup? Sos czosnkowy? A może jakiś inny? – recytowała sprzedająca.

– Obojętne. – Jowita machnęła ręką. – Może być musztarda. I jeszcze kawę proszę doliczyć. Największą.

Zapłaciła, zrobiła sobie napój, który postawiła na najbliższym stoliku. W oczekiwaniu na jedzenie poszła do toalety i dopiero po powrocie poczuła, że jest nieco lepiej.

Jak niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia – pomyślała. Jeszcze tylko te buty... Nóg nie czuję.

Łapczywie ugryzła hot doga, a smak parówki wydał jej się lepszy niż jakiegokolwiek dania, które w życiu jadła.

Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że nikt jej tu nie zna, poza tym są sytuacje, gdy elegancja i zasady muszą zejść na dalszy plan. W związku z tym ściągnęła pod stolikiem kozaki i z ulgą rozprostowała palce u stóp.

Od dziś zawsze będę wozila w bagażniku sportowe buty – obiecała sobie.

Zaspokoila pierwszy głód, mogła więc zająć się organizowaniem sobie transportu. Rozejrzała się po lokalu i dostrzegła parę siedzącą pod oknem. Nikogo innego nie było, więc to oni musieli przyjechać taksówką.

Dokonała szybkiej oceny sytuacji.

Nie są miejscowi, bo przecież nikt, kto ma niedaleko dom, nie będzie pił kawy w Wigilię na stacji. – Ten wniosek był prosty. Jest ich tylko dwoje, więc miejsce w samochodzie mają. A skoro są po tej stronie drogi, to jadą w kierunku miasta. Wszystko pasuje – podsumowała.

W tym momencie dostrzegła, że kobieta skończyła pić kawę i podnosi się z krzeselka.

Trzeba było działać natychmiast.

Jowita zerwała się i podbiegła do mężczyzny.

– Jedzie pan do miasta?

Wzruszył ramionami.

– Niech mnie pan zabierze – poprosiła, patrząc błagalnie. – Widzę, że ma pan pasażerkę, ale ja też zapłacę, mogę nawet podwójnie. Pani na pewno się zgodzi, prawda? – Spojrzała na kobietę.

Mila popatrzyła na nieznajomą, która stała przed nią w krótkim futerku i samych rajstopach. Potem przeniosła wzrok na dużą walizkę i leżące pod stolikiem kozaki na szpilce.

Trzeba jej pomóc – pomyślała. Jak kobieta kobiecie. A jeśli jeszcze zapłaci...

– Nie mam nic przeciwko temu – odparła po namyśle.

– Cudownie! – Jowita klasnęła w ręce. – W takim razie wezmę jeszcze jednego hot doga na drogę, dobrze?

Mila skinęła głową.

– Ja się nie zgadzam – wtrącił nieoczekiwanie mężczyzna.

– Jak to? – Jowita znieruchomiała.

– Tak to – odparł niegrzecznie. – Dwie baby w samochodzie to dla mnie za wiele.

– Ale ja miałam wypadek... – powiedziała bezradnie Jowita. – Wpadłam w poślizg...

– Jak się nie potrafi prowadzić, to tak jest. – Jej tłumaczenie nie zrobiło na Zadrze żadnego wrażenia. – I teraz trzeba sobie radzić samej. Przykro, nie?

Jowita poczuła, że zaraz się rozplacze. Naprawdę zostawi ją tutaj?

– Na szczęście to nie ty decydujesz. – Mila uznała, że pora interweniować. – I nie będziesz mi mówił, kto pojedzie moją taksówką. Tym bardziej że wiozę cię za darmo. O ile pamiętam, to brałaś kurs w jedną stronę – przypomniała.

– To pani jest kierowcą? – Jowita odetchnęła z ulgą.

– Tak. Niech pani zamawia tego hot doga, bo musimy jechać.

Jowita szybko podreptała do lady, gdzie złożyła zamówienie, a potem wróciła do swojego stolika i zaczęła wciągać buty.

Mila popatrzyła na Zadrę. Ten chciał coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką i wszedł między półki z towarem.

Po chwili wrócił z sześciopakiem piwa w ręce.

– Ja też wezmę coś na drogę – oznajmił.

I nie czekając, co powie Mila, poszedł zapłacić.



Katia uśmiechnęła się do Jasia.

– I widzisz, dziadek się odnalazł.

– Mikołaj nam pomógł – zauważył chłopiec.

– Bez wątpienia – potwierdziła. – Widocznie byłeś grzeczny przez cały rok.

– Pewnie, że byłem. – Pokiwał głową. – No, może nie zawsze – dodał samokrytycznie po chwili. – Na przykład raz nie chciałem włożyć tej bluzy z samolotem. Mama się gniewała, ale naprawdę nie chciałem. – Spojrzał na Katię, szukając u niej zrozumienia. – Jestem za duży na takie bluzy. Ona jest dla maluchów, a ja przecież w przyszłym roku idę do szkoły.

– I powiedziałaś to mamie?

– Tak, ale nie chciała słuchać. Spieszyła się do pracy.

– Czasami dorośli nie mają czasu i wtedy łatwo się denerwują. – Dziewczyna starała się jakoś usprawiedliwić matkę chłopca. – Myślę, że gdybyś potem wyjaśnił jej wszystko spokojnie, to zrozumiałaby.

– Nie musiałem. – Pokręcił głową. – Bo mama zaraz potem kupiła mi nową bluzę. Taką, jak chciałem.

No to chyba jednak słuchała – stwierdziła Katia.

– Dobra, młody, koniec tych pogaduszek – zdecydowała. – Idziemy na spotkanie z dziadkiem.

Na szczęście mężczyzna odebrał telefon od Krzyśka. Bardzo się ucieszył na wieść, że wnuk jest cały i zdrowy. Umówili się na deptaku, przy nieczyn-

nej o tej porze roku fontannie.

Dziewczyna pożegnała panią Bożenkę, która dała jeszcze Jankowi gruby kawałek makowca.

– Dziękuję – powiedział grzecznie chłopiec.

Jednak gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku Bożeny, oddał ciasto Katii.

– Nie lubię makowca.

– To dlaczego od razu nie mówiłeś? – zdziwiła się dziewczyna.

– Nie chciałem tej pani robić przykrości. Nie lubię, jak ktoś jest smutny.

– Mówiłeś prawdę, masz dobre serce – pochwaliła go Katia. – A teraz przebieraj szybko nogami, dziadek na pewno już czeka.

Prowadziła Janka za rękę, a w drugiej niosła choinkę.

Ale numer! – pomyślała. *Ile atrakcji! A miałam siedzieć u rodziców z brzuchem pełnym maminych przysmaków. Będę miała im o czym jutro opowiadać!*

Janek, który zdążył już odpocząć, rażno maszerował u jej boku.

– Chyba będziesz musiał przeprosić dziadka – zauważyła dziewczyna, gdy już zbliżali się do miejsca spotkania.

– Dlaczego?

– Jak to? Przecież mu uciekłeś – przypomniała. – Chyba wiesz, że tak nie wolno robić, prawda?

– Wiem. Ale dziadek nie chciał już wypełnić misji. – Janek starał się przedstawić swoje racje. – Musiałem sam.

– O nie, kolego! To nie było mądre. – Katia pokręciła głową. – Miałeś szczęście, że mnie spotkałeś, ale ta ucieczka mogła się skończyć dużo gorzej. Nigdy więcej tak nie rób! Obiecujesz?

– Dobrze, obiecuję.

Już z daleka dziewczyna dostrzegła starszego mężczyznę w czapce uszance, który nerwowo chodził wzdłuż obrzeża fontanny. Nie musiała się upewniać, bo na jego widok Janek wyrwał rękę z jej dłoni i pobiegł naprzód.

– Dziadku! Dziadku! – krzyczał radośnie.

Mężczyzna odwrócił się w ich stronę i zobaczył wnuka. Rozłożył ręce, a dzieciak z impetem wpadł w jego objęcia.

Katia po chwili dołączyła do nich.

– Nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłem! Napędziłeś mi niezłego stracha! – Karol wciąż przytulał Janka, jakby bał się, że na nowo zniknie.

– Przepraszam, dziadku, ja tylko chciałem znaleźć choinkę – wyjaśnił malec.

Mężczyzna popatrzył na Katię.

– To pani się nim zaopiekowała?

– Tak, to ja. Mam na imię Katia – przedstawiła się. – A Janek to świetny chłopak. Miły i mądry. Spędziliśmy razem fajny czas.

– Czy mądry, to nie wiem – wyraził wątpliwość Zawadzki. – Właściwie to powinienem być na niego zły.

Pogroził wnukowi palcem.

– Wie pan, on bardzo chciał wypełnić tę swoją misję – uśmiechnęła się dziewczyna. – Strasznie mu na tym zależy.

– Tak, wiem o tym. Sam to zaproponowałem, bo nasze święta w ostatnich latach nie były... – przerwał. – Co ja mogę poradzić, że nigdzie nie ma już choinek? – Nie dokończył poprzedniej myśli, nie chciał się zwierzać obcej osobie.

– Dziadku, ale ja znalazłem choinkę – zaprotestował Janek, który przysłuchiwał się ich rozmowie. – Znalazłem ją!

Pociągnął mężczyznę za rękaw i wskazał na drzewko, które trzymała Katia.

– Patrz!

Karol uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Jasiu, ta choinka jest pani. Nie możemy jej zabrać – tłumaczył.

Chłopiec posmutniał.

– Przeciwnie, możecie. – Dziewczyna nawet nie musiała się zastanawiać nad decyzją. – Proszę bardzo, jest wasza!

Wyciągnęła rękę z drzewkiem w stronę Zawadzkiego.

– Ależ nie, naprawdę nie możemy... – zaprotestował mężczyzna. – Pani na pewno kupiła ją dla siebie.

– Nie kupiłam, dostałam – wyjaśniła. – I tak naprawdę jej nie potrzebuję. Dzisiejszy wieczór spędzam sama, a jutro rano jadę do rodziców. Wam bardziej się przyda.

– Weźmy ją, dziadku. – Janek spojrzał błagalnie na Karola.

– No dobrze – zgodził się w końcu Zawadzki. – Weźmiemy. Ale powinniśmy się pani jakoś odwdzięczyć.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniła.

Ale Karol jej nie słuchał.

– Skoro nie ma pani planów na dzisiejszy wieczór, to zapraszamy do nas – powiedział. – Będziemy, co prawda, tylko ja, Janek i moja córka, ale tym bardziej znajdzie się miejsce dla niespodziewanego gościa. Tylko nie wiem, czy jesteśmy dobrym towarzystwem, bo... – Urwał w pół zdania.

Katia popatrzyła na chłopca, potem na nieco speszonego mężczyznę.

– Dobrze, przyjmuję zaproszenie – uśmiechnęła się. – Może na coś się przydam przy realizacji twojej misji. – Mrugnęła do Janka.



Od początku nie było łatwo.

– Niech ona siedzi z przodu – powiedział Zadra, rozpierając się na tylnej kanapie. – Ja mam tu paczkę i zakupy. – Poklepał sześciopak.

– Bardzo chętnie – parsknęła Jowita i zasiadła obok Mili.

Jednak gdy tylko samochód ruszył, nowa pasażerka natychmiast chwyciła za kierownicę.

Mila zahamowała.

– Co to ma być?! – zdenerwowała się.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – nerwowo tłumaczyła się Jowita. – Nie wiem, co mi się stało. Nigdy tak nie robiłam. To chyba jakiś stres po wypadku...

– Jeden wypadek na dziś wystarczy – stanowczo stwierdziła Mila. – Zamierzam dojechać do domu cała i zdrowa. Proszę na tylne siedzenie. – Wskazała kciukiem do tyłu.

– Oczywiście – szybko przytaknęła Jowita, obawiając się, że za chwilę może zostać wyproszona z auta.

– Mowy nie ma! – ostro zaprotestował Zadra. – Jak jej nie pasuje, to niech idzie piechotą.

– Ty już nic nie mów – ostrzegła go Mila, która poczuła zapach alkoholu. – Bo za moment mogę wysadzić ciebie.

– O, to już nie chcesz dbać o moje życie?! – Grzegorz nie powstrzymał się od złośliwości. – No tak, ja jadę za darmo. Ha! Od początku wiedziałem, że dla ciebie najważniejsza jest kasa! Paniusia ci płaci, więc ja mogę się powiesić, utopić czy cokolwiek innego. Już mnie nie będziesz ratowała, co?

Jowita skorzystała z okazji, że Zadra skoncentrował się na swojej przemowie, i szybko wsunęła się na tył samochodu. Kilka razy stanowczo przesunęła się w stronę mężczyzny, żeby móc zamknąć drzwi.

– Gdzie się pchasz! – zirytował się Grzegorz. – Mogłabyś mnie nie popychać?

– To sam się przesun.

– Cisza! – Mila podniosła głos. – Albo się uspokoić, albo obydwójce was zostawię na tej stacji.

Towarzystwo na chwilę zamilkło i wreszcie mogli jechać.

Niestety, cisza nie trwała zbyt długo.

– Mógłbyś nie pić tego piwka w samochodzie? – odezwała się Jowita, z odrazą patrząc, jak Zadra duszkiem opróżnia butelkę. – Śmierdzi jak z browaru. – Skrzywiła się z niesmakiem.

– Chyba to i tak lepsze niż łażenie po drodze w szpilkach – odgryzł się mężczyzna.

– Ja przynajmniej próbowałam sobie poradzić. – Nie miała zamiaru pozostać mu dłużna. – A z tego, co zrozumiałam, to ty raczej z tych, co się poddają.

– Skąd ci to przyszło do głowy?! – ostro zareagował Zadra.

– Coś słyszałam przed chwilą o ratowaniu życia, o jakimś wieszaniu – uśmiechnęła się z udawaną słodyczą. – To nie o ciebie chodziło?

Inteligentna jest – pomyślała Mila. I bystra. Nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Zajmij się sobą, co? – zaproponował mężczyzna. – Wróc do domu, zapal lampki na choince, ugotuj pierogi i zrób słodkim dzieciaczkom zdjęcie z tatusiem podczas rozpakowywania prezentów. A potem wrzucić je na Instagrama z jakimś słodkim tekstem o idealnych Świątach.

Jowita gwałtownie odwróciła głowę.

– No co? Foch? – naigrawał się mężczyzna. – Prawda w oczy kole? Widzę, że trafiłem. Paniusia idealna, tak?

Milena z zaciekawieniem zerknęła w lusterko. Jej pasażerka straciła rezon.

Czyżby rzeczywiście trafił z tą analizą? – pomyślała.

Ale już za moment przekonała się, że chodzi o coś zupełnie innego.

– A ty uważasz, że wiesz o mnie wszystko? – Pasażerka spojrzała na swojego sąsiada spod oka. – Bo nie podobają ci się moje buty? I to ci daje prawo, żeby mnie obrażać?

– Gdzieś mam twoje buty. – Zadra otworzył drugie piwo. – Wy, kobiety, jesteście naprawdę beznadziejne! Uważacie, że świat kręci się wokół waszych strojów, cycków i paznokci.

– Cham! – krótko skomentowała Jowita.

– Tak, pewnie, człowiek powie prawdę, to od razu cham – roześmiał się Zadra. – Tak najłatwiej. Zamiast zastanowić się nad sobą.

Upił łyk piwa i z pogardą spojrzał na Jowitę.

– Tak trąbicie na prawo i lewo, że najważniejsza jest rodzina, dzieci, ciepły dom. A jak przyjdzie co do czego, to potraficie jak nikt zjebać człowiekowi nie tylko święta, ale i całe życie!

Alkohol wyraźnie dodał mu animuszu i mężczyzna zamierzał wylać teraz wszystkie swoje żale.

– Najpierw jest mruganie oczkami, słodkie minki, piękne słowa o miłości na całe życie. Wszystko po to, żeby człowiekowi oczy zamydlić. Ale wystarczy, że na chwilę stracisz czujność, a wszystko się zmienia. I nie słyszysz już o kochaniu, tylko o stanie konta.

Jowita milczała, ale Miła widziała w lusterku, że jej oczy miotają błyskawice.

Zaraz będzie ostro – stwierdziła. *Oby tylko się nie pobili!*

Pasażerka chciała coś powiedzieć, ale Zadra powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Momencik, nie skończyłem. – Odstawił pustą butelkę na gumowy chodniczek pod stopami.

Jednak Jowita ani myślała zastosować się do jego rozkazów.

– Naprawdę uważasz, że kobiety chcą od faceta wyłącznie kasy? Gdzie ty żyjesz, człowieku?!

– A co, chcesz powiedzieć, że jest inaczej? Daj spokój! – Machnął ręką. – Zawsze jest tak samo. Ty się zaharuj na śmierć, a damie ciągle mało! I jeszcze żeby cię doceniła, ale nie. Wszystko jest źle i w końcu człowiekowi się odechciewa wracać, bo nie może się zrelaksować we własnym domu!

– Pewnie przy piwku, co? – złośliwie wtrąciła Jowita.

– A nawet jeśli, to co? Jedno piwo jeszcze nikomu krzywdy nie zrobiło.

– Jedno nie, ale ja tu widzę sześcioopak – zauważyła kobieta.

– No, następna! – zirytował się Zadra. – Mówiłem, wszystkie takie same jesteście. Uwielbiacie robić dramę z niczego, a potem się dziwicie, jak człowiek nie wytrzyma i się wkurzy... Banda idiotek!

Miła stwierdziła, że dość tego obrażania kobiet. Miała dość i uznała, że pora włączyć się do rozmowy. Nie zdążyła.

– A wy to jesteście lepsi?! – Jowita nieoczekiwanie weszła od razu na wysokie tony. – Obiecujecie, udajecie zakochanych, wszystko, żeby tylko omoć kobietę! A kiedy ona odda wam serce, to z jakąś dziką satysfakcją wdeptujecie je w ziemię! I to jeszcze żeby była w tym jakaś klasa, ale nie! Lepiej uciec, schować się, udawać głupka. Byle nie przyznać się do tego, że jest się dupkiem! Gnojki z was i tyle!

Spojrzała z nienawiścią na Zadkę, a potem ukryła twarz w dłoniach i zaczęła głośno szlochać.

– No nie! – Grzegorz uderzył się ręką w czoło. – Hej, Mila, zrób coś, bo jak ona nie przestanie płakać, to ja tu sobie podetnę żyły szkłem z butelki. Mówię serio, nie zniosę tego! Nie dziś!

– Uspokój się! – Odwróciła na moment głowę i posłała mężczyźnie mordercze spojrzenie. – Sam do tego doprowadziłeś swoją szowinistyczną gadką.

– Ja?! No pewnie, a jakże inaczej! Jak jakaś niestabilna emocjonalnie baba zaczyna lać łzy, to zawsze mężczyzna będzie winien.

Sięgnął po kolejną butelkę.

– I to jest właśnie dowód, że mam rację – zakończył z satysfakcją.

Jednak muszę się zatrzymać – zdecydowała Mila. I zrobić porządek z tym towarzystwem raz na zawsze. Inaczej nigdy nie wrócę do domu.

Nie była zbyt chętna do postoju na poboczu, gdzie mimo włączenia świateł awaryjnych ktoś mógłby w nich wjechać. Na szczęście zauważyła zatoczkę, w której chyba kiedyś zatrzymywały się autobusy, a teraz pozostał jedynie metalowy szkielet po wiacie przystankowej. Zjechała tam i zatrzymała samochód.

– Wysiadać!

Zadka ani drgnął, a Jowita podniosła zapłakaną twarz i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nie rozumiecie po polsku? Wysiadać! Natychmiast!

Wyszła z auta i otworzyła tylne drzwi.

Grzegorz i Jowita chyba zrozumieli, że nie żartuje, bo w końcu opuścili ciepłe wnętrze pojazdu.

– Teraz tobie odbija? – złośliwie zapytał Zadra.

– Chyba nie chcesz nas tutaj zostawić? – Jowita pociągnęła nosem.

Mila popatrzyła na swoich pasażerów – kobiecie rozmazał się tusz, tworząc malownicze czarne paski wzdłuż policzków, a mężczyzna stał w nie dbalej pozie z butelką piwa w ręku.

Ale mi się trafiło! – Nie mogła wyjść ze zdziwienia. *Takiej historii to nawet ja bym nie wymyśliła!*

Szybko jednak przywołała się do porządku. Nie miała czasu na fantazje i rozmyślanie.

– Słuchajcie, wystarczy tych kłótni – powiedziała stanowczo. – Jest noc, ja prowadzę i muszę mieć spokój. Czy to jest dla was jasne?

Jowita szybko pokiwała głową, Grzegorz tylko wydał usta.

– Nie obchodzi mnie ani to, co myślicie, ani co wam się nie podoba, ale dopóki siedzicie w moim samochodzie, macie przestrzegać moich zasad.

– Jakie to zasady? – zainteresowała się Jowita.

– Nie odzywacie się, nie płaczcie i... – Popatrzyła karcąco na Zadrę. – Nie pijecie alkoholu.

– Bardzo śmieszne – mruknął. – Ciekawe, jak to wyegzekwujesz?

Mila, niewiele myśląc, wyciągnęła z tylnego siedzenia pozostałe trzy butelki w foliowym opakowaniu i bez zastanowienia rozbiła jedną po drugiej o metalowy słupek wiaty.

– Wariatka – ze spokojem skomentował policjant.

Mila nie zareagowała na inwektywę.

– Macie teraz pięć minut na doprowadzenie się do porządku. Ty – wskazała na mężczyznę – możesz dopić piwo albo je wylać. A ty – zwróciła się do Jowity – wypłacz się do końca i wytrzymaj twarz, bo się rozmazałaś. Możecie się też pobić, opluć albo zabrać swoje manatki i iść dalej pieszo. Kiedy jed-

nak znowu wsiądziecie do samochodu, macie milczeć aż do końca trasy. Mówię poważnie!

Zostawiła ich przy aucie, a sama odeszła kawałek dalej, leśną przecinką za przystankiem. Potrzebowała chwili spokoju, ale przede wszystkim musiała zadzwonić do ojca.

Na pewno już się martwią. – Spojrzała na zegarek. *Powinnam pół godziny temu być w domu.*

Wybrała numer i niecierpliwie czekała na połączenie.

– Mama? – Usłyszała radosny głos Janka.

– Dlaczego odbierasz telefon? Gdzie jest dziadek?

– Dziadek robi w kuchni klej z mąki – poinformował ją syn.

– Po co wam klej z mąki? – zdziwiła się Mila. – Masz przecież taki normalny, w tubce.

– Ale już się skończył. Trzeba więcej.

Mila poczuła lekki niepokój. Nie żeby martwił ją pełen entuzjazmu głos syna, ale od dłuższego czasu takiego nie słyszała, więc zastanawiała się, co sprawiło dziecko w ten stan.

Oby to nie było nic złego – pomyślała.

– Janek, a co ty tam kleisz?

– To niespodzianka.

– Wiesz, że lubię niespodzianki, ale dziś wolałabym wiedzieć...

– Ale wtedy nie będzie niespodzianki – rezolutnie zauważył malec.

– Janek, bardzo cię proszę, natychmiast powiedz mi, co robisz! – Zaczynała się naprawdę denerwować.

Synek westchnął głośno.

– Robimy z Katią łańcuch na choinkę.

Mila nic z tego nie rozumiała.

– Jasiek, zanieś telefon dziadkowi, muszę z nim porozmawiać.

– Dobrze.

Słyszała, jak biegnie, a potem podaje komórkę jej ojcu.

– Mama chce z tobą rozmawiać – poinformował dziadka. – Zepsuła niespodziankę, bo kazała powiedzieć, co kleję.

– Halo! Mila? – Usłyszała głos ojca.

– Tato, co tam się dzieje? Kto to jest Katia? – Nie potrafiła ukryć niepokoju.

– Uspokój się, dziecko. Katia to nasza nowa znajoma. Pomaga nam w ubieraniu choinki, ale to już wiesz.

– Jaka znajoma?

– Wszystko ci opowiem, jak wrócisz. A właściwie, to kiedy będziesz? Bo może ja powiem Katii, żeby zaczęła przygotowywać stół?

– Niech nikt nic nie rusza – nakazała Mila. – Niedługo dojadę. Zostało mi jakieś pięćdziesiąt kilometrów.

– To dobrze, bo Jasiek już nie może się doczekać. Dobrze, że jest Katia, bo się nim zajęła. Wiesz, mnie trochę zmęczyła ta dzisiejsza wyprawa, chciałbym się chociaż na chwilę położyć.

– Tato...

– Słucham?

Chciała powiedzieć, żeby nie zostawiał jakiejś obcej osoby bez nadzoru, ale zrezygnowała.

I tak zrobi, co będzie chciał – stwierdziła. *A z naszego mieszkania nawet nie ma czego ukraść.*

– Postaram się być jak najszybciej – obiecała.

Zakończyła rozmowę i wróciła na przystanek. Pasażerowie już wsiedli. Zajęła więc miejsce za kierownicą.

Nie wiedziała, co robili, gdy odeszła, ale teraz siedzieli tak daleko od siebie, jak to tylko było możliwe i każde patrzyło w okno po swojej stronie.

Najważniejsze, że są cicho – uznała, zapalając silnik.

Teraz dużo bardziej martwiła ją nieznajoma Katia w jej domu.



Jeżeli Artur Konopka myślał, że uda mu się uciec przed Bożym Narodzeniem, to bardzo się mylił.

Jego pomysł przespania Wigilii może i nie był zły, ale programista, jako umysł ścisły, nie brał pod uwagę tego, że los może mieć dla niego zupełnie inne plany. I nawet gdyby ktoś mu o tym powiedział, z pewnością mógłby liczyć najwyżej na lekki uśmiech i spojrzenie pełne politowania.

Konopka bowiem szczerze wierzył, że człowiek jest kowalem własnego losu. Stąd właśnie wzięła się jego chęć uporządkowania życia, planowania i ciągłego rozwoju. Oczywiście samo w sobie nie było to złe, jednak zapominał, że zawsze trzeba brać pod uwagę, że mogą wydarzyć się rzeczy nieoczekiwane.

Cóż, Artur o tym nie pomyślał.

Dopiero kiedy wydarzenia wymknęły mu się spod kontroli, zrozumiał, że nie wszystko da się przewidzieć.

I o tym właśnie myślał, przeglądając od kilku godzin posty w mediach społecznościowych. Zdążył się już zapisać do kilku nowych grup, o których istnieniu dowiedział się dopiero przed chwilą, i napisać do czterech zupełnie mu nieznanym kobiet, bo to mu poleciły inne nieznanne osoby.

Normalnie nigdy by tego nie zrobił, ale tu chodziło o Bary'ego. A dla swojego psa Artur był gotów na wiele. Można zaryzykować stwierdzenie, że na wszystko.

A było to tak.

Po wizycie kuriera i powzięciu decyzji o sposobie na jak najmniej aktywne przeżycie świąt Konopka postanowił wprowadzić swój plan w życie.

– Bary, zbieraj się! Idziemy na długi spacer!

Psu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Słowo „spacer” rozumiał doskonale. Natychmiast zerwał się z kanapy i pobiegł do drzwi.

Mężczyzna ubrał się i zanim wyszli, przyniósł do przedpokoju stary ręcznik, który przechowywał przy koszu na śmieci.

– Tak, nie wywiniesz się. – Popatrzył z rozbawieniem na zwierzę, które na widok szmaty podkuliło ogon. – Będziemy po powrocie wycierać łapy. Nie chcę kolejnych śladów na pościeli i nie mam zamiaru dziś myć podłogi.

Pies bardzo nie lubił tego zabiegu, właściwie nie wiadomo dlaczego, bo był przecież bezbolesny. Artur doszedł do wniosku, że musiał mieć jakieś złe skojarzenia związane z dotykaniem łap. Starał się więc ograniczać wycieranie, ale czasami, zwłaszcza gdy na zewnątrz było mokro, musiał to robić.

Założył Bary'emu obrozę, przypiął do niej smycz i już byli gotowi do wyjścia.

Ten spacer to był całkiem dobry pomysł – uznał Konopka, gdy weszli do pobliskiego parku. *Pogoda nie najgorsza, a ludzi już prawie nie ma.*

Generalnie zawsze starał się wychodzić z psem o innych porach niż większość właścicieli czworonogów. Dzięki temu unikał tych, którzy chcieli zawrzeć z nim znajomość.

„Jak się piesek wabi?” – zaczęli pogawędkę.

„Czy to jest owczarek niemiecki?” – zagadywali.

Artur uprzejmie odpowiadał, ale nie miał ochoty na dłuższe rozmowy. Zastanawiał się, dlaczego ludzie uważają, że sam fakt, że posiadają psy, oznacza, iż będą mieli o czym rozmawiać.

Kiedyś, w chwili kryzysu, gdy zastanawiał się, jak mógłby spotkać kobietę swojego życia, przyszło mu do głowy, że może robi błąd. Unika okazji do zawierania nowych znajomości, zamyka się na nie. Właśnie spacer z psem mogły być przecież okazją do poznania kogoś. Jednak po wnikliwej analizie okazało się, że zaczęły go głównie kobiety w wieku jego matki albo starsi mężczyźni, którzy chyba nie mieli z kim pogadać. Ani razu nie zagadnęła go kobieta w zbliżonym wieku. Dlatego Artur rozgrzeszył się szybko i wrócił do spacerowania o innych niż reszta porach.

Teraz udało się idealnie. Park rozświetlały nieliczne latarnie, ale światło odbijało się od śniegu, więc teren wyglądał tajemniczo i pięknie zarazem. Alejki były puste, tylko z daleka Artur widział kilka osób pospiesznie zmierzających w stronę okolicznych bloków. Można powiedzieć, że był w parku tylko on. I oczywiście jego pies.

Kraźyli pomiędzy grubymi pniami drzew, Bary zaglądał pod krzewy, osypując śnieg z ich gałązek. Wokół panowała niczym niezmacona cisza.

Do czasu.

W pewnym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, gdzieś obok, ale całkiem niedaleko, rozległ się huk i w górę wystrzeliła raca świetlna. Rozprysła się na tysiące drobnych gwiazdek, które ze świstem zaczęły spadać w dół.

To było właśnie to, czego Konopka nie przewidział. A właściwie o czym zapomniał.

Pies, równie zaskoczony jak jego pan, w pierwszej chwili znieruchomiał, a potem szarpnął się gwałtownie. Karabińczyk puścił, smycz została w ręku Artura, a Bary, ogłuszony hukiem i przestraszony świstem, rzucił się biegiem przed siebie.

– Bary! Bary! – wołał mężczyzna, niestety bez skutku.

Ruszył biegiem, ale nie udało mu się dogonić psa. Zwierzę, gnane strachem, szybko znikło między blokami.

Artur stanął bezradnie i popatrzył na ślady smyczy na śniegu. Wyglądały, jakby jakiś wielki wąż przed chwilą przeszedł przez zaśnieżone trawniki.

Pójdę tym tropem – postanowił. Na pewno w końcu się zatrzyma.

Szedł, robiąc sobie w duchu wyrzuty. Doskonale wiedział, że Bary bardzo się boi hałasu. Kulił się nawet wtedy, gdy jego panu wypadło coś z ręki i stuknęło o podłogę. Głośniejsze zaś dźwięki sprawiały, że trząsał się jak osika.

A już fajerwerki budziły w zwierzęciu prawdziwą panikę. W sylwestra i kilka dni wcześniej każdy spacer stanowił problem. Bary wychodził nie-

chętnie, sikał pod najbliższym krzakiem i od razu ciągnął z powrotem do domu. Artur musiał włączać głośniej telewizor, żeby zagłuszyć dźwięki dobiegające z zewnątrz. A o północy po prostu wpuszczał psa pod koldrę i gła-skał drżące zwierzę, dopóki okoliczni mieszkańcy nie wystrzelali wszyst-kich zakupionych fajerwerków.

Skąd mogłem wiedzieć, że jakiś pajac postanowi przetestować to już w Wigilię – denerwował się programista. Przecież to chore!

Był wściekły na nieznanomego, który odpalił racę, i na siebie, że tego nie przewidział.

Najgorsze jednak było to, że Bary'ego nigdzie nie było. Ślad smyczy urwał się przy odśnieżonej ulicy, a wołanie nie przyniosło skutku.

Może pobiegł do domu?

Niestety, tam też go nie było.

Odnajdę go, na pewno! – Konopka niechętnie musiał przyznać, że jest zrozpaczony.

Żeby przed samym sobą ukryć tę słabość, postanowił działać. Wyszukał na Facebooku lokalne grupy miłośników zwierząt i na nich szukał wiadomości. Mógłby dać post o zaginięciu, ale zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego zdjęcia swojego psa.

Po raz pierwszy żałuję, że nie jestem miłośnikiem Instagrama – stwierdził. Wtedy z pewnością miałbym mnóstwo jego fotek.

Cóż, musiał zadowolić się przeglądaniem postów i kontaktem z kobietami, które dokarmiały wolno żyjące koty. Była szansa, że zauważą gdzieś błąkającego się psa.

Konopka nie dopuszczał myśli, że Bary może się nie znaleźć.

To oczywiście musiało się stać akurat w Wigilię – pomyślał gorzko. I jak ja mam lubić Boże Narodzenie?



W oddali zobaczyła migoczące światła miasta. Ucieszył ją ten widok, bo oznaczał, że jej podróż wreszcie się zakończy.

Myślami była już w domu. Wyobrażała sobie, jak podzieli się opłatkiem i siądą do stołu. W jej marzeniach ojciec był uśmiechnięty jak kiedyś, a Jasiak cieszył się z prezentów i głośno wykrzykiwał tę radość.

A ona? Ona po prostu siedziała i obserwowała tę najbliższą jej sercu dwójkę i cieszyła się ich szczęściem. Niczego innego nie potrzebowała.

– Jaki ładny pies!

Jowita odezwała się po raz pierwszy, odkąd ruszyli z przystanku.

Miła zerknęła na pobocze.

Rzeczywiście, między pasami jezdni biegł duży, długowłose pies.

– Co on tu robi? – zdziwiła się.

Zrównała się ze zwierzęciem i zwolniła.

– A mało to ludzi puszcza psy luzem? – Zadra nie był specjalnie zainteresowany. – Z takim dużym zwierzęciem powinno się długo spacerować, a jak się komuś nie chce, to wypuszcza samopas, żeby się wybiegał.

– Może jakieś kundle – odparła Jowita, z zaciekawieniem przyglądając się biegnącemu zwierzęciu. – Ale ten wygląda na rasowego.

Zastukała w szybę.

Pies zwolnił i spojrzał w ich stronę. Kobieta zastukała jeszcze raz.

– Hej! Piesku! – krzyknęła.

Zwierzę stanęło, a potem zaczęło biec w przeciwnym kierunku.

– I po kłopotach – podsumował Zadra. – Nawet on się ciebie wystraszył – dogryzł Jowicie.

Miła popatrzyła w lusterko.

– Znowu biegnie w naszym kierunku – podzieliła się obserwacją z pasażerami. – Wygląda na zdezorientowanego. – A teraz usiadł na śniegu...

– Przeiębi się – zatroskała się Jowita.

– To nie pokojowy psiak – roześmiał się Grzegorz. – Ty naprawdę nie masz pojęcia o życiu! Za chwilę powiesz, że pingwiny mają zapalenie pęcherza, bo trą tyłkami o lód.

Jowita rzuciła mu nieprzychylnie spojrzenie.

– Ty nie masz serca – syknęła ze złością. – A jeżeli on się zgubił? Może ktoś go szuka. A co, jeżeli wpadnie pod samochód?

Mila słuchała tej wymiany zdań i zrozumiała, że znowu ona musi podjąć decyzję. Jeszcze raz spojrzała wstecz. Pies nadal biegał w tę i z powrotem, jakby szukał drogi i nie mógł jej znaleźć.

Naprawdę może go potrącić samochód. – Zrobiło jej się żal psiaka. A nawet jeśli nie, to z pewnością jest zmarznięty i głodny. Tak, chyba Jowita ma rację, wygląda na zagubionego.

I co zrobiła Mila, która spieszyła się na wigilijną wieczerzę do domu? Tak, po raz kolejny tego dnia zawróciła.

– Co znowu? – zapytał Zadra.

– Wracam do psa.

– Ja pierdołę! – zaklął. – Wiem, nie jestem idealny, ale co takiego zrobiłem, że dostałem aż taką karę?!

Jowita prychnęła pogardliwie.

Na szczęście nie zdążyła nic powiedzieć, bo Mila właśnie zatrzymała się obok psa.

Wysiadły, a Grzegorz został w aucie.

– Musimy podejść ostrożnie – poradziła Jowita. – Może się na nas rzucić.

– Wygląda na spokojnego – pocieszała ją Mila, chociaż sama czuła się niepewnie.

Ostrożnie, krok za krokiem, skradały się do zwierzaka. Pies przyglądał im się, przekrzywiając łeb.

– Wyglądacie jak szpiedzy z kiepskiej komedii!

Zadra odsunął okno i wyjrzał, żeby obserwować ich poczynania.

– Spadaj! – odkrzyknęła Jowita.

– Albo pomóż – dodała Mila.

Grzegorz wysiadł i zagwizdał.

Pies podniósł uszy, zamierdał ogonem, radośnie podbiegł do mężczyzny i usiadł obok jego nogi.

– O to wam chodziło? – roześmiał się.

Szybko podeszły.

– Znasz się na psach? – zapytała Jowita z nutką podziwu w głosie.

– Swoją drogą zawsze pozna – zażartował.

Obie kobiety jak na komendę spojrzały na siebie.

– Jesteś glina? – prosto z mostu zapytała Jowita.

– Tak. A to ma jakieś znaczenie?

– No... niby nie. Ale nie wyglądasz.

Ech, jednak nie światowej sławy chirurg – westchnęła nieco rozczarowana Mila.

– Dobra, lepiej skoncentrujcie się na tym drugim psie. – Zadra wskazał na czworonoga. – Co macie zamiar z nim zrobić?

– Czy ja wiem... – zastanowiła się Mila. – Chyba trzeba go odwieźć do schroniska...

– Teraz? – Policjant spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Nie, wrócę tu po Świętach – ironicznie odpowiedziała Mila. – Oczywiście, że teraz.

– To już przesada – oświadczył Zadra. – Najpierw muszę jechać z rozhisteryzowaną babą, a teraz jeszcze z jakimś zapchlonym kundlem?

– Chyba nie ma pcheł – wtrąciła Jowita. – Wygląda na zadbanego. Patrzcie, jak sierść mu błyszczy w świetle latarni.

– Kobiety, nie przesadzajcie. To na pewno pies kogoś z okolicy. Sam wróci do domu, zapewne biega tu każdego dnia. Wsiadajcie do auta, bo mnie suszy, a pani kierowca nie pozwala pić.

Otworzył drzwi samochodu, a pies natychmiast wskoczył do środka.

Całą trójka patrzyła oniemiała, jak duży zwierzak sadowi się na tylnej kanapie.

W końcu Mila wybuchnęła śmiechem.

– Chyba sam zdecydował – podsumowała. – Teraz to już nie ma wyjścia, musimy go odwieźć.

– Na to wygląda – zgodziła się z nią Jowita.

– W takim razie ty z nim siedz, a ja idę do przodu. – Zadra spojrzał niechętnie na psa. – Będziesz musiała czyścić obicia – poinformował Milę. – Wniósł na łapach chyba pół tony błota.

– Najpierw kobiety, teraz pies – powiedziała Jowita, sadowiąc się bez oporów obok psa. – Czy ty w ogóle kogoś lubisz? Bo zachowujesz się jak dziecko obrażone na cały świat.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Dobra, w takim razie mamy jeszcze krótki przystanek w schronisku dla zwierząt – oznajmiła Mila. – I wybaczcie, ale skoro tak, to muszę zadzwonić.

Włączyła zestaw głośnomówiący i wybrała numer.

– Mama?

Tak, jak się spodziewała, odebrał Janek.

– Co robicie?

– Katia uczy mnie składać gwiazdki z papieru, a dziadek śpi – zrelacjonował syn. – Kiedy będziesz?

Nie zapytała o Katię, bo nie chciała, żeby jej pasażerowie zorientowali się, że nie panuje nad tym, co dzieje się w jej domu.

– Już niedługo. Dojeżdżam. Możesz powoli budzić dziadka – odparła.

Kto to, do diabła, ta Katia? – zastanawiała się, hamując przed skrzyżowaniem. Na pewno nie morderczynią, bo obaj żyją. Złodziejką też raczej nie, bo już by się ulotniła. A skoro nadal tam siedzi, to kim jest?



Katia złożyła kolejną gwiazdkę z gazety i podała ją Jankowi.

– Możesz już malować.

Chłopca nie trzeba było dwa razy prosić. Od razu włożył pędzelek do kubeczka z wodą, a potem nabrał na niego niebieską farbkę.

– A ty składaj następną, dobrze? – poprosił.

– Nie ma sprawy, mogę składać.

Wydarła kolejną kartkę z magazynu motoryzacyjnego, który dał im Karol.

Pytała, czy na pewno go już przeczytał, ale machnął ręką.

– Mila co tydzień kupuje mi tę gazetę, ale mnie już przestały interesować samochody. Za stary jestem na te techniczne nowinki. Ty zrobisz z tego magazynu lepszy użytek.

Wzięła więc pismo bez wyrzutów sumienia, chociaż gdzieś w głębi duszy poczuła, że niechęć starszego pana do dawnej pasji ma głębsze powody.

Nie chciała jednak o nic wypytywać. W końcu była gościem, na dodatek zaproszonym bez zgody pani domu.

Ciekawa była tej Mili.

To musi być fajna babka – stwierdziła, zaginając rogi kartki. Jeździ tak-sówką, sama wychowuje syna, daje sobie radę mimo śmierci męża i jeszcze ogarnia dziadka, który radzi sobie chyba dużo gorzej.

Na razie mogła tylko zająć się jej synem, którego zresztą bardzo polubiła.

– Co mówiła mama? – zapytała Janka, który malował z takim zaangażowaniem, że aż wysunął czubek języka.

– Że już dojeżdża – odpowiedział, nie odrywając wzroku od gwiazdki.

– To dobrze – ucieszyła się Katia. – Już późno, na pewno jest zmęczona po takiej długiej trasie.

– Mama nigdy nie jest zmęczona – zapewnił chłopiec. – Jak byłem chory w zeszłym roku, to całą noc przy mnie siedziała i w ogóle się nie zmęczyła.

Ani trochę.

Wiara w siłę matki trochę ją rozbawiła, ale bardziej chyba wzruszyła.

– Mimo wszystko, kiedy wróci, powinniśmy jej pomóc – powiedziała Katia. – Nie może wszystkiego robić sama.

– Zawsze robi. – Mały wzruszył ramionami. – Bo dziadek tylko śpi i śpi. Albo patrzy w okno. I na nic nie ma ochoty, nawet na zabawę ze mną.

Nagle odłożył pędzelek.

– Ojej! Miałem go obudzić! – przypomniał sobie. – Mama kazała.

– Zaraz to zrobisz, dokończ malowanie i schowamy farbki.

Rozejrzała się po pokoju. Wszędzie wały się strzępki gazet i kawałki kolorowego papieru.

Chyba nie tak Mila wyobraża sobie swoje mieszkanie w wigilijny wieczór – zawstydzila się Katia. A to w sumie moja sprawka, bo ja wymyśliłam ten łańcuch, a potem gwiazdki.

Zaczęła zbierać śmieci z podłogi.

Janek pobiegł do pokoju dziadka. Wrócił po chwili, z niepewną miną.

– Dziadek powiedział, że wstanie potem.

– Nie szkodzi – pocieszyła go Katia. – Poradzimy sobie. Pomożesz mi sprzątać?

– Mogę pomóc – zgodził się Jasiak. – Chociaż nie lubię.

– Czasami trzeba robić coś, czego się nie lubi – filozoficznie odparła Katia. – Nie da się tego uniknąć, takie jest życie.

– A ja chciałbym robić tylko to, co lubię.

– Każdy by chciał, ale większość nie może – uśmiechnęła się Katia. – Chociaż ja właściwie robię to, co lubię. No, przynajmniej przez większość czasu. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– To ja też tak będę – zdecydował chłopiec, wrzucając kilka papierków do przygotowanej przez Katię reklamówki. – A jak już posprzątam, to pomożesz mi zawiesić gwiazdki na choince?

– Pewnie, że tak! Ale to już jak wróci mama, bo musi nam dać jakąś nitkę.

– Dziadek mógłby dać. Ale śpi.

– Nie szkodzi, poczekamy. To już niedługo.

Zgarnęła wszystkie pomalowane gwiazdki na kupkę.

– Janek, a dlaczego one wszystkie są niebieskie? – zainteresowała się dziewczyna. – Masz przecież różne kolory farbek. Nie byłoby ciekawiej, gdybyś używał wszystkich?

– Nie.

– Lubisz niebieski, tak? – domyśliła się Katia.

– Bardzo. Tata miał takie oczy. Pamiętam, jak patrzył na mnie, kiedy zasypiałem – uśmiechnął się smutno. – Trochę już go zapomniałem, ale oczu nie.

– Fajny pomysł. – Katia starała się uśmiechać, ale słowa chłopca mocno ją poruszyły.

Jak bardzo mu go brakuje – pomyślała.

– Jak powiesimy gwiazdki na choince, to będzie trochę tak, jakby twój tata na nas patrzył. – Pomyślała, że takie słowa pomogą malcowi.

– A ty masz rodziców? – zainteresował się Jasiek.

– Mam.

– Nie lubisz ich? Są niedobrzy?

– Nie, skąd! Są bardzo mili i dobrzy. I bardzo ich kocham.

– To dlaczego nie jesteś dzisiaj z nimi?

– Przecież wiesz. Pomagałam potrzebującym, musiałam zostać. A moi rodzice mieszkają daleko. Jutro ich odwiedzę.

– Tęsknisz za nimi? – Popatrzył na Katię poważnie. – Chyba nie, bo jesteś już dorosła.

– Zawsze tęskni się za rodzicami, nawet kiedy się jest dorosłym. – Katia usiadła obok chłopca na dywanie. – Dlatego kiedy tylko mam czas, to ich odwiedzam. I wiem, że nawet jeśli nie ma ich przy mnie, to gdzieś tam są.

A poza tym często o nich myślę. Wtedy jest tak, jakby byli tuż obok. Rozumiesz? Są w mojej głowie i sercu.

– Wiem – odpowiedział poważnie.

Katia objęła Janka ramieniem. Miała nadzieję, że choć trochę mu pomogła.



Brama schroniska była zamknięta. Wisiała na niej ogromna kłódka, jakby zakładający ją chciał jasno dać do zrozumienia, że ten, kto przed nią stanie, nie ma szans na wejście do środka.

– I co teraz? – Jowita bezradnie spojrzała na Milę.

Zadra oparł się o samochód i z daleka przyglądał się ich poczynaniom.

– To niemożliwe, żeby tu nikogo nie było. – Mila pokręciła głową. – Przecież gdzieś tam są zwierzęta, prawda?

– Chyba tak...

– W takim razie ktoś musi ich doglądać, nawet w święta.

Rozglądała się dookoła, a potem podeszła bliżej siatki, starając się zajrzeć głębiej.

– Tam stoi jakiś kontener – zauważyła. – Może w środku ktoś jest?

– Nawet jeżeli, to jakoś nie wychodzi.

– To trzeba coś zrobić, żeby wyszedł. – Mila była zdesperowana.

Myślała o psie na tylnym siedzeniu jej taksówki i nie chciała przyjąć do wiadomości, że miałyby go tak po prostu znowu wypuścić.

Szybkim krokiem podeszła do auta i kilkakrotnie mocno nacisnęła klakson.

Głośny dźwięk sprawił, że pies nagle oszalał. Zaczął skowyczeć, drapać w drzwi, a potem próbował wydostać się z wnętrza, waląc łbem w szybę.

Mila odskoczyła od samochodu jak oparzona.

– Coś mi się wydaje, że boi się hałasu. – Grzegorz nawet się nie poruszył.
– Do służby by się nie nadawał.

– A skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Czasami korzystamy z psów tropiących. I zdarzało mi się rozmawiać z ich opiekunami – wyjaśnił spokojnie. – Albo już ma taki lękliwy charakter – zerknął do wnętrza taksówki – albo ma za sobą trudne przejścia.

– W takim razie może właśnie dlatego się zgubił, że coś go wystraszyło?
– zastanawiała się Mila.

– Może...

Tymczasem Jowita zrobiła sobie mały spacer wzdłuż ogrodzenia. Wracała właśnie, wysoko podnosząc nogi, żeby nie utknąć w zaspach.

– Gdyby te kozaki były czerwone, to wyglądałabyś jak bocian – roześmiał się Zadra. – Powinnaś mieć jeszcze żabę w dziobie.

– Wolałabym tę żabę od ciebie – odgryzła się kobieta. – I sam masz dziób – dodała obrażonym tonem.

– Och, widzę, że uraziłem królowną. – Policjant był bardzo zadowolony, że udała mu się kolejna uszczypliwość.

– Naprawdę jesteś nie do wytrzymania – westchnęła Jowita i zwróciła się do Mili. – W tym kontenerze jest jakiś facet. Widać z tamtej strony. Siedzi przed takim małym telewizorkiem i coś ogląda.

– Pewnie cieć – odpowiedział Zadra.

– No to dlaczego nie wychodzi?

– Bo on jest od pilnowania, a nic się nie dzieje. – Grzegorz wzruszył ramionami.

– No to zaraz się podzieje. – Mila zamierzała doprowadzić sprawę do końca.

Poza tym cały czas miała w głowie wizję śpiącego ojca i nieznajomej Katii, która okrada jej mieszkanie albo porywa Jasia.

Niewiele myśląc, podeszła do bramy i zaczęła ją szarpać. Metalowe skrzydła się poruszyły, a wielka kłódka zaczęła uderzać o pręty, robiąc

mnóstwo głośnego hałasu.

– Jak pies? – Mila odwróciła się w stronę pasażerów.

– Spokojny – odparła Jowita. – Chyba dlatego, że nic tu nie słychać.

– W takim razie spróbujemy inaczej.

Mila powędrowała śladem wcześniejszego spaceru Jowity. Doszła do miejsca, z którego widać było kontener. Pochyliła się, nabrała w ręce śnieg i ulepiła z niego twardą kulę. Zamachnęła się i rzuciła.

Piguła sięgnęła celu. I to nawet lepiej niż Mila się spodziewała, bo trafiła w samo okno.

Reakcja dozorca była natychmiastowa. Wybiegł ze swojej pakamery i nerwowo zaczął się rozglądać dookoła.

– Co pani tam robi?! – krzyknął, gdy dostrzegł Milę.

– Próbuję z panem porozmawiać! – odkrzyknęła. – Niech pan podejdzie do bramy.

– Schronisko zamknięte!

– Niech pan podejdzie! – upierała się Mila. – Bo będę rzucała dalej!

– Proszę stąd odejść! – Zrobił kilka kroków w jej stronę, ale nie zamierzał się zbliżyć.

Mila pochyliła się i zebrała kolejną porcję śniegu.

– Jeśli pani rzuci, to zadzwonię po policję! – zagroził dozorca.

– Nie musi pan, policja już tu jest! – Usłyszała głos Zadry za plecami.

Grzegorz zbliżył się do siatki, wyjął odznakę i pomachał nią w stronę dozorca.

– Proszę podejść do bramy! – nakazał surowo.

Mężczyzna niechętnie posłuchał, więc i oni wrócili do wejścia.

– O co chodzi? – mruknął, gdy stanęli twarzą w twarz, oddzieleni tylko siatką.

– Znaleźliśmy psa – wyjaśniła Mila. – Chcieliśmy go tutaj zostawić. Może właściciel będzie go szukał i się zgłosi.

– Schronisko jest zamknięte – powtórzył dozorca. – Będą dopiero za dwa dni.

– Ale jak to? A zwierzęta? – Mila nie pojmowała sytuacji.

– Ja i zmiennik karmimy – odparł mężczyzna.

Widać było, że nie ma ochoty na rozmowę i tylko obecność policjanta go do niej skłaniała.

– A jakby któreś było chore, to mamy telefon do weterynarza. Ale tylko w nagłych wypadkach – podkreślił.

– To co ja mam zrobić z tym psem? – zmartwiła się Mila.

– A to już nie moja sprawa. Schronisko zamknięte.

Popatrzył spod oka na Zadrę.

– Jeszcze coś? – zapytał niezbyt sympatycznym tonem.

– To wszystko – odparł policjant.

Dozorca odszedł, lekko kołyszając się na boki.

– I co teraz? – Dołączyła do nich Jowita, która z oddali przysłuchiwała się rozmowie.

– A ty potrafisz zadać jakieś inne pytanie? – Grzegorz spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Tak. Na przykład: dlaczego jesteś takim dupkiem?

Mila nie zwracała uwagi na ich wzajemne utarczki.

– Nie wiem, co teraz – powiedziała.

Popatrzyła na wielką kłódkę, potem na odchodzącego dozorcę, a następnie na pysk psa, który widać było przez szybę.

Może to i lepiej – pomyślała. Nie wiem, czy potrafiłabym go tutaj zostawić...

– Dobra, zabiorę go do domu – zdecydowała.

Zadra zerknął spod oka.

– Ach, ta kobieca emocjonalność – mruknął. – Dobrze, że nie znaleźliśmy niedźwiedzia.

Jowita spojrzała na niego i popukała się w czoło.

– Te twoje dowcipy nikogo nie śmieszą. Zauważyłeś to w ogóle? – Skrzywiła się.

– Wystarczy, że mnie śmieszą – odparł i wszedł do samochodu.



Artur nie mógł usiedzieć w domu. Świadomość, że Bary błąka się gdzieś kompletnie przerażony, była dla niego nie do zniesienia.

Będę go szukał – zdecydował.

Włożył ciepłe skarpety, wyciągnął z szafy kurtkę puchową, którą kupił kiedyś z myślą o zimowych wypadach na narty. Do żadnego wypadu nigdy nie doszło, więc wisiała już kilka lat i nawet miał zamiar ją sprzedać.

A jednak w końcu się przyda – pomyślał, choć wcale się z tego nie cieszył. Nie w takich okolicznościach miał z niej korzystać.

Westchnął, zwinął smycz i wepchnął ją do kieszeni. Nasunął czapkę głęboko na czoło i ruszył na poszukiwania swojego jedyne przyjaciela.

Postanowił działać metodycznie.

Będę zataczał koła – ustalił w myślach. *Coraz szersze.*

Taką taktykę zastosowali kiedyś policjanci w jednym z seriali.

Nie sądziłem, że do czegoś mi się przyda oglądanie Netflix'a – zauważył z zaskoczeniem. *Ale to chyba najsensowniejsze rozwiązanie.*

Zaczął od obejścia po raz kolejny parku, w nadziei, że zwierzę jednak wróci w znajomy rejon.

– Bary! Bary! – krzyczał.

Ale psa nigdzie nie było.

Co kilkanaście minut zatrzymywał się, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych informacji w sieci, ale za każdym razem rozczarowany chował telefon.

A mówią o magicznej mocy Facebooka – Konopka był mocno rozgoryczony. – *I o ludzkiej solidarności. I co? Nikt nie widział biegającego wielkiego psa? Przecież*

to niemożliwe!

Artur jednak nie zamierzał się poddać. Uparcie przemierzał ulice miasta, nie bacząc na mróz i padający śnieg.

– Bary! Bary! – odbijało się echem od ścian domów.

Czy naprawdę najgorsze rzeczy muszę mnie spotykać w Boże Narodzenie? – zastanawiał się, ściskając smycz. Czy akurat w te dni zawsze muszę tracić to, co dla mnie ważne? To jakieś fatum czy co?

Miasto wyglądało jak wymarłe. Po ulicach z rzadka przejeżdżał jakiś samochód, przechodniów nie było prawie wcale. Jednak wystarczyło podnieść głowę, żeby zobaczyć rozświetlone okna, migające w nich światełka choinek i świąteczne witraże na szybach.

Niektóre balkony także były przystrojone lampkami, na drzwiach domków wisały świąteczne wieńce, a w ogródkach stały ledowe jelonki.

Konopka nie miał czasu na podziwianie dekoracji, zresztą i tak ich nie lubił. Pomijając jego niechęć do świąt, i tak uważał je za kwintesencję konsumpcjonizmu.

– Bary! Bary! – nawoływał uparcie.

– Czego się wydzierasz, człowieku!

Z ciemnego podwórka wyszedł chudy mężczyzna w lichej kurteczce i różowej czapce z pomponem. Zakołysał się lekko, ale złapał równowagę.

– Ja rozumiem, że popiłeś – powiedział i czknął głośno. – Ale nie zakłócaj ludziom świątecznej atmosfery.

Podrapał się po czole i wyjął z tylnej kieszeni spodni małą buteleczkę wódki. Ku jego niezadowoleniu okazała się pusta.

– Nie masz czegoś do picia? – Podszedł do Artura, który właśnie przystanął, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś nowej wiadomości.

– Nie mam – odparł opryskliwie Konopka.

– A zapalić nie masz?

– Nie palę. – Spojrzał na mężczyznę niechętnie.

– Masz, jaki porządny! – zachwycił się pijaczek. – Mama na pewno jest z ciebie dumna!

Nie sądzę – pomyślał Artur.

– To jak ty nie pijesz i nie palisz, to co tu robisz? Normalni ludzie o tej porze szykują się do snu – pouczył go nieznajomy. – Żona się nie będzie gniewała, że sama w łóżku leży? – roześmiał się hałaśliwie.

Konopka nie znalazł żadnych informacji o psie, więc wygasił telefon.

– Nie widział pan czasami takiego dużego psa? – zapytał człowieka w różowej czapce. – Nie biegał gdzieś tutaj? Podobny do wilczura, z obrozą.

– Psa, mówisz? – zastanowił się nieznajomy. – No powiem ci, że różne rzeczy widywałem. Zwierzęta też różne. Poza białymi myszkami. – Znowu się roześmiał. – Ale psa to nie.

– Na pewno?

– Jak mówię, to wiem. – Z przekonaniem kiwnął głową. – Ale ty się nie martw. Psy są mądre. Kiedyś, za młodego, jak jeszcze chodziłem do szkoły, czytałem taką książkę o psie, co go musieli oddać, bo nie mieli kasy, ale on do domu wrócił, do takiego małolata, bo jego uważał za swojego pana. Łatwo jej nie przyszło, tej Lessie, bo to w sumie suka była, nie pies – tłumaczył mętnie, ale z zaangażowaniem. – Ale wróciła. Znasz tę historię?

– Chyba nie – mruknął Artur na odczepnego.

– Ożeż ty! To jeszcze krócej niż ja do szkoły chodziłeś! – Pijaczek wyraźnie się ucieszył. – A wyglądasz na inteligencika. Jak to pozory mylą. – Pokręcił głową i poklepał Konopkę po ramieniu. – Chodź, kolego, poszukamy czegoś mocniejszego i wrócimy tutaj. – Wskazał bramę. – Mój kumpel tu mieszka, posiedzimy u niego. Wigilia jest, to się miejsce dla niespodziewanego gościa znajdzie, nie? Tradycję trzeba podtrzymywać!

Artur miał dość.

– Nie tym razem – powiedział wymijająco. – Muszę szukać psa.

– A to szkoda – zasmucił się mężczyzna. – Bo myślałem, że flaszczykę obrócimy.

– Niestety nie.

– To może chociaż nowego kolegę poratujesz i na piwko dasz? – zaproponował. – Wypiję za twoje zdrowie. I twojego psa. Słowo! – Podniósł dwa palce.

Konopka zwykle nie wspomagał takich osobników. Zaczepiali go często pod sklepem, ale zawsze odmawiał. Wiedział, że żerują na ludzkiej dobroci. Szczególnie denerwowało go, gdy udawali, że są głodni i chcą pieniądze na chleb. Zbywał ich krótko albo po prostu mijał w milczeniu.

Ten przynajmniej jest szczery – pomyślał. Wprost mówi, że chce się napić.

Popatrzył na różową czapkę z pomponem i jej właściciela, któremu, choć z trudem, wciąż udawało się utrzymać równowagę.

Niech mu będzie – zdecydował i sięgnął po portfel. Dam mu na szczęście. Żeby Bary się znalazł.

Wyjął pięć złotych i wręczył mężczyźnie.

– Tylko masz wypić za mojego psa – zaznaczył.

– Obowiązkowo! – zapewnił pijaczek.

Nie żeby Konopka wierzył w takie czary-mary, energie czy inne zaklinalnie rzeczywistości, ale jeśli chodziło o Bary’ego, to wiadomo, był gotów na wszystko.



Nareszcie – pomyślała z ulgą Miła, gdy wjechała do centrum miasta.

Tu już ulice były znajome, mogła się rozluźnić i przestać zaciskać ręce na kierownicy. Odetchnęła głębiej i oparła głowę o zagłówek.

– To dokąd cię odwieźć? – Odwróciła się w stronę Jowity.

– A dlaczego ją? – Zadra od razu zareagował. – Ja tu chyba byłem pierwszy.

– Kobiety mają pierwszeństwo – odparowała kobieta z tylnego siedzenia.
– W szkole policyjnej nie uczą kultury?

– Tak, a gdzie tu równouprawnienie, o które tak walczyacie? No i co ty na to?

– A to, że ja akurat płacę za kurs. W przeciwieństwie do niektórych. – Jowita nie miała zamiaru dać mu satysfakcji. – No, chyba że w ramach równouprawnienia zapłacisz połowę, wtedy możemy losować.

Gdyby Mila nie była tak zmęczona, to pewnie nawet ubawiłaby ją ta kolejna dyskusja. Jej pasażerowie bardzo lubili się kłócić.

Nie wiem, jak udało mi się ich okiełznać – pomyślała. Przecież między nimi tak iskrzy, że można by oświetlić wszystkie choinki w tym mieście.

Ponieważ jednak nie potrafili dojść do porozumienia, znowu musiała zdecydować ona.

– Słuchaj, Jowita, podaj mi adres – ponowiła prośbę.

– Daj spokój, ja się nie będę z nim wyklócać. – Kobieta machnęła ręką. – Odwieź najpierw jego, mnie się nie spieszy.

– No nareszcie powiedziałaś coś mądrego! – ucieszył się policjant. – Odwieź najpierw mnie. A najlepiej podrzucić na najbliższą stację benzynową. Dalej sobie poradzę.

No tak, kupi z pewnością alkohol – domyśliła się Mila. I kto wie, co potem znowu wykombinuje.

– Nic z tego. – Pokręciła głową. – Najpierw Jowita.

– A ty dlaczego tak się uparłaś? – zirytował się Zadra. – Przecież mówi, że ustępuje, więc nie szukaj znowu dziury w całym.

Mila zatrzymała się na czerwonym świetle, mogła więc popatrzeć Grzegorzowi prosto w oczy.

– Chciałam to załatwić dyskretnie, ale skoro tak stawiasz sprawę... Nie odwiozę cię do domu.

– A to dlaczego?

– Ty już wiesz dlaczego. Nie wydaje mi się, żebyś mógł dziś zostać sam. Zwłaszcza że już sporo wypiełeś i z tego, co widzę, masz zamiar to kontynuować.

– Cholera! Już ci mówiłem, że nie jesteś moją niańką! – Zadra wkurzył się naprawdę. – Jestem wolnym człowiekiem! Mogę robić, co chcę!

– Owszem, wolnym – odparła spokojnie. – Ale czy rozsądnym? – dodała z powątpiewaniem.

– Chyba wiesz, że nie zmusisz mnie do niczego siłą – powiedział groźnie.

– Pewnie, że nie. Po prostu zapraszam cię na wigilię. – Nie dała się wyprowadzić z równowagi.

– Nie przyjmuję zaproszenia.

– W takim razie będę musiała wprosić się do ciebie. – Rozłożyła ręce. – Trochę mi to nie pasuje, bo mój synek spędzi wieczór bez mamy i na pewno będzie tęsknił, ale cóż... Co cię obchodzi, co czuje mały chłopiec...

– Wiesz, że to szantaż? – warknął.

– Jaki szantaż? – Udała zdziwioną. – Masz przecież wybór.

Zadra zacisnął zęby. Widać było, że intensywnie myśli. Chyba doszedł do wniosku, że Mila mówi poważnie i że nie uda mu się jej pozbyć, bo w końcu wydusił:

– Niech ci będzie, pojedę do ciebie.

– No i super!

Jowita przysłuchiwała się całej rozmowie w milczeniu.

– No, to podasz mi ten adres? – Mila zerknęła przez ramię. – Gdzie cię wysadzić?

– Właściwie to wszystko jedno – odparła cicho.

– Jak to: wszystko jedno? Chyba gdzieś mieszkasz?

– Owszem. Ale w sumie to chyba mam ochotę się przejść – mruknęła.

– Jeszcze nie masz dość spacerów? – Policjant nie tracił żadnej okazji do wbicia szpilki kobiecie. – Chyba już wystukałaś sporo kilometrów tymi obcasami.

Jowita westchnęła.

– Po tej akcji przed schroniskiem przez chwilę myślałam, że jednak masz zadatki na przyzwoitego człowieka. Że coś cię jednak rusza, chociaż starasz się to ukryć. Ale widzę, że się pomyliłam...

Uśmiech zniknął z twarzy Zadry jak starty niewidzialną ściereczką.

– Strasznie długo te światła się nie zmieniają – zauważyła Mila, żeby jakoś rozładować atmosferę.

– Ale skoro już tak bardzo chcesz wiedzieć – kontynuowała Jowita, jakby nie słysząc słów Mili – to po prostu nie chce mi się wracać do domu. Do pustego domu – dodała. – Kiedy szłam tam, tą drogą, o której wspomniałeś, myślałam, że chcę jak najszybciej znaleźć się w swoim łóżku. Ale teraz czuję, że wcale nie mam na to ochoty. Nie chcę siedzieć w czterech ścianach, sama jak palec...

Czerwone światło zaczęło migać.

– Nieobca mi samotność – dodała kobieta. – Nawet się przyzwyczaiłam. Ale dziś miałam wreszcie nie być sama. Nie wyszło, więc już wolę spacerować. – Uśmiechnęła się smutno. – Wystukam jeszcze trochę tych kilometrów. Jak bocian.

Zadra zwiesił głowę.

Zielone światło zapaliło się wreszcie i taksówka ruszyła.

– Możesz mnie wysadzić nawet gdzieś tutaj – zaproponowała Jowita. – Wiem, że spieszysz się do synka.

Mila milczała.

Po chwili jej pasażerka rozejrzała się niespokojnie.

– Mila, mówiłam serio. Możesz się zatrzymać. Rozliczymy się, biorę walizkę i uciekam.

– To może ja pospaceruję razem z tobą? – zaproponował nieoczekiwanie Grzegorz. – Samotna kobieta nocą jest narażona na różne niebezpieczeństwa. Nawet w Wigilię – mówił szybko, jakby lekko zawstydzony. – Przyda ci się ochrona.

– Dziękuję, dam sobie radę – odparła chłodno.

– Tak, wiem, foch. Ale ja mówię poważnie, bez złośliwości.

Miła była zaskoczona zmianą w zachowaniu policjanta. Ale i tak nie zamierzała zostawić ich na ulicy w wigilijny wieczór.

– Jedziemy do mnie – poinformowała towarzystwo. – I proszę, bez żadnych protestów, bo naprawdę nie mam już siły na słowne przepychanki.



Na dźwięk klucza w zamku Jasiek poderwał się na równe nogi.

– Mama! – krzyknął radośnie i pobiegł do przedpokoju.

Katia również wstała z krzesła.

Chyba pora naprawdę obudzić starszego pana – pomyślała.

Podeszła do drzwi jego pokoju i zastukała, a ponieważ nie usłyszała odpowiedzi, nacisnęła klamkę i ostrożnie uchyliła białe skrzydło.

Karol nie spał. Leżał na swoim tapczanie i wpatrywał się w sufit.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale pańska córka wróciła – poinformowała go z uśmiechem.

– Tak, słyszałem okrzyk Janka – odparł.

– To może pan wstanie? – zaproponowała. – Na pewno chciałaby panu opowiedzieć, jak jej minął dzień. No i chyba warto byłoby pomóc jej w przygotowaniu wieczerzy. Z pewnością jest zmęczona.

– Zaraz przyjdę. – Podniósł się powoli. – Tylko co ja mogę? Gdyby była moja Marysia... Była świetną gospodynią...

– A kto panu każe gotować? W takiej chwili każda pomoc jest ważna, choćby nakrycie stołu obrusem. – Dziewczyna próbowała jakoś zmotywować mężczyznę.

– Zaraz przyjdę – powtórzył.

Katia wycofała się więc z powrotem do salonu.

– Mamo, to jest właśnie Katia. – Janek wskazał na nią palcem.

Stał obok matki, przytulony do jej boku.

– Dobry wieczór! – przywitała się dziewczyna.

– Dobry wieczór! – odpowiedziała Mila. – Wiem, że zajmowała się pani Jasiem. Bardzo dziękuję. Kurs trochę mi się przedłużył, nie sądziłam, że aż tak długo mnie nie będzie...

– Nic nie szkodzi. Janek to świetny chłopak. I chyba się polubiliśmy – uśmiechnęła się Katia.

– No tak, to miłe. Ale... – Mila się zawahała – ...jak właściwie się poznaliście?

– Uciekłem dziadkowi, a Katia mnie znalazła – natychmiast wypalił chłopiec. – Powiedziała mi o wolontariacie i psach, a potem jadłem zupę dla potrzebujących – pochwalił się z dumą. – Katia jest fajna, umie robić gwiazdki i dała nam choinkę.

Mila, nieco zdezorientowana, popatrzyła na rachityczne drzewko ozdobione bombkami i bardzo długim papierowym łańcuchem.

– Zupę dla potrzebujących? – Zmarszczyła czoło.

– Myślę, że pan Karol wszystko pani wyjaśni. – Katia uznała, że tak będzie najlepiej. – A ja chyba już powinnam iść...

Janek wykrzywił usta.

– Katia, nie idź! – poprosił. – Mieliśmy zawiesić na choince oczy taty...

Mila przestała już cokolwiek rozumieć.

– Mamo! Powiedz Katii, żeby nie szła. – Mały przeniósł proszące spojrzenie na matkę.

– Pani Katia na pewno spieszy się do domu, dzisiaj przecież Wigilia – odparła Mila. – I tak poświęciła ci dużo czasu. Może powinnam pani zapłacić? Przepraszam, ale jestem zmęczona i wcześniej o tym nie pomyślałam – zwróciła się do dziewczyny.

– Nie, absolutnie! – zaprotestowała Katia. – To była przyjemność.

– Ale zabrałam pani czas w tak ważny wieczór – upierała się Mila.

– Umówmy się, że to była pomoc w ramach wolontariatu. – Katia mruknęła porozumiewawczo do Janka. – Miło mi było poznać Jasia i jego rodzinę.

– Dziękuję. Ale pani bliscy już na pewno nie mogą się na panią doczekać...

– Mamo, ale Katia dopiero jutro jedzie do swoich rodziców. – Chłopiec podzielił się z Milą znanymi mu faktami. – Dzisiaj jeszcze będzie za nimi tęskniła.

Katia uśmiechnęła się, jak zawsze, gdy słyszała interpretacje Janka.

– Rzeczywiście? – zainteresowała się Mila. – Będzie pani samotnie spędzać Wigilię?

– Tak się złożyło – odparła dziewczyna. – Ale to żaden problem.

Mila popatrzyła na choinkowy łańcuch i na syna, i na jego nową znajomą. I uśmiechnęła się.

– Skoro tak, rzeczywiście masz rację. – Zmierzyła czuprynę Janka. – Pani Katia powinna zostać z nami.

Zrobiła krok w przód i wyciągnęła rękę.

– Jestem Mila. Miło mi będzie, jeżeli zechcesz zjeść z nami wieczerzę.

Dziewczyna uścisnęła jej dłoń.

– Katia. Dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie chciałabym przeszkadzać...

– Zapewniam, że nie będziesz. Przynajmniej tak mogę się odwdzięczyć za opiekę nad Jaśkiem. Poza tym chętnie się dowiem, o co chodzi z tą ucieczką i zupą. – Spojrzała z naganą na synka. – No i prawdę mówiąc, to będziemy mieć jeszcze innych gości...

– Jakich gości?! – od razu podchwycił Janek. – Kiedy przyjdą?

– Właściwie to już są – uśmiechnęła się. – Czekają za drzwiami, bo miałam ich zapowiedzieć. O ile oczywiście jeszcze nie uciekli, bo trochę się tu zagadaliśmy.

– To idź szybko zobaczyć – popędzał ją podekscytowany syn.

Mila poszła do przedpokoju i wróciła po chwili, prowadząc za sobą Jowitę i Grzegorza. Ten ostatni trzymał za obrożę trzeciego, czworonożnego gościa.

– Pies?! – Oczy Janka zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – Prawdziwy???

– Jak najbardziej – potwierdził Zadra. – Twoja mama postanowiła nim też się zaopiekować.

W drzwiach swojego pokoju stanął właśnie Karol.

– A co tu się dzieje? – zapytał, zaskoczony widokiem tylu nieznanym.

– Witaj, tato! Nie zdążyłam cię uprzedzić, ale mamy gości na wieczerzy.

Podeszła do ojca i pocałowała go w policzek.

– To Jowita, a to Grzegorz – przedstawiła przybyłych. – Zaprosiłam ich na wigilię.

– I Katię też – dopowiedział Janek, który nie odrywał wzroku od psa.

– Skoro tak, to będzie ci miał kto pomóc – stwierdził Zawadzki. – W takim razie ja się jeszcze położę.

– Dziadku, poczekaj! Popatrz, będziemy mieli psa. – Janek podbiegł do Karola. – Prawdziwego!

– Nie, synku. – Mila pokręciła głową. – Ten piesek się zgubił. Znaleźliśmy go przy drodze.

– To niech z nami zostanie.

– To niemożliwe. – Matka rozłożyła ręce. – Na pewno ktoś go szuka. Zaraz napiszemy ogłoszenie i wrzucimy je do sieci. Kiedy właściciel psa przeczyta, to się po niego zgłosi. Pewnie bardzo za nim tęskni.

Chłopiec zrobił smutną minę.

– Głowa do góry! – Katia poklepała Janka po ramieniu. – Zaraz mama da nam nitkę i powiesimy gwiazdki.

– To ja już chyba mogę iść – powiedział Karol.

I wrócił do swojego pokoju.

– Przepraszam za tatę. – Mili zrobiło się niezręcznie. – Ostatnio niezbyt dobrze się czuje...

– Pan Karol trochę się dziś zmęczył – przyszła jej z pomocą Katia. – Miał ciężki dzień. Ale gdy odpocznie, na pewno do nas dołączy.

Mila spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Tak, na pewno – potwierdziła. – A wy tymczasem się rozgoście. Chwilę potrwa, zanim wszystko przygotuję.

– My ci pomożemy – zadeklarowała Jowita.

– Ja też muszę? – Zadra nie był zachwycony takim rozwojem sytuacji.

– No tak, kuchnia to babska sprawa – ironicznie odparła Jowita. – Niech pan hrabia usiądzie, służące się wszystkim zajmą.

– Oni tak przez całą drogę – wyjaśniła Mila nieco zdezorientowanej Katii.

– Nie przejmuj się, jeśli dotąd się nie pozabijali, to może do końca wieczery jeszcze wytrzymają.

Zadra miał ochotę skomentować te słowa w swoim stylu, ale jego wzrok padł na chłopca, który wciąż wpatrywał się w psa.

– Chcesz go pogłaskać? – zapytał.

Janek kiwnął głową.

– To chodź tu, chłopie. – Skinął na niego ręką.

– Nie ugryzie? – Mały niepewnie zrobił kilka kroków w stronę zwierzęcia.

– Jeżeli nie będziesz mu dokuczał, to na pewno nie. Psy gryzą tylko wtedy, gdy się boją lub gdy ktoś je krzywdzi. Czują, kto jest dobry, a kto stanowi zagrożenie – wyjaśniał spokojnie. – Ale jeśli ci zaufa, będzie wierny do końca życia i zrobi dla ciebie wszystko.

Jowita, która już miała iść za Milą do kuchni, zatrzymała się w pół kroku. Zerknęła na Zadre i chłopca, który ze skupieniem słuchał jego słów, a potem ostrożnie i niezwykle delikatnie pogłaskał czworonoga.

No tak, trzeba wiedzieć, jak postępować z psem – pomyślała. Jeśli robi się to odpowiednio, to można chyba osiągnąć zadowalające skutki. Tylko trzeba mieć mnóstwo cierpliwości...

– To co? Wolisz nakrywać do stołu czy będziesz pilnowała pierogów? – Mila wyrwała ją z zamyślenia.

– Mogę zająć się pierogami – odparła.

– Stół nakryję ja – zadeklarowała Katia. – Bo w kuchni raczej nie ma miejsca na więcej niż dwie osoby.

– Cóż, nie mieszkam w pałacu – roześmiała się Mila. – Ale mam nadzieję, że jakoś się pomieścimy. Obrus jest w tamtej szufladzie. – Wskazała miejsce. – A po talerze i sztućce jednak będziesz musiała zajrzeć do kuchni.

– Rozkaz! – Katia wyprężyła się i zasalutowała.

– A wy, razem z psem, przenieście się do pokoju Janka – poleciła Grzegorzowi Mila. – I tak nie pomożecie, a przynajmniej nie będziecie przeszkadzać.

– Wreszcie jakiś dobry pomysł. – Zadra z uznaniem pokiwał głową. – Chodź, kolego, sprawdzimy, czy ten kundel zna jakieś sztuczki.

Kobiety zostały same na placu boju.

Poradziły sobie jednak znakomicie. Po krótkiej chwili gotowała się woda na pierogi, a na patelni rozgrzewała się oliwa do smażenia karpia.

Katia szybko przygotowała stół, dla ozdoby rozłożyła na nim niebieskie gwiazdki.

– Chyba ich już nie powiesimy – powiedziała do Mili. – Janek zupełnie oszalał na punkcie tego psa. Ale powiedział, że te ozdoby mają kolor jak oczy jego taty, więc pomyślałam, że fajnie byłoby, gdyby jednak je wykorzystać. Co ty na to? – Spojrzała pytająco na Milę.

– Ach, więc o to chodzi z tymi oczami – zrozumiała mama chłopca i na chwilę posmutniała. – Oczywiście, niech zostaną...

– Hej! Oliwa zaraz się przypali! – usłyszały krzyk Jowity.

– Ja usmażę – zaoferowała Katia. – Co prawda nie bardzo znam się na gotowaniu, ale to chyba nie jest trudne. – Była pełna wiary w swoje możliwości. – A ty napisz to ogłoszenie o psie. Niech jak najszybciej odnajdzie swój dom.



Mila wzięła do ręki talerzyk z opłatkiem i popatrzyła na rodzinę i gości.

– Przyznaję, że mam lekką tremę – uśmiechnęła się z zawstydzeniem. – Nigdy dotąd nie pełniłam roli pani domu w tak licznym gronie. Do tej pory spędzaliśmy Wigilie rodzinnie... – przerwała na chwilę i przełknęła ślinę.

Karol, który za namową Katii włożył białą koszulę i marynarkę, dzięki czemu wyglądał bardzo dostojnie i elegancko, na słowa córki zareagował zaciśnięciem dłoni na oparciu krzesła, przy którym stał.

Dziewczyna zauważyła ten gest.

– Świetnie ci idzie, Mila! – zawołała, żeby rozładować napięcie.

Pomogło.

– Dzięki – uśmiechnęła się gospodyni. – W takim razie spróbuję dobrze wypełnić tę rolę do końca.

Odchrząknęła nerwowo.

– Moi drodzy: tato, synku, goście. Patrzą na was i cieszę się, że możemy razem usiąść dziś do wigilijnej wieczerzy. Z radością dzielę się z wami tym, co mam, choć w głębi duszy trochę się martwię, czy dla wszystkich wystarczy, bo jeszcze rano nie przewidywałam, że będzie nas aż tyle. Ale życie bywa zaskakujące i serwuje nam różne niespodzianki. Widać tak miało być, że spotkaliśmy się tutaj.

Powiodła spojrzeniem po zebranych.

– Dobrze, wiem, że ta przemowa jest może trochę niezgrabna, ale nie przygotowywałam jej wcześniej, więc wybaczcie.

Katia dyskretnie podniosła kciuk.

– W każdym razie życzę wam wszystkiego najlepszego, nie tylko dziś, ale przez cały rok. Niech wam się spełnią marzenia, a zdrowie dopisuje. Tak, to chyba najważniejsze. A teraz przełamiemy się opłatkiem.

Podeszła do ojca i podała mu biały płatek. Ten odłamał sporą część i wyszeptał coś córce do ucha.

– A psu też można złożyć życzenia? – zapytał głośno Janek.

– Można i nawet trzeba – odparła Jowita i podeszła do Grzegorza.

– Wszystkiego dobrego – powiedziała. – Niech ci się poukłada.

Mężczyzna spojrzął jej w oczy.

– Chciałbym, żeby tak było – odpowiedział poważnie. – Każdy pies zasługuje na dom, nawet taki kundel jak ja.

– Rasa nie jest najważniejsza – zauważyła. – Liczy się charakter. Sam o tym mówiłeś.

Pokiwał głową bez słowa.

Reszta towarzystwa też złożyła sobie życzenia, a Janek długo szeptał coś do psiego ucha.

– Wystarczy już – zdecydowała w końcu Mila. – Siadamy do stołu.

Karolowi przypadło honorowe miejsce u szczytu, przy choince. Obok niego usiadła Mila, przy niej Janek. Po przeciwnej stronie zajęły miejsca Katia i Jowita, a naprzeciw seniora – Grzegorz.

– To co? Zaczniemy od śledzika? – zaproponowała Mila. – Mam nadzieję, że będzie wam smakował.



Mimo obaw Mili jedzenia starczyło dla wszystkich.

– Przecież wiadomo, że zawsze jest więcej, niż można zjeść – wyjaśniła ten fenomen Jowita. – Nie widzieliście tych memów, które każdego roku krążą w sieci? Tych, że przed świętami mówi się: „nie ruszaj, to na święta”, a po świętach: „jedz, bo się zmarnuje.”

Towarzystwo się roześmiało.

– W tym wypadku nie będzie tego drugiego problemu – stwierdziła Mila. – Ale nie myślcie, że mnie to martwi.

Właściwie bardziej bała się tego, czy atmosfera przy stole nie będzie nie-naturalna i sztywna, ale i tutaj jej obawy okazały się bezpodstawne. Goście,

choć właściwie się nie znali, bez problemu prowadzili rozmowy, a z każdą chwilą robiło się coraz weselej i luźniej.

Nawet Jowita i Grzegorz zawiesili broń i chociaż rzadko zwracali się bezpośrednio do siebie, to przynajmniej nie wymieniali złościwości.

– To ja teraz zaparzę herbaty – zdecydowała Mila.

Kiedy wstawiała od stołu, zadzwonił telefon.

– Że też ludzie nawet w Wigilię muszą wydzwaniać – skomentował z dezaprobatą Karol. – Dawniej takie rzeczy się nie zdarzały.

– Może to jakiś stały klient w nagłej potrzebie? – zastanawiała się Mila, szukając komórki.

– To nie odbieraj. Bez przesady! – oburzyła się Jowita – Chyba nie zamierzasz nigdzie jechać?

– Gdybym była taka skrupulatna i zamknięta na ludzkie potrzeby, to niektórzy może wciąż jeszcze siedzieliby boso na stacji benzynowej. – Mila puściła do niej oko.

– Teraz ty zaczynasz? – roześmiała się Jowita.

Zadra uniósł dłonie.

– Ja nic nie mówię...

Mila wreszcie odnalazła telefon wśród poduszek i odebrała połączenie.

– Słucham?

Spojrzała na psa.

– Tak, czarny, trochę podpalany przy brzuchu. Taki jak na zdjęciu.

Wszyscy zamilkli i wbili wzrok w rozmawiającą gospodynię.

– Owszem, ma obrozę – potwierdziła. – Ale to też widać na fotkach. Może pan jakoś udowodnić, że to pana pies?

Słuchała przez moment.

– Tak, rozumiem, ale chciałabym mieć pewność, że oddaję zwierzę prawowitemu właścicielowi.

Znowu zamilkła.

– No tak, oczywiście, przyniesie pan książeczkę zdrowia, ale żeby tak było, muszę panu podać adres, prawda? Tak, właśnie, nie każdemu podaję.

Rozmówca coś jej tłumaczył.

– Niech poda imię – odpowiedział Zadra scenicznym szeptem.

Mila pokiwała głową na znak, że słyszy.

– Niech pan powie, jak się wabi pies – poprosiła. – Jak ma na imię.

Popatrzyła na zwierzę.

– OK, spróbuję. Bary! – zawołała.

Psi łeb podniósł się czujnie, a ogon zaczął się szybko poruszać.

– Bary! – powtórzyła Mila i natychmiast poczuła zimny nos na swojej dłoni.

– Dobra, zgadza się – powiedziała do telefonu. – Kiedy? Może pan przyjść nawet teraz.

Podawała adres, zanim się rozłączyła.

– Mamy happy end! – oznajmiła radośnie. – Właściciel będzie za kwadrans! Bary odzyska dom jeszcze dziś!

Wszyscy, oprócz Janka, zaczęli bić brawo. Pies położył uszy po sobie i zaczął nerwowo się rozglądać.

– Hej, wystarczy, zapomnieliście, że on się boi hałasu? – uciszyła ich Jowita.

Janek podszedł do zwierzęcia i objął jego wielki łeb.

– Chodź do mojego pokoju – rzucił. – Tam jest cicho.

Pies bez oporu poszedł za chłopcem, a dorośli odprowadzili ich wzrokiem.

– Naprawdę nie mam warunków dla psa – skomentowała ze smutkiem Mila.



Artur natychmiast ruszył pod podany adres. Nie chciał, żeby Bary czekał na niego choćby minutę dłużej niż to konieczne. Na szczęście okazało się, że adres, który dostał, jest całkiem niedaleko miejsca, w którym właśnie kontynuował poszukiwania.

Najchętniej pobiegłby, ale rozsądek podpowiadał mu, że kondycję ma nie najlepszą, a gdyby, nie daj Boże, poślizgnął się i złamał nogę, pies musiałby czekać dużo dłużej.

Mam nadzieję, że jakoś się nim zajęli – rozmyślał, szybko maszerując. I że nie dali mu czegoś nieodpowiedniego do jedzenia. Ludzie różnie karmią zwierzęta, podobno nawet ziemniakami.

Konopka oczywiście, kiedy zdecydował się zatrzymać Bary'ego, dokładnie przestudiował porady żywieniowe dotyczące psów. Od razu kupił odpowiednią karmę i choć czasami dawał pupilowi jakiś smakołyk albo kość do ogryzania, to nigdy nie serwował mu tak zwanego „ludzkiego jedzenia”. Jako świadomy właściciel wiedział, że polepszacze smaku, a nawet przyprawy psom szkodzą jeszcze bardziej niż ludziom.

Gdyby się dowiedział, że właśnie w tej chwili Bary ze smakiem zjada kawałki ciasta przemycone przez Janka w kieszeni, z pewnością nie byłby zadowolony. Czego nie można powiedzieć o psie – ten oblizywał się i z apetytem pochłaniał kolejne zakazane kąski.

Przed drzwiami z numerem piętnaście Artur zatrzymał się, żeby uspokoić oddech.

Muszę się dobrze zaprezentować – uznał. Ta kobieta tak podejrzliwie wypytywała o wszystko, że gotowa nie oddać Bary'ego, jeśli jej się nie spodoba.

Otrzeptał czapkę ze śniegu, wytarł buty i w końcu stwierdził, że jest w porządku. Nacisnął przycisk dzwonka i czekał.

Usłyszał tupot stóp, jakieś hałasy, jakby dziecięcy krzyk, a potem drzwi otworzyły się i zobaczył w nich blondynkę, mniej więcej w jego wieku, z lekko potarganymi włosami.

– Ja po psa – oznajmił. – Dobry wieczór – dodał, bo z nerwów zapomniał o grzecznościowych formułkach.

– Proszę, proszę. – Kobieta się cofnęła, robiąc mu miejsce w przedpokoju.

– Nie będę przeszkadzał – odparł. – Wezmę Bary’ego i idę. – Wyjął z kieszeni smycz.

– Niech pan wejdzie, bo najpierw musimy go odbić.

– Co to znaczy: odbić? – Konopka był zaskoczony.

– Mój syn zamknął się z nim w pokoju – wyjaśniła z uśmiechem. – Bardzo się polubili i mały nie chce się z nim rozstać. – Rozłożyła bezradnie ręce.

Artur, chcąc nie chcąc, musiał wejść. Nie wiedział, jak się zachować, w końcu niezręcznie zabrał się do zdejmowania butów.

– Nie trzeba. – Blondynka machnęła ręką. – Zapraszam dalej.

Dobrze, że je wytarłem – pomyślał mężczyzna i wszedł do salonu.

Tam, przy stole, siedziała grupa ludzi. Nie miał czasu się przyglądać, zresztą nie wypadało, ale zdążył zauważyć siwego mężczyznę ubranego jak na wesele, dziewczynę z czarnymi włosami, kolczykiem w nosie i tatuażami na ramionach, kobietę z mocnym makijażem, w sukience z dekoltem, który eksponował wydatny biust, i mężczyznę z blizną, który wyglądał na rzezimieszka i uważnie na niego patrzył.

Niezła rodzinka – pomyślał. *Każdy z innej bajki. A do tego jeszcze ta dociekliwa blondynka z jakimś nieźrównoważonym dzieckiem. Mam nadzieję, że Bary nie przypląci tego kolejną traumą.*

Tymczasem blondynka starała się otworzyć drzwi prowadzące do innego pokoju.

– Chyba zabarykadował je pudełkiem z klockami – stwierdziła, dysząc. – O, już się udało!

Przez szparę w drzwiach od razu wybiegł Bary i natychmiast rozpoznał swojego pana. Podbiegł do niego, merdając ogonem.

– Bary, piesku kochany! – Konopka pochylił się i zaczął tarmosić czarny łeb. – Już jestem, zaraz wrócimy do domu.

Za psem wybiegł z pokoju mały chłopiec. Na widok czułego powitania czworonoga z panem zatrzymał się jak wryty.

– Widzisz, mówiłam, że on tęsknił za domem – powiedziała blondynka.
– Znaleźliśmy go za miastem, biegał wzdłuż drogi – wyjaśniła Arturowi.

Mężczyzna wyprostował się i zapiął Bary'emu smycz.

– Dziękuję. Nie sądziłem, że może uciec tak daleko. Wystraszył się fajerwerku, smycz się odpięła...

– Trzeba było sprawdzić przed wyjściem – włączył się do rozmowy mężczyzna z blizną. – Zwierzę to odpowiedzialność.

Konopka poczuł się urażony tym oskarżeniem, ale nie chciał wdawać się w dyskusję z tym podejrzanym typem.

– Jeszcze raz dziękuję. – Popatrzył na blondynkę, udając, że nie słyszał tamtego komentarza. – Mam tylko jego. – Wskazał na psa. – A on mnie.

Mila przyjrzała się uważniej temu wysokiemu, niezbyt otwartemu mężczyźnie.

– A może zostanie pan z nami na chwilę? – zaproponowała. – Janek miałby czas na pożegnanie się z psiakiem, pan napiłby się herbaty. Bo widzę, że chyba przemarzył pan do szpiku kości – uśmiechnęła się zachęcająco.

– Niech pan zostanie! – Chłopiec jakby odzyskał mowę i podbiegł do Konopki. – Chociaż trochę. Nie pokazałem jeszcze Bary'emu wszystkich zabawek.

Artur jeszcze raz szybko obrzucił wzrokiem pomieszczenie i siedzących w nim ludzi.

– Dziękuję za zaproszenie, ale wrócę jednak do domu – powiedział chłodno. – Dobranoc państwu. – Lekko skłonił głowę i wyszedł.

Miałbym spędzić z nimi wigilijny wieczór? – pomyślał, schodząc w dół. Co to, to nie! Poza tym Bary na pewno potrzebuje wyciszenia.

– Poczekaj!

Zatrzymał się i spojrzał w górę. Po schodach zbiegała dziewczyna z tatuażami.

– Jak masz na imię? – zapytała prosto z mostu.

– Artur.

– Jestem Katia. Słuchaj, Artur, może jednak zmienisz zdanie?

– Raczej nie. Cześć!

Chciał zejść niżej, ale zastąpiła mu drogę.

– Ja rozumiem, że pewnie miałeś ciężki dzień – nie dawała za wygraną. – Ale co ci szkodzi zostać godzinkę? Chyba widzisz, że pies dobrze się tu czuje. – Poglaskała Barego za uchem. – Znam się na tym, pomagam w schronisku.

– W domu będzie czuł się jeszcze lepiej – zauważył Artur.

– Do domu jeszcze zdążysz. Z tego, co zrozumiałam, nikt tam na ciebie nie czeka. A ten chłopiec, Janek, niedawno stracił ojca. I wiesz, on dzisiaj bardzo chciał zmienić swoje święta. Na nowe, weselsze – tłumaczyła szybko. – Nic cię to nie kosztuje, a mógłbyś mu w tym pomóc...

Konopka zagryzł wargi. Najchętniej ponowiłby odmowę, ale opowieść o Janku poruszyła czułą strunę w jego sercu. I to uczucie wzięło górę.

– Niech będzie – mruknął. – Ale wypiję herbatę i wychodzę.

– Spoko! – ucieszyła się Katia. – Czułam, że fajny z ciebie gość. Nikt, komu tak zależy na zwierzęciu, nie może być zły. Chodź. – Machnęła zachęcająco ręką. – Sama ci zrobię tej herbaty.



Powitały go pełne aplauzu okrzyki kobiet, radosny pisk Janka, taksujące spojrzenie mężczyzny z blizną i zupełna obojętność ze strony starszego mężczyzny.

– Artur zdecydował się na herbatę – oświadczyła Katia, a pozostali przyjęli to tak naturalnie, jakby to było coś normalnego, że nieznajomy w Wigilię siada z nimi do stołu.

Konopka nie wiedział, co o tym myśleć, i na wszelki wypadek, swoim zwyczajem, postanowił zachować dystans.

Okazało się to niełatwe, a nawet niemożliwe. Tak samo jak założenie, że siądzie gdzieś z boku i szybko wypije tę nieszczęsną herbatę.

– Siadaj przy stole – zaprosiła go blondynka. – Jasiek i tak już do nas nie wróci. – Spojrzała wymownie na syna, który właśnie zniknął z psem za drzwiami swojego pokoju.

– Tak, wygląda na to, że mamy wolne miejsce – poparła ją właścicielka wydatnych piersi. I jak się okazało, miłego uśmiechu.

Artur nie miał pojęcia, jak się wykręcić, usiadł więc na wskazanym miejscu.

– Chyba powinnam przedstawić ci towarzystwo. – Blondynka przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni. – Ja jestem Mila, to mój tata, Katię już znasz, to Jowita, a to Grzegorz – wyrecytowała, wskazując kolejno na siedzących.

– Miło mi – bąknął.

Mam nadzieję, że to długo nie potrwa – pomyślał rozpaczliwie.

Ale, ku swojemu zdziwieniu, nie tylko wypił herbatę, ale i zjadł cztery ostatnie pierogi z grzybami, łazanki z kapustą i dwa kawałki ciasta.

Przysłuchiwał się rozmowom nowych znajomych i w końcu uznał, że powinien jakoś do nich się włączyć.

– Wspominałaś, że pomagasz w schronisku – zagadnął Katię, bo tylko o niej coś więcej wiedział.

– Tak, pomagam. – Pokiwała głową. – Od paru lat wyprowadzam psy. Mam kilku swoich podopiecznych, ale obok pozostałych też nie potrafię przejść obojętnie.

– O, to ciekawe! – zainteresował się Grzegorz. – To są jeszcze na świecie kobiety o czułych sercach? Co za nowina!

– Owszem, są – włączyła się Jowita. – Ale niestety z powodu mężczyzn lepiej mieć serce z kamienia.

Konopka nie potrafił rozgryźć relacji łączących tych ludzi. Na przykład ta dwójka wciąż sobie dokuczała, ale pozostali w ogóle nie reagowali na ich wzajemne złośliwości.

– W takim razie jeśli będę miał jakieś problemy z Barym, zgłoszę się do ciebie – postanowił kontynuować bezpieczny temat, zwracając się do Katii.

Dopiero kiedy to powiedział, zrozumiał, że zabrzmiało to dwuznacznie. Jakby chciał zasugerować kontynuowanie znajomości.

Na szczęście dziewczyna przyjęła to naturalnie i ze spokojem.

– Nie ma problemu, dam ci mój numer. Tylko pamiętaj, że nie jestem weterynarzem.

– A kim? – zapytał szybciej, niż pomyślał.

– Tatuatorką – odparła. – A oprócz tego jeszcze pomagam bezdomnym. Dzisiaj na przykład robiliśmy dla nich wieczerzę na rynku. Mógł przyjść każdy, także starsi, biedni, samotni... Nie macie pojęcia, ilu ich jest – zwróciła się do wszystkich. – Ledwie daliśmy radę.

– To może ja mógłbym jakoś pomóc? – odezwał się nieoczekiwanie Karol.

Mila popatrzyła zdziwiona na ojca.

– Ty?

– A dlaczego nie? Co innego mam do roboty? – upierał się Zawadzki.

Mila spojrzała z wahaniem na Katię.

– Ja nie widzę przeszkód – stwierdziła tatuatorka. – Wprowadzę pana Karola we wszystko, pomogę na początku.

– Widzisz! – Karol rzucił córce zadowolone spojrzenie. – Katia się zgadza. A może będę zabierał ze sobą Jasia? Dziś bardzo mu się podobało.

– Myślę, że to akurat nie najlepszy pomysł – odparła dziewczyna. – Przychodzą naprawdę różni ludzie, czasami widzimy coś, na co dzieci niekoniecznie są gotowe. Ale może pan przyjechać z Jankiem do schroniska. Przecież on tak lubi psy. A skoro nie możecie mieć własnego, to będzie miał przynajmniej namiastkę. A zwierzaki się ucieszą.

– To jesteśmy umówieni. – Karol skinął głową.

A Mila zauważyła, że uśmiechnął się po raz pierwszy od śmierci mamy. Poczowała, że ma łzy w oczach.

Szybko wstała i żeby ukryć wzruszenie, zajrzała do pokoju syna.
– Jasiek, zapomniałeś o prezentach? Gwiazdka chyba już była...



Jasiek tylko na chwilę wybiegł z pokoju, wsadził pod pachę małe pudełko, duże wziął do rąk i natychmiast wrócił do siebie.

– Rozpakuję razem z Barym – poinformował, nawet nie patrząc na dorosłych.

– Nieźle się wkręcił – stwierdził Grzegorz. – Byle z kobietami nie miał tak samo. Odda wszystko i zostanie ze złamanym sercem.

– Akurat! – prychnęła Jowita. – Raczej współczuję jego dziewczynie. Będzie musiała się zachwycać tym, co jej w ogóle nie interesuje, bo będzie chciała, żeby był zadowolony. Jak ten pies: wolałby kielbasę, a pewnie teraz patrzy na jakiś samochód i macha ogonem, bo kocha dzieciaka.

– Bary nie jada kielbasy – wtrącił Konopka.

– To przenośnia. – Jowita wydeła usta.

– No to nie załapałem – szczerze przyznał Artur. – Jeśli chodzi o psa, to jestem raczej konkretny i dosłowny.

Katia przyjrzała mu się spod oka.

– A czym ty się, Arturze, w ogóle zajmujesz? – zapytała. – Czy przypadkiem nie jesteś informatykiem?

– Programistą – uściślił. – Jak to zgadłaś?

– Czy ja wiem... – zastanowiła się. – Jesteś taki... zero-jedynkowy.

Konopka potarł dłonią policzek.

– A to źle?

– Teoretycznie nie – odparła. – Dobrze jest mieć jednoznaczne zdanie na jakiś temat. Tylko że życie nie jest czarno-białe. Warto dostrzegać też inne kolory.

– Pomyślę o tym – obiecał.

Mila od dłuższej chwili siedziała zamyślona.

– Słuchajcie, jakoś głupio to wyszło – powiedziała w końcu. – Jasiek dostał prezent, tata też – zerknęła na ojca, który siedział na kanapie i przeglądał album o uzbrojeniu z czasów II wojny światowej – a dla was niczego nie mam.

– Nic nie szkodzi – szybko odpowiedziała Jowita. – Przecież my tu wszyscy trafiliśmy w ostatniej chwili, już samo to, że nas gościsz, jest najlepszym prezentem.

– Ja tam bym butelką whiskey nie pogardził. – Zadra puścił oko.

Jowita zgromiła go wzrokiem.

Konopka słuchał uważnie tej wymiany zdań.

– Też się właśnie zastanawiałem, dlaczego tylko dwie osoby z rodziny dostają prezenty, a reszta nie...

– Widocznie byli niegrzeczni – wtrącił nieoczekiwanie Karol i wszyscy się zaśmiali.

Artur znowu był dezorientowany.

– To w końcu jesteście rodziną czy nie?

– Ani trochę – uśmiechnęła się Katia. – Ale dzięki Mili tak wyszło, że dzisiaj jesteśmy jak rodzina. I ty też wpadłeś w jej wigilijne sidła.

– Mów za siebie. – Zadra podniósł ostrzegawczo palec. – Ja tam za nic nie chciałbym mieć w rodzinie takich wariatów jak oni.

– Że też zawsze musisz wtrącić te swoje głupie żarty – zirytowała się Jowita. – A tak się zrobiło ciepło i miło...

– Dziękuję wam. – Mila uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Ale i tak jakoś mi głupio, że nie dostaliście prezentów. W końcu to taka wisienka na wigilijnym torcie. Każdy na nią czeka, nawet jeśli się nie przyznaje.

– Mam pomysł! – krzyknęła Katia. – Zrobimy tak, jak dawniej w szkole. Będzie losowanie. Wiecie, karteczki z imionami, każdy wyciąga jedną i potem robi prezent wylosowanej osobie.

Zadra przewrócił oczami, Artur przyjął propozycję milcząco. Za to Jowita była zachwycona.

– Świetnie! Katia, rób te karteczki.

Poszło szybko. Wszyscy, choć niektórzy nieco niechętnie, po chwili rozwijali swoje losy.

– I co teraz? – zapytała Jowita, na co Grzegorz posłał jej takie spojrzenie, że od razu zacisnęła usta.

– Teraz prezenty – odparła Katia. – Kto zaczyna?

– Ale teraz mamy je dać? – zdziwił się Konopka. – Przecież ja nic nie mam. Skąd mogłem wiedzieć, że będzie potrzebny prezent?

– Ojej, nie bądź taki konkretny! – Katia go szturchnęła. – Przecież to nie musi być nic materialnego. Wysil wyobraźnię. Jeśli potrafisz, jak w *Matrixie*, widzieć coś w tych zerach i jedynekach, to na pewno dasz radę wymyślić prezent.

Artur potraktował jej słowa jak wyzwanie. Zmarszczył czoło, poprawił okulary i popatrzył na Milę.

– Wylosowałem cię – powiedział. – I chciałbym ci dać pięć spacerów Janka z Barym.

Zerknął na Katię.

– Może być?

– Świetnie! – Dziewczyna klasnęła w dłonie. – O to chodziło! Wiedziałam, że potrafisz!

Konopka nie wiedział, jak zareagować. Od dawna nikt go nie pochwalił. Oprócz szefa, ale wiadomo, to dotyczyło pracy. Czy jej naprawdę podobało się to, co zrobił? Na wszelki wypadek nie powiedział nic.

– Kto teraz? – zapytała Katia.

– Może ja? – zgłosiła się Mila. – Wylosowałam Grzegorza.

Popatrzyła na policjanta.

– Mam dla ciebie w prezencie – powiedziała powoli – darmowy kurs w obie strony tam, gdzie dziś byliśmy. Pojedziemy wtedy, gdy już będziesz

mógł wręczyć lalkę – dodała.

Zadra zachował kamienną twarz i tylko skinął głową.

– A ja wylosowałam Katię. – Jowita nie mogła się już doczekać udziału w zabawie.

– I co dostanę? Uwielbiam prezenty – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Mam dla ciebie w prezencie... – zawiesiła teatralnie głos. – Pięćdziesiąt kilo karmy dla zwierząt!

Katia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Serio?!

– Tak.

– Proszę, jaka bogata! – wtrącił Zadra.

– Żebyś wiedział. – Jowita pokazała mu język.

– To dlaczego nie sto kilogramów? – Policjant skrzywił się złośliwie. – Nie stać cię?

– Dobrze, niech będzie sto – zdecydowała kobieta. – Dam ci później mój numer, powiesz, jaką kupić, a potem umówimy się, wpadniesz do mojej firmy i odbierzesz.

Katia podeszła do Jowity i mocno ją przytuliła.

– Kochana jesteś. To najlepszy prezent, jaki mogłam dostać!

– Może wystarczy tych czułości, bo aż człowieka mdli – przerwał im Grzegorz. – Teraz moja kolej.

Popatrzył jeszcze raz na swoją karteczkę.

– Uważam, że to było jakieś oszustwo – powiedział. – Ale nie będę tu prowadził żadnego śledztwa. Wylosowałam ciebie, bocianie – zwrócił się do Jowity.

– I co teraz będzie? – roześmiała się głośno, starając się ukryć niepewność.

– Teraz mam dla ciebie w prezencie... trzy godziny osobistej ochrony podczas nocnych spacerów.

Jowita nie kryła zaskoczenia.

– Nie patrz tak na mnie! – Wzruszył ramionami. – Po prostu kiedy przyjdzie ci do głowy łązić samej po nocy, to zadzwonisz, a ja przyjadę i będę szedł z tobą. Albo dwa kroki za tobą, jak tam już będziesz chciała. I nie dziękuj. Robię to w sumie bardziej dla siebie, bo nie znoszę kobiecych trupów.

– A ja sądziłam, że to jedyny stan, w jakim akceptujesz kobiety. – Jowita już odzyskała rezon.

– Oni tak zawsze – poinformowała Mila Konopkę, bo zauważyła, że jest nieco skonsternowany. – Sama się zastanawiam, o co w tym chodzi.

– Teraz już reszta jest jasna, co? – Katia zerknęła na Artura.

– Owszem. Nie potrzeba skomplikowanych algorytmów, żeby wiedzieć, kogo wylosowałaś. – Konopka pozwolił sobie na dowcip.

– W takim razie od razu przejdę do rzeczy. Drogi programisto, mam dla ciebie w prezencie... – zachichotała. – Mam dla ciebie w prezencie dowolny tatuaż. Ale pod warunkiem, że będzie kolorowy. I co ty na to?

Artur popatrzył na dziewczynę znad okularów.

Właściwie był przeciwnikiem ozdabiania ciała tatuażami. Wydawało mu się, że robienie na skórze nieodwracalnych zmian jest niemądre.

– No, panie zero-jedynkowy? To jak będzie? – uśmiechnęła się tatuatorka. – Oczywiście do niczego cię nie zmuszam. Zadzwonisz, jak będziesz gotowy.

– Wydaje mi się, że już jestem – zdecydował Konopka. – Ale co do kolorów, to musimy podyskutować. Nie wiem, czy stać mnie aż na takie szaleństwo.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, a Artur przyjął to z wielką radością.

A jednak jestem dowcipny – pomyślał.



Wspólnie posprząтали ze stołu i Mila zrobiła kolejny dzbanek herbaty.

Wigilijny wieczór powoli dobiegał końca. Wieczera została zjedzona, prezenty wręczone, a światełka na choince migotały jakby mniej intensywnie.

Karol odłożył swój album i wstał.

– Pójdę się już położyć – oznajmił. – Ale wy sobie nie przeszkadzajcie. Jesteście jeszcze młodzi i aż miło popatrzeć, jak rozmawiacie i cieszyć się swoją obecnością.

Podszedł do córki i objął ją ramieniem.

– Zanim was zostawię, chciałbym jeszcze coś powiedzieć. Może nie byłem dziś najlepszym kompanem, ale od jakiegoś czasu niespecjalnie mi wychodzą kontakty towarzyskie. Co nie znaczy, że ich nie doceniam. Cieszę się, że się tu dziś znaleźliście. Początkowo byłem sceptyczny, bo w ubiegłym roku na wigilijnym stole postawiliśmy dwa puste nakrycia, a w tym, nieoczekiwanie, zmieniły się one w cztery dodatkowe, przy których usiedli nieznajomi. Ale widzę, że dzięki wam nasze święta się odmieniły. Mój wnuk wreszcie jest szczęśliwy, a moja córka znowu się uśmiecha. Dziękuję!

Wszyscy zebrani zamilkli, czując ważność tej chwili. Zawadzki życzył im jeszcze dobrej nocy i poszedł do swojego pokoju.

Mila usiadła na najbliższym krześle i głęboko westchnęła.

– Właściwie to ja też chciałam wam podziękować. Za to samo, co tata. Ale żebyście dobrze zrozumieli, jak ważne i szczerze to podziękowania, muszę wam opowiedzieć pewną historię. O ile oczywiście macie ochotę posłuchać...

Jowita pokiwała głową, Katia uśmiechnęła się zachęcająco.

– Może pewne informacje już słyszeliście, ale nie wszyscy. Lepiej będzie, jeśli opowiem wszystko od początku – westchnęła. – Jeszcze dwa lata temu byłam szczęśliwą mężatką i razem z mężem wychowywaliśmy Jasia. Pomagali nam moi rodzice. Pewnego dnia pojechaliśmy zawieźć moją mamę do lekarza. Potrzebowała konsultacji specjalisty, a najlepszy był w stolicy.

Tata, z racji wieku, nie lubił już jeździć na dłuższe trasy, więc został w domu z Jasiem, a my pojechaliśmy z mamą.

Oblizwała nerwowo wargi, ale nie przerwała opowieści.

– Wizyta poszła dobrze, diagnoza optymistyczna. Wracaliśmy zadowoleni. I wtedy... mieliśmy wypadek. Wjechał w nas jakiś wariat, który wyprzedzał „na trzeciego” i nie zdążył zjechać... Mama i Jarek zginęli na miejscu, ja byłam kilka tygodni w szpitalu... I chociaż wypadek był z winy tamtego kierowcy, to ja nadal mam wyrzuty sumienia, bo wtedy prowadziłam...

Otarła łzę, która spłynęła jej po policzku.

– Tata do dziś nie doszedł do siebie, tak bardzo przeżył śmierć mamy. Jarek też tęskni za ojcem. A ja? Ja staram się to wszystko ogarnąć i jeździę taksówką z aplikacji – uśmiechnęła się blado. – Więc jeśli kiedyś będziecie potrzebować, możecie mnie zamówić.

Jowita głośno pociągnęła nosem.

– A ja myślałam, że spotkała mnie największa tragedia na świecie. – Pokręciła głową. – Ależ ze mnie egoistka!

– Co za samokrytyka! – nie powstrzymał się Zadra.

– Żebyś wiedział. Ja, w przeciwieństwie do niektórych – spojrzała na niego ze złością – potrafię przyznać się do błędu. Choć w tym wypadku skłonna jestem się trochę rozgrzeszyć.

Usiadła wygodnie i założyła nogę na nogę.

– Nie jestem fachowcem, ale chyba przesłam dziś załamanie nerwowe – oświadczyła. – Ale nawet się temu nie dziwię. Żeby was nie zanudzać, będę mówić krótko: dałam się podejść pewnemu dupkowi. Uwierzyłam, że mnie kocha i że chce ze mną być. Mało tego, miał zostawić dla mnie żonę. Tylko nie oceniacie mnie pochopnie. – Uniosła dłoń. – Nie jestem z tych, które rozbijają rodziny. Zresztą sama zostałam zdradzona. Tak, tak. – Pokiwała głową. – Mój mąż, teraz już były, Bartosz Napierała, najpierw mnie w sobie rozkochał, potem pojął za żonę, a następnie zaczął rozwijać firmę. Do tego momentu wszystko było w porządku. Gorzej zaczęło być, gdy pan Napie-

rała obrócił w piórka, zarobił dużo pieniędzy i skończył czterdzieści lat. Kryzys wieku średniego objawił się u niego typowo: zaczął kompulsywnie ćwiczyć, zmienił garderobę na młodzieżową, a następnie znalazł sobie kochankę.

Jowita skrzywiła się lekko.

– Nawet nie musiałam przeżywać tego, co większość zdradzanych żon. Nie znalazłam śladów szminki na koszuli czy niebieskich tabletek w sportowej torbie. Los mi tego oszczędził, podobnie jak poszukiwania dowodów i opłacania detektywa. Z pomocą, do dziś nie wiem, czy świadomą, czy też wynikającą z głupoty, przysłała mi kochanka męża. Umieściła na swoim koncie na portalu społecznościowym zdjęcie z drogiego hotelu. Na zdjęciu była w seksownej koszulce nocnej, a pod nim napisała, że właśnie spędza upojne chwile ze swoim cudownym mężczyzną. A w tle, w lustrze, widać było jego odbicie. Jak się domyślacie, tym mężczyzną był mój mąż.

Poprawiła się na krześle i sięgnęła po kubek z herbatą.

– Nie będę wchodzić w szczegóły rozwodowe, w każdym razie zostałam sama, za to z firmą, którą zdołałam ogarnąć, chociaż łatwo nie było. Tak czy inaczej, obiecałam sobie, że nigdy już nie dam się nabrać na miłość. Ale nie dotrzymałam słowa – roześmiała się gorzko. – Zaufałam gnojkwowi, który okłamywał żonę i mnie. Od dzisiaj mieliśmy zacząć nowe życie, ja, głupia, wynajęłam pokój w kameralnym pensjonacie i czekałam na niego. A on? Po prostu nie przyjechał. Stchórzył i nawet nie zadzwonił, nie napisał... Dostałam jakiegoś szalu, wyjechałam z pensjonatu, a potem wpadłam w poślizg. I tak znalazłam się na tej nieszczęsnej drodze. – Popatrzyła na Milę i Zadrę. – Dzięki, że mnie zabraliście.

– To okropne – wyszeptała Mila.

– Nie tak bardzo jak strata matki i męża – odparła Jowita i uniosła podbródek. – Teraz to zrozumiałam. Wezmę się do roboty i zapomnę. Wszystko będzie dobrze... – Upiła łyk herbaty. – Dam sobie radę... gdy tylko przestanę go kochać.

I rozplakała się.

Mila podeszła i pogłaskała ją po głowie.

– Rozumiem, że ci ciężko – powiedziała. – Ale z czasem będzie trochę lepiej. Nie stanie się to szybko, ale jednak. Wiem, co mówię. Potrzeba czasu...

Jowita nagle wyprostowała się i spojrzała Grzegorzowi prosto w oczy.

– No i co teraz powiesz, głupi glino? Czekam na jakąś złośliwość.

Policjant podrapał szorstki policzek.

– Nie należę do tych, którzy się zwierniają, a już na pewno nie do tych, którzy potrafią mówić o swoich uczuciach. No i masz rację, nie umiem przyznać się do błędu.

Jowita nie spuszczała z niego wzroku.

– Dobra, niech ci będzie. Zdradzę co nieco. Żona mnie zostawiła i zabrała córkę. Chlałem dwa tygodnie, a potem wymyśliłem, że pojedę po dziecko. Nie dała mi Sylwuni, a jej nowy facet powiedział mi w oczy prawdę o mnie.

Zamyślił się na chwilę.

– Nielatwo jest przyjąć prawdę, gdy chce się uchodzić za twardego gli-niarza. Zwłaszcza gdy ta prawda burzy cały wizerunek i zdasz sobie sprawę, że w rzeczywistości byłeś niezłym dupkiem. Cóż, tego nie zmienię.

– Wzruszył ramionami. – Zostałem sam. I coś będę musiał z tym zrobić.

Zerknął na Jowitę.

– Wystarczy?

– Jeszcze coś powinieneś dodać – uznała.

– Chyba wiem, o co ci chodzi. – Pokiwał głową. – Tylko nie wiem, czy jestem gotowy to powiedzieć. Ale spróbuję. – Odchrząknął. – Tak, nie wszystkie kobiety są złe, a wielu facetów to gnojki. Tak dobrze?

– Jeśli naprawdę tak czujesz... – odparła Jowita.

Konopka czuł, że jest świadkiem czegoś ważnego. Nigdy by się nie spodziewał, że taki twardziel jak Grzegorz jest zdolny do takich zwierzeń.

Katia uchwyciła jego spojrzenie.

– A ty, programisto, dlaczego jesteś sam w Wigilię? – zapytała.

– Bo nienawidzę Bożego Narodzenia – wyznał szczerze.

Wszyscy obecni spojrzeli na niego.

– A to dlaczego? – zainteresowała się Mila. – Och, przepraszam, jeżeli nie chcesz mówić, to nie mów. Nie chciałam być wścibska.

Do tej pory nie chciał. Ale teraz, wśród tych obcych ludzi, nieoczekiwanie poczuł się bezpieczniej niż kiedykolwiek.

– Po prostu wszystko, co najgorsze, spotyka mnie w święta – wyjaśnił, poprawiając okulary. – Kiedy miałam jedenaście lat, w Wigilię zmarł mój ojciec. Dostał zawału, siedząc w fotelu. I ja go znalazłem – mówił cicho i beznamiętnie, jakby relacjonował film. – Nie mogłem się z tym pogodzić. Chyba przez rok płakałem każdego wieczora.

Katia spojrzała na niego ze współczuciem.

To dlatego zrozumiał, co czuje Jasiek – pomyślała.

– Potem trochę się pozbierałem – kontynuował Konopka. – Ale dwa lata później matka przedstawiła mi faceta i oznajmiła, że wychodzi za niego za mąż. Domyślcie się, w jaki dzień to zrobiła? – roześmiał się głucho.

– Przykro mi. – Katia pogładziła go po ramieniu.

– Mnie też było. Nawet bardzo – odparł Artur. – Nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że już zapomniała o ojcu. Trzy lata wystarczyły i miała zamiar żyć tak, jakby ojciec nigdy nie istniał. I na dodatek powiedziała mi o tym w rocznicę jego śmierci! Czy to nie świństwo?!

Nikt nie odpowiedział.

– Wielkie świństwo! – Sam wypowiedział swoją opinię. – I wtedy, jako czternastolatek, obiecałem sobie, że zostawię ją najszybciej jak się da!

Zwiesił głowę, jakby opowieść wyczerpała jego siły. Jednak po chwili podniósł głowę.

– Wyjechałem tuż po maturze. Nigdy nie wziąłem od niej ani grosza. Sam zarobiłem na studia, na mieszkanie, na wszystko – znowu mówił spokojnie i bez emocji. – I nigdy więcej się z nią nie spotkałem. Chociaż dzwoni w każde Boże Narodzenie. Ale nie przekona mnie. Bo czarne to

czarne, a białe to białe – oświadczył stanowczo i spojrzał na Katię. – Teraz już rozumiesz, dlaczego jestem taki zero-jedynkowy?

Dziewczyna przytaknęła bezgłośnie.

– Rozumiem, ale i tak wierzę, że życie ma wiele kolorów. I także czerń ma wręcz różne odcienie. Widać to nawet na tatuażach.

– Dlatego je robisz – domyśliła się Jowita.

– Tak – potwierdziła. – I chociaż życie było dla mnie łaskawsze niż dla was, to chyba właśnie dlatego zdecydowałam się iść swoją drogą i pomagać innym. Bo ja miałam cudowne dzieciństwo i niczego mi nie brakowało. Mam wspaniałych rodziców, którzy mnie kochają. I miałam być lekarzem.

– Więc dlaczego nie jesteś? – zapytała Miła. – To chyba bardziej dochodowe niż tatuowanie.

– Z pewnością. Ale pogoń za pieniędzmi może zniszczyć życie – powiedziała z przekonaniem. – Przekonałam się o tym w klasie maturalnej.

Usiadła po turecku i zaczęła swoją opowieść.

– Moja mama miała przyjaciółkę, bardzo się lubiły. Musicie wiedzieć, że moi rodzice są majętni i w takim środowisku się obracali. Ta koleżanka mamy też była bogata. Jeździliśmy razem za granicę, one chodziły do salonów piękności, na zakupy. I pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że ta przyjaciółka popełniła samobójstwo.

Katia popatrzyła gdzieś w dal, ponad głowami towarzyszy.

– Potem okazało się, że jej firma zbankrutowała, a ona wstydziła się przyznać, że nie ma pieniędzy, i zaczęła brać pożyczki, kredyty, nawet chwilówki. Wpadła w spiralę zadłużenia i kiedy już mieli zlicytować jej piękny dom, nie wytrzymała. Wołała umrzeć, niż przyznać się, że jest biedna, wyobrażacie to sobie?!

Spojrzała na Miłę i pokiwała głową.

– Tak, tak, zabiła się z powodu pieniędzy. Bo najpierw miała ich za dużo, a potem za mało. I wtedy zrozumiałam dwie rzeczy. Po pierwsze, że trzeba mieć coś poza kasą. Jakiś cel, jakąś pasję, która pomoże przetrwać trudne chwile. A że zawsze marzyłam o tatuowaniu, więc postanowiłam to robić.

– I co na to rodzice? – zainteresowała się Jowita.

– Pewnie nie byli zachwyceni, ale zawsze mnie wspierają i starają się zrozumieć – uśmiechnęła się Katia.

– A ta druga rzecz? – przypomniał Konopka.

– Moja mama bardzo przeżyła śmierć przyjaciółki. Najbardziej to, że nic nie wiedziała o jej problemach. Powtarzała, że pomogłaby jej, porozmawiała, że zrobiłaby wszystko, żeby nie odeszła. I to właśnie jest ta druga rzecz: rozumiałam, że trzeba pomagać. Bo nie każdy się przyzna, że potrzebuje wsparcia, to raz, a czasem nawet drobny gest czy rozmowa mogą uratować życie, to dwa. Pomagam więc ludziom i tym, którzy o pomoc prosić nie potrafią, czyli zwierzakom. I to już wszystko, cała moja historia. – Rozłożyła ręce.

W pokoju zapanowała cisza. Każdy rozmyślał o usłyszanych historiach i na swój sposób jej przeżywał.

Mila zajrzała do pokoju Janka. Chłopiec spał na podłodze, przytulony do boku Bary'ego.

Gestem przywołała swoich gości i położyła palec na ustach, żeby zachowali ciszę. Przez chwilę patrzyli na tę rozczulającą scenkę.

– Aż żal ich budzić – powiedziała, ostrożnie zamykając drzwi. – Mam nadzieję, że nadal się nie spieszysz? – zwróciła się do Artura.

– Prawdę mówiąc, to sam nie wiem... – Zerknął na Katię. – Jest już bardzo późno, musisz być zmęczona... I co właściwie mielibyśmy teraz robić?

– Może pójdziemy na pasterkę? – zaproponowała Katia.

– Mnie nie bardzo jest po drodze z kościołem – mruknął Grzegorz.

– Daj spokój! – Jowita żartobliwie uderzyła go w ramię. – Spowiedź już wszyscy mamy za sobą, możemy po prostu iść i posłuchać kołęd.



– To był naprawdę niesamowity wieczór. – Mila z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Tak, zgadzam się z tobą – podchwyciła Jowita. – Najdziwniejsza Wigilia w moim życiu. Piątka obcych ludzi, dziecko i pies przy wspólnej wieszce.

– Gdyby to był serial, to po takiej akcji zostalibyśmy najlepszymi przyjaciółmi – wtrącił Konopka. – Takimi, co to spotykają się co tydzień, zamawiają jedzenie i zwierają się sobie, siedząc na wielkiej kanapie.

– Ja się nikomu zwierzał już nie będę – zastrzegł Zadra. – Wyczerpałem limit na najbliższe sto lat.

– Jakkolwiek na to patrzeć, każde z nas miało mieć smutną, samotną Wigilię, a spędziliśmy ją razem – podsumowała Katia. – I to chyba dobrze, prawda? W taki dzień nikt nie powinien być sam, nawet największe dziwadła – roześmiała się.

– A to wszystko dzięki Mili. – Jowita popatrzyła na kobietę z wdzięcznością. – Ona nas wszystkich pozbierała. To prawdziwy cud.

– Jakby co, to polecam się na przyszłość. Numer znacie, więc dzwońcie i zamawiajcie.

– Taksówkę czy święta? – zażartował Konopka.

– Co tylko chcecie.

Śnieg prószył delikatnie, a oni niespiesznie szli pustymi ulicami miasta. Czwórka obcych ludzi, których zbliżyła magia wigilijnej nocy.

KONIEC